

# Twierdza w górach

Karol May



calibre 0.9.27



Karol May

## **Twierdza w górach**



Powszechnie wiadomo, że nawet ustne opowieści wymagają zwięzłości, a powtarzanie tych samych rzeczy działa na słucha-czy nużąco, opowiadanie czyniąc rozwlekłym. Tym bardziej więc należy wymagać od autora utworu pisanego, aby unikał zbędnego balastu słów, jeżeli i tak już niczego wyjaśnić nie mogą. Skoro jednak autor stawia sobie za zadanie osiągnięcie pewnych celów, które, jak to ma miejsce u mnie, związane są z prawdziwą wiarą w Boga, poczuciem tego wszystkiego, co dobre, piękne i szlachetne, to w tym wypadku może swoje myśli i spostrzeżenia, że użyję popularnego wyrażenia, postarzać do woli.

Jednym z często u mnie występujących spostrzeżeń jest to, iż losy, nie tylko narodów, lecz także poszczególnych ludzi, pozostają z sobą w ścisłym związku, którego niedoświadczone oko zazwyczaj nie dostrzega, a mimo to istnieje ów związek i wychodzi na jaw wówczas, gdy się go najmniej spodziewamy. Jak setki tysięcy i miliony mil oddalone od siebie gwiazdy firmamentu powiązane są ze sobą na mocy wiecznych praw, tak też działalność człowieka i wydarzenia jego życia, bez względu na dzielący je czasokres, ściśle się łączą i dość często w wydarzeniu wieku starczego da się zauważyć skutek pewnego-go czynu, który miał miejsce kiedyś w dawno minionej i zapomnianej młodości. Nie ma nic takiego, zarówno w wewnętrznym, jak i w zewnętrznym życiu człowieka, co by można było uważać za całość, wyodrębnioną z pośród innych okoliczności. Wszystko, co na powierzchnię życia wypływa, jest owocem ubiegłego dnia, który zawiera w sobie jądro dalszego, ukierunkowanego rozwoju. Ukierunkowanego! Z rozmysłem to podkreślam, gdyż dobry uczynek może zrodzić tylko dobro, a zły - zło. Jest to wieczne, niewzruszone prawo, które można różnie tłumaczyć, ale którego jednak nie jesteśmy w stanie zmienić. Jakże często się zdarza, iż dzielny, dobry człowiek widzi nagle spadające nań konsekwencje jakiegoś dawno już odżałowanego i zapomnianego czynu; zdawało się, że nic go nie zdoła wskrzesić, a jednak towarzyszył człowiekowi w ukryciu przez cały czas. Wyświadczenie komuś przyjacielskiej przy-sługi przynosi częstokroć po wielu latach niespodzianie nagrodę.

Dlaczego właściwie tak filozofuję i moralizuję, zamiast po prostu rozpocząć opowiadanie? Dobrze, więc do dzieła! Miałem zamiar podjąć podróż do Szirazu bezpośrednio po naszym powrocie z Birs Nimrud, względnie w krótki czas potem. Natknęliśmy się jednak w Bagdadzie na przekupnia sprzedającego znany w całej Mezopotamii ze swej niezwykłej 6 dobroci balsam piękności, który wyrabiano w okolicy Kirman-szah. Sprzedawca ofiarowywał swój towar w kawiarni, gdzie również i do nas się zwrócił. Przypuszczałem, że Halef pokaże mu po prostu drzwi, ten jednak wdał się z nim w rozmowę, w czasie której zapytał:

- Czy możesz mi powiedzieć, gdzie kupujesz ten zadziwiający środek na piękność?

- Nie mam żadnych podstaw ku temu, by ci nie powiedzieć,

- odparł przekupień - gdyż dumny jestem z tego, iż wyrabiająca go niewiasta udzieliła mi wyłącznego prawa sprzedaży na tę okolicę. Mam od niej też pozwolenie odwiedzania jej dwa razy do roku dla nabywania owego balsamu. Gdy wracam, oczekują mnie wszystkie haremy, aby

wieść w posiadanie cudownej maści.

- Czyż rzeczywiście spełnia te nadzwyczajne cuda, o jakich się mówi?

- O, czyni więcej, znacznie więcej, aniżeli można opowiedzieć! Wystarczy nią tylko dotknąć twarzy, a znikną wszystkie zmarszczki, pryszczki i inne niedomagania, szpecące oblicze.

- Przesadzasz!

- Nie, na Allacha, nie! Możesz się udać do plemienia, z którego pochodzi owa kobieta, wyrabiająca maść, a przekonasz się, iż wszystkie tamtejsze mężatki i panny mają lica jak śnieg białe, a lśniące jak blask jutrzeńki!

- A czy wiesz, z czego wyrabiany jest ten środek?

-Nie. Jak mogłeś nawet pomyśleć, iż wyrabiająca go będzie tak nieostrożna, by mi to powiedzieć! Odziedziczyła drogocenną tajemnicę od swej prababki, a ta z kolei otrzymała ją w spadku od swej praprababki. Ostatnia zaś też miała prababkę której praprababka, niezwykle nabożna kobieta, otrzymała tę maść nagrodę za swe wielkie cnoty od archanioła Gabriela; ten zaś sprowadził ją z najwyższego niebiańskiego raję, gdzie maść tę spreparowano dla wiecznej młodości prze-bywających tam błogosławionych.

- Jak się nazywa owa kobieta?

- Właściwego imienia nie znam, lecz nazywają ją Umm ed Dżamahl, Matka Piękności.

- Gdzie mieszka?

- Nigdzie, gdyż jej plemię nie prowadzi osiadłego trybu życia; raz mieszka tu, raz tam. Stanowią zaś część składową plemienia Idiz Bachtijarów i przebywają najczęściej po drugiej stronie Kirmanszah.

-Ale kiedy ci potrzeba maści, musisz wiedzieć, gdzie szukać tej niewiasty!

- Tego się dowiaduję od aptekarza z Kirmanszah, który również sprzedaje ten środek i sam często zasięga informacji o miejscu jej pobytu. Następnie odszukuję Matkę Piękności i biorę od niej, czego mi potrzeba. Powiadam ci, jest to stara kobieta, ale nie ma na jej twarzy najmniejszej zmarszczki. Ile pudełek chcesz kupić?

- Ile kosztuje pudełko?

- Jeden rijal.

- W takim razie nic nie kupię.

- Czemu?

- Dlatego, że za drogo.

- Za drogo! Alboś zmysły postradał, alboś jest sknera!

Człowiek, dla którego tak mała suma dla upiększenia swego haremu jest za wysoka, nie zasługuje na mój szacunek! Zrazu g stawiasz mi szereg pytań, a gdy ci na nie z jak największą gotowością odpowiadam, okazujesz się niewdzięczny i zarzućcasz mi zbyt wysoką cenę tak, że spłonąłbym ze wstydu, gdyby to rzeczywiście było prawdą. Obyś zczuł, na Allacha! To rzekłszy, przekupieci się oddalił. Ku mojemu zdumieniu, zapalczywy zazwyczaj Hadzi przyjął spokojnie skierowane doń ostre słowa. Machnął ręką i rzekł:

- Nie kupiłbym tej marham ed dżamahl, nawet gdyby kosztowała tylko para, gdyż Hanneh, najbardziej nieporównana spośród wszystkich ukochanych kobiet świata, nie zgodziłaby się na to.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Ponieważ ... hm!

Zatrzymał się zakłopotany i dopiero po chwili ciągnął dalej, zapytując:

- A gdyby ci szczerze odpowiedział, czy myślałbyś źle o Hanneh, która jest najbardziej nieporównaną osobą spośród wszystkich innych kobiet?

- Ależ nie, na pewno nie, drogi Halefie.

- A więc proszę cię, powiedz prawdę! Czy Emmeh, wiecz-nie płonąca zorza twego haremu, nie ma zmarszczek na twa-rzy?

- Nie.

- Ani jednej?

- Ani jednej.

- Jakżesz to możliwe? Żadnej? Ani jednej, nawet malut-kiej, ledwie widocznej?

- Nie. Nie ma.

Toż pomyśl, sisi! Jestem przekonany, że gdybyś chwilę pomyślał, na newno przypomniałbyś sobie choćby jedną, jedy-ną zmarszczkę!

Wiedziałem, co go skłaniało do takiego przynaglania. Kobiety wschodnie szybko się starzeją, a Hanneh była wszak kobietą orientalną, miała zatem zmarszczki. To bynajmniej nie umniejszało jego gorącej miłości; była dlań jeszcze dzisiaj, jak przed laty, najpiękniejszą z pięknych. Dlatego, odpowiedziałem też, chcąc go oszczędzić:

- Moja Emmeh rzeczywiście nie ma zmarszczek. Ale pomyśl o szeregu lat, w ciągu których twoja Hanneh musiała troszczyć się o ciebie, o Kara Ben Halefa i całe plemię Hadde-dihnów! A troski, mój kochany, przynoszą zmarszczki. Czuj je i szanuj!

Odparł mi szybko tonem zadowolenia:

- Effendi, jesteś dobrym człowiekiem, równie jak ja do-brym człowiekiem! To się nie da ukryć, a ponieważ masz tak dobry wzrok, zauważyłeś, iż u mojej Hanneh, acz jest najpiękniejszą z kobiet świata, policzki zaczęły się powoli marszczyć. Od tego czasu jednak kocham ją dwakroć silniej! Wszystko czyniła, aby przeszkodzić tym zmarszczkom, jednak daremnie. Wierzaj mi, zmarszczki są robactwem piękności: wystarczy, iż zjawi się jedna zmarszczka, a zaczynają się, mnożyć w nieskończoność. Zupełnie jak mrówki; z początku widzi się jedną, potem dwie, potem trzy, następnie pięćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto i wreszcie rozrastają się i mnożą tysiącami. Tak też jest z bruzdami i rowkami na twarzy; dochodzą do takiej liczby, iż przy ich bliższej obserwacji człek zaczyna się gubić. O, gdyby każda kobieta była na tyle mądra, by nie dopuścić do pojawienia się tej pierwszej zmarszczki na swej twarzy! Ale, jak ci wiadomo, kobiety nie posiadają tej ostrożności, która jest znakomitą właściwością nas mężczyzn. Oby nas Allah nie pozbawił tej znakomitej cechy charakteru! A ponieważ twoja Emmeh, wdzięczna ofiarodawczyni twej szczęśliwości, nie posiada jeszcze zmarszczek, nie masz wyobrażenia o tym, jak głęboko bruzdy twarzy wżerają się w serce i duszę kobiety, zwłaszcza, iż nie ma takiej maści ani plastru, który by jakakolwiek zmianę na lepsze mógł spowodować. Hanneh, najwspanialsza róża wśród wszystkich gatunków róż Wschodu i Zachodu, doniosła mi, że po długich i daremnych trudach, jedyna jej nadzieja odzyskania wspaniałej błogiej gładkości lic spoczywa w znakomitej maści Matki Piękności. 'Pd kobieta z plemienia Bachtjarów jest bowiem powszechnie znana dzięki swej cudownej maści, po użyciu której zmarszczki tak uciekają, jak mrówki ze swej jamy, gdy do niej wlać wodę z cybucha. Ale cóż mi z tego, skoro jest tak daleko od nas do tej okolicy, w której jej szukać należy! Dlatego też niezrównana towarzyszka mego życia ziemskiego była zachwycona, dowiedziawszy się, że ży-czysz sobie, abym się udał z tobą do Persji. Udzieliła mi też chętnie pozwolenia towarzyszenia ci w tej podróży pod warunkiem wszakże, iż przywiozę jej tyle marham ed dżamahl, ile potrzeba do całkowitego usunięcia zmarszczek z twarzy i przywrócenia jej poprzedniej gładkości.

- Mnie, niestety, słowem nie wspomniała o tym swoim zamiarze!

- Tobie? O, effendi, jakże młodym i niedoświadczonym jesteś, gdy chodzi o osądzanie spraw haremu. Gdyby Hanneh, jedyne słoneczko na firmamencie mojej siedziby kobiecej, dowiedziała się, że ty również spostrzegłeś, tę jedną jedyną chociażby zmarszczkę na jej obliczu, padła by martwa ze wstydu i zmartwienia. Jakże więc mogłeś nawet pomyśleć, iż będzie mówiła o tym z



tobą! Zlituję się nad tobą i powiem ci tajemnicę, bardzo wielką tajemnicę haremową. Zważ dokładnie, co następuje: im więcej kobieta ma zmarszczek na twarzy, za tym gładszą chce uchodzić w twoich oczach. Jeżeli więc chcesz możliwie najdłużej zachować szczęście domowe, nie zdradź się przenigdy przed swoją Emmeh, żeś zauważył zmarszczki na jej twarzy. Nie powinieneś ich widzieć, nawet myśleć ci o nich nie wolno, jeżeli ci drogim jest życie i spokój oraz wygoda twego domowego zacisza! Wierz mi, znam się na tym, sidi! Bierz więc ze mnie przykład! Ja również nie chcę widzieć więcej zmarszczek i mam nadzieję, iż cudowna maść mi w tym pomoże. Kupię marham ed dżamahl dla Hanneh i dla siebie.

- Dla siebie także?

- Oczywiście! Spójrz na mnie, a przekonasz się, że również i moje czoło nie jest pozbawione zmarszczek, których chętnie chciałbym się pozbyć. Przeto jestem niezmiernie zadowolony, iż się mogłem dowiedzieć od przekupnia, gdzie szukać Matki Piękności. Pojedziemy natychmiast do Kirmaszah!

- My? Kogo przez to rozumiesz?

- Ciebie i siebie naturalnie! Nie sądzę bowiem, iż mnie puścisz samotnie, a sam będziesz czekał, aż powrócę.

- To mi nawet przez myśl nie przeszło! Nasza droga prowadzi przez Szirazu, nie zaś do Kirmaszah, dokąd nie masz w ogóle potrzeby jechać, mogąc w tak łatwy sposób tutaj na miejscu nabyć balsam. Dlaczegoż go nie kupiłeś?

- Pytasz dlaczego? O sidi, jak wielki twój rozum mało zna się na działaniu cudownych balsamów! Kupić tutaj? Tego

12 właśnie najsurowiej mi zabroniła Hanneh, kobieca istota mej męskiej błogości! Wierzaj mi, effendi, nie zawahałbym się przed żadną ceną, gdybym był przekonany o oryginalności marham ed dżamahl. Sprzedawcy bowiem, chcąc powiększyć zasób swego towaru, fałszują go. Aby zarobić więcej pieniędzy, robią z jednego pudełka sto; dodają przy tym takie składniki, które nie tylko, że są bezużyteczne, lecz często nawet szkodzą, tak, iż biedna niewiasta, która się takim balsamem posmaruje w błogiej nadziei odzyskania klasycznej urody, zamiast stracić siedem zmarszczek, które posiada, zdobywa nowych siedem-dziesiąt siedem. O Allah, Wallah, Tallah! Mamże ciebie posądzić o to, iż życzysz mojej Hanneh jedenastokrotnego powiększenia ilości zmarszczek na jej szlachetnym obliczu? Nie! Ona chce mieć prawdziwy balsam i musi go otrzymać bezpośrednio z rąk Umm-ed-Dżamahl. Musimy przeto natychmiast udać się c~o Kirmaszah!

Mały Halef wypowiedział słowa powyższe tak pewnym i energicznym tonem, jak gdyby szło o życie lub śmierć i zrozumiiałem, że wszystkie moje ewentualne zarzuty natrafiłyby na stanowczy opór z jego strony. Wiedziałem z góry, iż, rad nie rad, będę musiał zrezygnować z moich obiekcji, mimo to próbowałem go jeszcze przekonać:

- Halefie, chętnie chciałbym przyjąć słowa twoje jako żart, słyszę jednak, że mówisz całkiem poważnie. Czy zdajesz sobie sprawę, jak daleko stąd do Kirmaszah? Na pewno upłynie tydziefi, zanim znowu ujrzymy mury Bagdadu. Mamy więc taki szmat czasu poświęcić, celem zdobycia balsamu o wątpliwej wartości?

- Sidi, nie chodzi przecież w tym wypadku o balsam, lecz odmłodzenie, upiększenie i pozbanienie zmarszczek twarzy, która mi jest najukochafiszą na całym świecie. A co się tyczy wartości balsamu? O, effendi, wy, Frankowie rościcie sobie zawsze prawo do wszechmądrości i wszechwiedzy; lecz Allah w bezgranicznej swej łasce obdzielił nas darami, które wam są niedostępne. Słyszałeś wszak, że archanioł Gabriel sprowadził ten balsam z najwyższego, a więc z siódmego nieba, a ponieważ wy nie posiadacie siódmego nieba, więc nie jest wam dane posiadanie tej marham ed dżamahl. To jasne! A że balsam rzeczywiście pomaga, że skutek jego jest nadspodziewanie wielki i zdumiewający, możesz się o tym przekonać z setek tysięcy i milionów zmarszczek, które dzięki niemu znikły. Wiesz, jak dalece ci wierzę i ufam każdemu twemu słowu, ale w kwestii balsamu nie chciej mnie przekonywać gdyż na tym lepiej się rozumiem i znam, aniżeli ty. Chyba, że mi powiesz, że byłeś u praprababki owej praprababki, o której mówił przedtem przekupiefi.

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą.

- Czyś próbował jego skuteczności? Czy kiedykolwiek dawałeś go kobietom haremowym do wypróbowania i przeko-nałeś się, że zmarszczki nie znikły?

- Nie.

- A więc, proszę cię, dowiedz się o nim w haremach Mezopotamii i u wszystkich niewiast i ich córek całej okolicy; pytaj w Teheranie, Isfahanie, Kerindze i Hamadanie, a prze-konasz się, że pod działaniem balsamu Matki Piękności znika każde niedomaganie twarzy. Każdy o tym wie, ja sam słyszałem o tym przeszło sto razy i proszę cię, nie doprowadzaj mnie do pąsji!

Uniósł się gniewem. Wiedziałem, iż bezcelowe jest dalsze przekonywanie go, spróbowałem więc w inny sposób odwieść go od tego zamiaru, mówiąc:

- Nasza droga prawdopodobnie zawiedzie nas z Szirazu do Isfahanu i T~heranu, będziemy więc wracali przez Kirman-szah. Sądzę, że wówczas jeszcze będziemy mieli czas wywie-dzieć się o tej, która wyrabia balsam.

- Czy jesteś przekonany, że tę drogę odbędziemy?

- Sądzę.

- Sądzisz! Jeżeli tylko tak myślisz, to muszę ci powiedzieć, że cenię wyżej swój balsam, aniżeli twoje myśli. A może potra-fisz swoimi myślami usuwa~ zmarszczki?

- Muszę ci przyznać, że tego jeszcze nie próbowałem.

- I słusznie, gdyż tego rodzaju próba na nic by się zdała!

Tłuszcz używany bowiem bywa do wyrabiania balsamów, a nie myśli. A gdyby nawet było rzeczą pewną, iż przybędziemy do Kirmanszah, czy możesz mnie poinformować, ile to czasu upłynie, licząc od dnia dzisiejszego?

- W każdym razie kilka miesięcy.

- Kilka miesięcy! Allah Kerżhum. Co może się stać w ciągu tak długiego czasu z ukochanego oblicza mojej Hanneh! Sły-szałeś przecież, że zmarszczki są robactwem piękności. Czy chcesz więc temu robactwu dać tyle czasu, aby tak się rozmno-żyło, iż potem trzeba będzie zużyć dziesięć razy więcej balsa-mu, niż teraz?! A gdy przywiozę mojej Hanneh balsam, mam-że dopiero czekać, aż skutek zacznie się powoli okazywać? Chcę po powrocie widzieć rozkosz moich oczu bez zmarsz-czek! Muszę jej wcześniej posłać balsam, dlatego chcę już teraz jechać wprost do Kirmanszah i dlatego już obecnie 15 poszukam słynnej kobiety plemienia Bachtijarów, aby od niej zdoby~ słodką rozkosz oblicza mojej Hanneh. Ruszam w po-dróż natychmiast i nieodwołalnie! Jeżeli nie zechcesz mi to-warzyszyć, pojedę sam: Jednakowoż dusza moja będzie cier-piała z tego powodu, że obojętnym ci jest serdeczne życzenie twego Halefa, który w każdej chwili byłby gotów dla ciebie na ~mierć wyruszyć.

To rzekłszy, odwrócił się ode mnie i zamilkł. Nieszczęsny przedstawiciel Matki Piękności! Dlaczego mu-siał akurat w czasie naszej obecności przyjść do kawiarni i przypomnieć mojemu Hadziem u zmarszczkach jego Han-neh! To nonsens dla kosmetyku przedsięwziąć tak daleką, długotrwałą i niezupełnie bezpieczną podróż! Ale człowiek Wschodu nie ma zrozumienia dla drogocенności czasu i Halef nie był w stanie pojąć, jakiej ofiary wymaga ode mnie. W rzeczywistości wszakże, nie mogłem mówić o stracie czasu w ścisłym tego słowa znaczeniu. Przedsięwziąłem tę podróż, aby zebrać wraienia i doświadczenia, jako materiał do powieści podróżniczych i mogłem sobie pozwolić na kilkudniową wy-cieczkę bez wielkiego uszczerbku dla moich planów; tak; moż-na się było nawet spodziewać rzeczy ciekawych na tym bocz-nym trakcie, ciekawszych aniżeli na głównej uczęszczanej dro-dze. Nazwawszy zaś tę drogę nie bardzo bezpieczną, nie mo-głem z drugiej strony twierdzić, że zamierzona podrób w dół Tygrysu i przez zatokę do Szirazu była zupełnie bezpieczna. Poza tym musiałem się liczyć z charakterem mego Halefa. Kochał ponad wszystko swoją Hanneh i nie przepuściłby na pewno żadnej sposobności, ażeby spełnić jej życzenie, zwłasz-cza, że w tym wypadku szło nie o zwykłe jej pragnienie, lecz o prośbę niezwykle ważką. Zważmy, ile kosmetyków znajduje się w buduarze kobiety Zachodu! Wymagania jednak kobiety wschodniej pod tym względem są znacznie większe. Niepoha-mowana żądza kobiety, aby zewnętrznie jak najkorzystniej się przedstawiać, jest na Wschodzie o wiele silniejsza, niż na Zachodzie. Jakże więc mogłem dziwić się Hanneh, że starała się wydawa~ możliwie piękną swemu Halefowi! Balsam Matki Piękności - tu chodziło wszak o radykalny środek na pięk-ność! Wolno mi o tym było sądzić, co mi się żywnie podobało, wolno mi było uważać, że skuteczność tego balsamu jest równa zeru, nie miałem jednak prawa przeszkadzać Halefowi w uczy-nieniu tego, co miało Hanneh, a co zatem idzie i jemu, sprawić

radość. Tylekroć dla mnie narażał życie - dla mnie teraz opuścił żonę, syna i szczenię swój i gotów był w każdej chwili złożyć mi ofiarę ze swej przyjaźni, więc czyż mogłem mu nie poświęcić paru dni? Powód, że ja, jako stary westman, nie mam właściwego zrozumienia dla kosmetyków, nie wchodził tu w rachubę. Nadto, przypominałem sobie, iż większość szczenięw Bachtijarów należy do sekty Ali Ilahis, a więc do sekty, o której wprawdzie wiele słyszałem i czytałem, lecz której żadnego z przedstawicieli nie znałem dotąd osobiście. Może nadarzała mi się teraz sposobność~ wypełnienia powyższej luki w podróży do Kirmanszah? Było więc dosyć powodów, aby zgodzić się na życzenie Halefa, aczkolwiek wydawało mi się rzeczą śmieszną, ażeby odbyć długotrwałą i męczącą podróż dla sprowadzenia balsamu od starej perskiej znachorki. Mimo więc wszystko, uczyniłem jeszcze ostatnią próbę odwiedzenia Hadżiego od jego zamiaru.

- Czy znasz, Halefie, szczenię Bachtijarów, do którego 17 należy Umm ed Dżamahl? - zapytałem go.

- Nie - odrzekł krótko.

- Zdaje się, że nie posiada ludzi, którym można zbyt ufać.

- Jakże to?

- Słyszałeś przedtem od handlarza nazwę idiz. Może wiesz, jakie jest znaczenie tego wyrazu?

- Nie wiem.

- Idiz, to kurdyjski wyraz, a znaczy: złodziej. Udasz się więc na poszukiwanie rzezimieszków?

- Czemu nie? Właśnie dlatego, że są lub też nazywają się złodziejami, chcę do nich się udać! Może wreszcie u nich doznam jakichś wrażeń. Przecież w tym celu podróżujemy! Teraz dopiero podwójnie się cieszę z tej podróży. Na pewno potem pożałujesz, żeś mi nie towarzyszył. Powiedz, effendi, czy nie jesteś w stanie tego pojąć, że Hanneh, ranna, południowa i wieczorna rozkosz każdego dnia mego życia, chce uchodzić za tak piękną w moich oczach, jak to jest tylko możliwe?

- Ach, doskonale to rozumiem! Lecz smarowanie policzków tłuszczem nie mieści się jakoś w mojej mózgowicy.

- 'R~ dobrze! Przecież tłuszcz nie ma służyć na mózgowicę, lecz do policzków! I twoja Emmeh wszelkimi siłami stara ci się chyba spodobać?

- Nie, ponieważ wie, że i bez specjalnych ku temu wysiłków z jej strony i tak mi się podoba.

- Bo jej twarz jeszcze jest gładka i bez zmarszczek! Ale mimo to na pewno używa różnych środków dla tym staranniejszego podkreślenia swej urody?

- Ja o niczym nie wiem.

- Używa chyba pomady do włosów?
- Nie. Nie znoszę zapachu pomady.
- A pudru do twarzy?
- Także nie. Zdrowa czerwiefi policzków jest ładna, a co jest ładne, tego nie należy pokrywać warstwą mąki.
- Ty rzeczywiście masz słuszość, gdyż mąka służy do wypieku chleba, a nie do przykrywania kolorów. Ale przednią kredką twoja Emmeh na pewno czerwieni swe wargi?
- Nie. Usta, którymi do mnie przemawia, nie powinny być pokryte fałszem pomadki.
- Ale choć czarnej farby używa do oczu, aby powiększyć wnikliwość swego wzroku?
- I tego nie czyni. Jej ładne, jasne oko unika każdego cienia.
- A więc jakich perfum zazwyczaj używa, aby połechtać miłośnię twoje powonienie?
- Żadnych.
- A piżmo, które pachnie w przeciągu dwóch tygodni?
- Ach, nie wspominaj mi o nim. Wystarczy napomknąć tylko o piżmie, ażebym zwiął, gdzie pieprz rośnie, tak nie znoszę jego woni. Sztucznie spreparowane zapachy podtrzymują kłamstwo. W moich oczach jest grzechem wyparcie się niewinnego i delikatnego zapachu swego zdrowego ciała przez tego rodzaju sztuczne środki.
- Oh, sidi, jaki z ciebie barbarzyńca! Gdyby w twojej Emmeh nie było nic sztucznego, jakżeby spędzała ten piękny czas, jaki wszystkie kobiety tracą ku wielkiej swojej radości na staranne upiększanie swego ciała?
- Nie szkodzi, ma robotę. Uczy mnie.
- Allah akbar! Bóg jest wielki! Ciebie? Ciebie?
- Tak, mnie.
- Sidi, to niemożliwe! Wszak ja cię znam! Jesteś człowiekiem niezwykle doświadczonym i masz umysł jasny i bogato wyposażony. Czego możesz się więc nauczyć od Emmeh, twojej duszy!
- Właśnie tu tkwi wielki, niezrozumiały błąd ludzkości, że nie chce posyłać umysłu swego do duszy na naukę! Nie zna się istoty obu tych czynników i sądzi fałszywie, że nauczycielka powinna pobierać nauki u ucznia.
- Nie pojmuję tego!

- Niech cię to zbytnio nie smuci! Takich jest legion, ale im się wydaje, że lepiej od ciebie to rozumieją. Pozwalają duszy marnieć a upiększają, malują i perfumują umysł tak, że staje się eunuchem!

- A więc najwspanialsze nawet wonie haremu nie mają dla ciebie żadnej wartości?

-Też pytanie! W Ben Szirjest napisane:Allah bynajpierw twórcą a potem poetą. Stworzył ziemię, podarował jej jako ukoronowanie całego dzieła swojego - Boski Wiersz, kobietę. I cóż powiesz na to, Halefie, że ten wiersz smaruje się pomadą i mąką, otacza się wonią z torby piżmowca, maluje się mu wargi, lica, oczy i ręce i stara się w ogóle wszelkimi siłami zniszczyć boską harmonię, jaką włożył weń niebiański poeta, największy znawca prawdziwego piękna?

- Co mam na to powiedzieć, sidi? Wszystkiego się zrzeknę, za wyjątkiem jednej rzeczy, balsamu piękności!

- Nazwałem Hanneh wierszem. Jej zmarszczki, to jego strofy budzące wdzięczność i szacunek.

- A więc uważasz marham ed dżamahl, którą mam zamiar nabyć za zbyt dużą?

-‘Oczywiście!

- Wobec tego stwierdzam, że zmarszczki ludzi Zachodu nie są tak bardzo godne smutku, jak zmarszczki ludzi Wscho-du. Według naszego smaku estetycznego wiersz bez bruzd jest zawsze ładniejszy od wiersza ze zmarszczkami i gdybym był w stanie wrócić mojej Hanneh gładkość lic, chętnie zrzekłbym się strof, budzących cześć. Ruszam więc zaraz w kierunku Kirmanszah, mimo przemiej naturalności twojej Emmeh. A teraz decyduj, czy mam tę podróż odbyć samopas, czy też nie! Mam nadzieję, że twoja miłość ku mnie nie jest mniejsza, niż moja ku tobie.

- Pod tym względem masz słuszość, Halefie. Jedziemy razem.

Stał z boku nadąsany. przy ostatnich moich słowach odwrócił się szybko i z błyskiem w oczach zawołał:

- Rzeczywiście? Czy to prawda?

- Tak.

- Nie kpisz?

- Nie.

- Hamdulillah! Zwyciężyłem, zwyciężyłem effendiego Ka-ra Ben Nemzi, którego dotychczas żaden człowiek na świecie nie pokonał! Sidi, dzięki ci, dzięki z całego serca! Przywieziemy ze sobą nie tylko balsam piękności, ale dokonamy również czynów bohaterskich, których sława

przejdzie z pokolenia na pokolenie, do naszych dzieci, wnuków i prawnuków!

- Wraz z balsamem Matki Piękności?

- Zamilknij, sidi! Mam naturalnie na myśli tylko nasze

czyny bohaterskie! Chodź, pójdziemy do binbasiego, który teraz został podniesiony do godności pułkownika. Musimy mu opowiedzieć, że wyruszamy jutro do Kirmanszah. Zobaczysz, będzie się już z góry cieszył czynami męstwa, których dokona-my i dziełami odwagi i opisami zwycięstw, o których usłyszysz po naszym powrocie. Jakże jestem szczęśliwy i radosny, że zdoła-łem pokonać twój upór. Albowiem - dodał, rzuciwszy na mnie chytre spojrzenie - muszę ci się przyznać, że nie pod-jąłbym nigdy tej podróży, bez ciebie.

- A, to sprytne.

- Tak, jestem przebiegły; wiem to za dobrze nawet. Wła-ściwość tę posiadam od urodzenia, - ciągnął dalej poufnym tonem - a od czasu, jak jestem właścicielem haremu, bardziej jeszcze się w tym kierunku wydoskonalilem. Teraz mały Halef był znowu sobą. Rzeczą samo przez się zrozumiałą było również to, że zaraz powiązał naszą podróż do Kirmenszah z „dziełami odwagi i męstwa”. Opuściliśmy kawiarnię i udaliśmy się do naszego mieszka-nia. Przybywszy do domu, oznajmiliśmy nasze postanowienie, „dotychczasowemu binbasiemu a obecnie pułkownikowi”. T~n zapytał o cel naszej wycieczki w persko-kurdyjskie góry. Halef, bez żadnych osłonek wszystko mu opowiedział i ku mojemu wielkiemu zdumieniu, stary nie tylko, że się nie zdziwił, lecz nawet mu przyznał słusznoś~. I on również znał sławę Umm-ed-Dzamahl i zapewnił mnie, że jest całkowicie uzasadniona. Słyszał niejednokrotnie, że środek ten działał zadziwiająco, a gruby Kepek, który się przysłuchiwał naszej rozmowie, dodał pewnym tonem, podkreślając swe słowa przekonywującymi gestami rąk:

- Tak, Umm-ed-Dzamahl zasługuje całkowicie na taką nazwę! Jej balsam najpotworniejszą twarz czyni piękną i sły-szałem nieraz w kawiarniach, które odwiedzam, że mężczyźni nawet doświadczyli na sobie doskonałość tego balsamu. Ja jednak nie używam tego kremu!

Tak, dla niego był rzeczywiście zbyt cenny, gdyż sprzyjający los wypełnił mu twarz tak obficie tłuszczem, że istnienie na niej jednej choćby zmarszczki należało uważać za absolutnie niemożliwe.

Podróż, na którą tak niechętnie się zgodziłem, była niezwykle ciekawa. Cośmy tam przeżyli i czegośmy doświadczyli zostanie opowiedziane w innym miejscu, tak, że wystarczy teraz krótko tylko wspomnieć, co następuje: Umm ed Dża= mahl odnaleźliśmy znacznie szybciej, aniżeliśmy to sądzili i to w roli szejka jednego ze szczepów jej plemienia. Dzięki pomyślnemu przypadkowi udało nam się wykorzystać sytuację i wyświadczyć jej przysługę, za którą była nam niewymownie wdzięczna. Byliśmy gośćmi plemienia, którego władczyni okazała nam wiele przychylności i ten fakt bardzo mnie cieszył. Zanim rozstaliśmy się z tymi ludźmi, Halef nie tylko że otrzymał od niej znaczny zapas balsamu, lecz także przydała mu specjalnego posła, który miał jej podarunek osobiście wręczyć Hanneh. Mnie atoli przypadła w udziale większa łaska, albowiem Umm ed Dżamahl wyjawiała mi, oczywiście w cztery oczy, 24 tajemnicę przyrządzenia balsamu; objaśniła mnie przy tym, że jeden z jej przodków, słynny na owe czasy lekarz, otrzymał to cudowne lekarstwo od Szeherezady, ulubienicy Haruna ar Raszida, w dowód wdzięczności dla swej sztuki lekarskiej, dzięki której udało mu się ją, słynną i znakomitą recytatorkę „T~siąca i jednej nocy”, uratować od niechybnej śmierci. Gdy wreszcie żegnaliśmy ją oraz całe plemię i wyjawiliśmy, że nie wracamy drogą Kirmanszah, Kerind, Khanekin ze względu na zbyt wielką przestrzeń, którą wypadłoby nam nadłożyć, radziła nam Matka Piękności ruszyć w stronę T~zaizu, dopływu Djali, ostrzegając wszakże przed zetknięciem się ze zbójckimi Hamawandami i Dawuhdijehami, dwoma równie „przedsiębiorczymi” jak i „nikczemnymi” plemionami kurdyjskimi, które właśnie wtedy były we wrogich wzajemnie stosunkach. Wyżej wyłuszczone powody czyniły, jej zdaniem, wspomnianą okolicę podwójnie niebezpieczną, toteż mimo wszystko, radziła nam nadłożyć drogi. Aczkolwiek zdawaliśmy sobie sprawę, że ostrzeżenie płynie z dobrego serca, nie mogliśmy jednak nie ruszyć we wskazaną uprzednio drogę na Işzai-zu, tym bardziej, że uczynilibyśmy to i bez rady Umm ed Dżamahl. Odnośnie zaś tego, że się Kurdów uważa za rabusiów i zbójów, mieliśmy, nasze własne, osobiste zdanie, wypływające z doświadczenia, a więc sąd bezstronny i obiektywny. Te często spotwarzane i w pismach europejskich napastowane plemiona okazują podróżnym, przyjaźnie względem nich usposobionym, gościnność, zasługującą na największe uznanie; nawet wróg śmiertelny tak długo korzysta z ochrony w namiocie, względnie w obozie plemienia nieprzyjacielskiego, pod którego pieczę oddał się z całym zaufaniem, jak 25 daleko sięga władza tego plemienia i przyrzeczenie. Rzecz zrozumiała, że kto przybywa w zamiarach wątpliwych lub, jak to czynią niektórzy, zwłaszcza europejscy podróżni, traktuje Kurdów jako upośledzonych, niżej od siebie stojących ludzi, skromnie uznających jego przewagę i godzących się na nieposzanowanie ich zwyczajów i obyczajów, ten nie powinien się od nich spodziewać, że się przyczynią do chwalebego wyrażania o nich. Jeżeli nawet żądają od ludzi, przejeżdżających przez ich terytorium, pewnego wynagrodzenia, to przecież nie można ich z tego powodu ganić. A jeżeli odmawia im się tego wynagrodzenia i oni je gwałtem wówczas wymuszają, nie należy się im dziwić, że pobierają więcej, aniżeli żądali i znawca tutejszych stosunków nie nazwie ich mimo to rabusiami. Pojęcie wyrazu „grabież” i pogląd na tę sprawę w ogóle są u tych ludzi całkiem odmienne, niż u nas. Jeżeli nasze poglądy, w powyższej kwestii nie mają żadnego znaczenia dla większej części Wschodu, nie możemy wymagać li tylko od Kurdów, od „dzikich” Kurdów, ażeby oni właśnie ku nim się sklaniali z własną szkodą materialną. Przypomina mi się prowadzona razu pewnego przeze mnie rozmowa w tej właśnie sprawie z tamtejszym wysokim urzędnikiem. Na czynione zarzuty, odpowiedział mi, uśmiechając się przy tym



dwuznacznie:

- Grabież? Łupieżcy? Chrofi cię Allah od niesprawiedliwości! Znam jednego człowieka, który był u was w kraju i prócz tego wiele o was czytał; on mi też o was opowiedział, a więc orientuje się trochę w tych sprawach. U nas mamy do czynienia z prostą, otwartą, szczerą grabieżą, która u nas występuje w formie grzecznej, skrytej i tajemniczej. Wy nazywacie to bankructwem, ruiną, krachem, trustami, spekulacją i pod tym płaszczykiem przynosicie szkodę nie tylko innoplemeficom, lecz także i swoim współziomkom. Wy skrycie wbijacie noże w piersi bliźnich, podczas gdy ci, których tu, u nas nazywacie rabusiami, czynią to jawnie, mówiąc tym otwarcie, przy czym napadniętym jest zawsze obcokrajowiec, nieprzyjaciel, nigdy zaś człowiek z własnego narodu! Jacy więc rabusie zasługują na wzgardę i potępienie, nasi czy wasi? Czy mogłem i czy moim obowiązkiem było zaprzeczyć jego słowom?

Ostatnimi czasy tak często z goryczą mówi się o Kurdach jako o narodzie rabusiów i im się przypisuje całą winę za osławione zamieszki armefiskie! Mawiałem już nieraz i teraz powtarzam, oczywiście w sensie ogólnym ujmując, że wolę dziesięciokro~ Kurda, aniżeli Ormianina, aczkolwiek ten ostatni jest chrześcijaninem. Jeżeli gdzieś na Wschodzie ma miejsce jakaś nikczemność, wówczas należy przypuszczać, że maczał w tym palce Lewantyńczyk, Grek albo, co jest bardziej, niestety, prawdopodobne, orlonosy Ormianin. Odnośnie zaś wspomnianych przed chwilą „zamieszek”, jest rzeczą powszechnie wiadomą, w jaki sposób i dla jakich celów powstały, albo, lepiej powiedziawszy „wywołane zostały”! Jeżeli usiłuję w tym miejscu bronić dobrego imienia Kurdów, czynię to wyłącznie z punktu widzenia humanitaryzmu; jestem bowiem zdania, że należy każdego sądzić wedle okoliczności, które go wychowały i które nim teraz jeszcze rządzą. Odnośnie zaś mieszkaficów Kurdystanu można by uważać, że żyją w takim systemie, w jakim myśmy żyli w epoce średniowiecza, w czasach przemożnego panowania prawa pięści, kiedy niejedyn z owych wielmożów, panów bogatych zamczysk, 27 byłby, według dzisiejszych pojęć, osądzony jako łupieżca. I czy z tego powodu jego potomkowie skreślili go z drzewa genealogicznego? Takim właśnie rycerskim Baldwinem von Eulenborst albo Brunonem von Felsenstein jest także Kurd, który uważa swoje czyny za zgodne z prawem i na zarzut, że nie jest człowiekiem honoru, lecz podłym złodziejem i bandytą, odpowiada nieubłaganą krwawą zemstą. Bywałem przez Kurdów uważany za wroga, nigdy jednak nie okradli mnie skrycie sposobem ormiańskim, nie wyzyskiwali czy oszukiwali. Tęgo samego zdania był również Hadzi Halef Omar, który mimo swoich pociesznych właściwości, nie wydawał fałszywego czy stronniczego sądu i chociaż często na temat Kurdów rezonował, nigdy nie wyraził się o nich jako o ludziach podłych i bez honoru.

Rzekł też do mnie teraz, kiedy nas ostrzeżono przed Da-wuhdijehami i Hamawandami:

-To tak brzmi, sidi, jakbyśmy się mieli ich ba~! Wszak my chyba nie powinniśmy się obawiać ludzi, którzy występują przeciw nam otwarcie z bronią w rękę, zdradzieckiego zaś tchórzostwa u nich nie spotkasz. Byłbym nawet zadowolony, gdyby się nadarzyła mała utarczka. Wiesz jednak, że nigdy nie unikam wesołej walki.

- Ale powinieneś unikać! - odparłem.

- Czemu?

- Czy rzeczywiście mam ci, Halefie, przypomnieć o ostatnim życzeniu twojej Hanneh?

- Ostatnim? Powiadam ci, effendi, że to nie jest jej ostatnie życzenie, gdyż będzie ich miała więcej po moim powrocie do domu! A co się tyczy tego życzenia, o którym ty myślisz, nie

28 jest ono skierowane przeciw znanej mojej odwadze, lecz jedy-nie przeciw nierozwadze, której mamy unikać.

- My?!

-Tak, my!

- Czy przez „my” mam rozumieć ciebie i siebie?

- Oczywiście!

- W takim razie muszę ci powiedzieć, że Hanneh nie mówiła o nierozwadze z mojej strony.

- Nie mówiła? Rzecz jasna, tego na pewno nie uczyniła.

Rozkosz mojego życia jest zbyt uprzejma, aby miała ci o tym, effendi, wspominać. Ale miała na myśli jedynie ciebie i sądzę, iż jesteś dość mądry, aby samemu, bez moich wyjaśnień, to Pojąć.

- A więc z całą pokorą muszę ci się przyznać, że nie posiadam też mądrości, o której mówisz.

- Rzeczywiście nie? Wobec tego rnocno żałuję, że mogę uznać tylko długość twojego rozumu, gdyż na nieodzowną dlań szerokość, niestety, już się nie rozciąga. Mam wrażenie, że, twoim zdaniem, życzenie mojej Hanneh, najukochańszej ze wszystkich kobiet na świecie, odnosi się li tylko do mnie!

- W każdym razie ja je tak zrozumiałem.

- A więc sądzisz, że Hanneh uważała jedynie mnie za zdolnego do popelnienia nierozważnego czynu?

-Tak.

- Sidi, nie bierz mi za złe, że wreszcie raz z tobą pomówię szczerze i otwarcie! Milczałem już dość długo, nie mogę jed-nak tego znieść, ażebyś mnie ciągle mieszał z sobą i siebie ze mną!

W jakiż to sposób?

-Ażeby ci to wytłumaczyć jasno i wyraźnie, muszę ci zadać kilka pytań. Czy odpowiesz mi na nie zgodnie z prawdą?

-Tak.

- Dobrze! A więc: jeżeli masz zapytać kogoś o coś, wtedy gdy ów ktoś znajduje się przy tobie, czy zadasz mu pytanie bezpośrednio czy też użyjesz posłańca, który by mu to zakomunikował?

Zrozumiałem, do czego zmierza, odpowiedziałem wszakże:

- Jeżeli jest przy mnie, mówię mu to bezpośrednio.

- Doskonale! Czyż ja więc byłem nieobecny, gdy ty się znajdowałeś u nas, w obozie Haddedińców?

- Nie.

-Ja tam byłem, u mojej Hanneh?

-Tak.

- Czy mogła ze mną swobodnie rozmawiać?

-Tak.

- Czy więc to, co tobie powiedziała, mogło być skierowane do mnie?

- Musisz się inaczej wyrazić, kochany Halefie! Skierowane było do mnie, ale powiedziane dla ciebie.

- Tym samym przecyzysz własnym słowem! Przed chwilą powiedziałeś, że nie załatwia się tego, co można komuś bezpośrednio powiedzieć, przez trzecią osobę. A ja wszak byłem na miejscu! Gdyby Hanneh chciała mnie upomnieć przed nieostrożnością, powiedziała by mi to osobiście, bezpośrednio. Ale ona zwróciła się z tym do ciebie, nie zaś do mnie, z czego wynika, że miała na myśli twoją osobę, a nie mnie!

- Ale wszak wspomniała specjalnie twoje imię i mówiła nie o mojej, lecz o twojej popędliwości.

- To prawda, ale czy nie zastanawiałeś się nad tym, dlaczego właśnie tak mówiła, a nie inaczej?

- Ażeby ciebie oszczędzić i nie smucić. Była za delikatna, aby to tobie bezpośrednio powiedzieć.

- Za delikatna! Effendi, to słuszne, jedynie słuszne słowo, ale twoje komentarze do niego nie są słuszne, ba, z gruntu fałszywe! Albowiem nie wobec mnie, lecz w stosunku do ciebie Hanneh, ta najbardziej niezrównana kobieta na całej kuli ziemskiej, była delikatna. Czy rozumiesz to?

- Tak rozumiem, co mówisz i nawet znana mi przyczyna takiego ujmowania sprawy przez ciebie.

- Nie chodzi o moje przyczyny, lecz o powód, jakim się kierowała Hanneh, gdyż nie ja z tobą mówiłem i ostrzegałem ciebie, lecz ona!

- Prawda. Ostrzegała mnie, ale nie przed sobą samym, lecz przed tobą.

- Sidi, ależ stanowczo pomyliłeś w tym wypadku osoby! ~ Mówiła o mnie, miała na myśli jednak ciebie. Dzięki swej wielkiej i nieporównanej delikatności zamieniła ciebie na mnie i mnie na ciebie, przypisując w ten sposób nierozwagę, o którą ciebie posądzała mnie. Tę odwagę wywołała w jej sercu troskę i niepokój; chciała ciebie prosić, abyś był ostrożniejszy niż zazwyczaj. Ale ponieważ obawiała się, że swą prośbą może ciebie zasmucić, więc postanowiła pod płaszczykiem troski o moje życie dać ci do zrozumienia, jak masz postępować. Przeto mówiła tylko z tobą i to w mojej nieobecności.

- Czy rzeczywiście wierzysz w to, o czym mówiłeś, Halefie?

- Wierzę w to, jak w moją Hanneh, której delikatność przewyższa takt wszystkich innych ludzi na ziemi.

- Ja również uznaję jej takt. Okazała go tym, że prośbę, która ciebie mogła niepokoić, skierowała do mnie, nie do ciebie.

- Co ja słyszę! O ubóstwo rozumu! O fałszywość myślenia! O błędność zrozumienia! Effendi, jaki mi to sprawia ból! Jesteś wprawdzie niezwykle mądrym człowiekiem, ale powiedziałem ci już raz, że w twojej głowie jest miejsce, które musi być naprawione. Jakże możesz przypisać takt mojej Hanneh mnie, a nie sobie!

- Dlatego, że nie jest moją żoną, lecz twoją! Powinna więc być delikatną i taktowną tylko względem ciebie, a nie zaś innego mężczyzny. Zrozumiałeś?

- Allah! Nie mogę już ani słowa rzec przeciw temu, gdyż prawdą jest, że jej takt, przyzwoitość i dobre ułożenie li tylko do mnie należą. Gdyby chciała innym tyle okazać czułości, co mnie, musiałbym ostro przeciw temu wystąpić. Tylko ja jestem wyłącznym posiadaczem jej zalet i jej orzeźwiających właściwości!

- Doskonale, a więc wreszcie zgadzamy się! Jej troska tyczyła się zatem li tylko ciebie, nie zaś mnie, a więc była mowa nie o mojej, lecz jedynie o twojej nierozwadze.

- Milczę, sidi. Ale zanim zamilknę całkowicie i zupełnie, muszę ci powiedzieć, effendi, że mam

wrażenie, iż odnośne miejsce twego rozumu nagle zostało naprawione.' Pdk, zwyciężyłeś mnie i opanowałeś taktem mojej Hanneh i musiałbym teraz sam uwierzyć we własną nierozwagę, gdybym nie był przeświadczony, że Hanneh w tym względzie, a to bywa, omyliła się. Często opowiadaliśmy jej o naszych bohaterskich czynach, przy których byłeś nadto odważny. Było to już dość dawno i nie należy się dziwić, że wzięła mnie za ciebie i w ten sposób pogmatwawszy i pomyliwszy osoby, wymieniła moje imię zamiast twego. Jej więc wyłącznie należy przypisać winę nieprzebaczalnego pomieszania, cofam przeto zarzut poprzednio tobie uczyniony.

-Drogi Halefie, sądzę, że ty jesteś tym człowiekiem, który pomylił nasze osoby, a nie zaś Hanneh czy też ja. Mam nadzieję, że to przyznasz?

- Nie, przenigdy! Jeżeli w dalszym ciągu jeszcze nie przyznajesz, że mam słusność, więc czuję się zmuszony, wyjaśnić ci szczegółowo, że ...

- Czyś nie chciał przedtem zamilknąć całkowicie i zupełnie! - przerwałem.

---- Rzeczywiście, tak mówiłem przedtem - odrzekł.

- Więc proszę cię, zamilcz! W tej „dyspucie” milczenie będzie dla ciebie płaszczem, w którym ci doskonale będzie do twarzy. Żądam przeto zupełnie poważnie, abyś się szybko w nim znalazł.

- Dobrze, sidi! Już zrobione, włożyłem go. Ale zobaczysz, że sam postarasz się ze mnie ściągnąć ten płaszcz! Dla zewnętrznego potwierdzenia swych słów, szczelnie zakrył się przednimi częściami swego burnusa, które przedtem były rozchylone, opuścił smutnie głowę i odtąd pograżył się na dłuższy czas w burnusie i milczeniu. Ale gdyśmy przybyli nad brzeg wąskiej, małej rzeczki, gdzie się zatrzymałem, ażeby z ukształtowania leżącego przed nami terenu wywnioskować o jej dalszym biegu, nie wytrzymał i zapytał:

- Czy sądzisz, że ten strumień należy do T~zaizu, o którym

nam mówiła Matka Piękności?

- Sądzę, że masz milczeć! - odrzekłem.

-Tak miało być przedtem, gdy chodziło o pomylenie osób.

Teraz jednak, gdy może zdarzyć się pogmatwanie okolic, muszę mówić. Zresztą, pytam do czego mamy oczy?

- Do patrzenia.

- A uszy?

- Do słyszenia.

- Czy zamkniesz oczy i uszy, jeżeli jest gdzieś coś do oglądania i słyszenia?

- Nie.

- A że tak samo ma się i usta do mówienia, nie widzę więc powodu, dla którego miałbym milczeć, jeżeli zachodzi taka konieczność mówienia, jak teraz. Chcę ci mianowicie oznajmić, że nie znam nazwy T~zaizu i jeszcze jej nie słyszałem.

- Ja również nie.

- Czyż więc mamy go szukać i znaleźć?

- Czemużby nie? Nazwa jest dla nas rzeczą drugorzędnej wagi. T~zaizu jest to turecko-kurdyjski wyraz. T~zai oznacza rzekę; zu może oznaczać wodę w ogólności, jak więc również rzekę. Nazwa jest więc właściwie bardzo nieokreślona. Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z często spotykanym przyzwyczajeniem nadawania rzeczom zupełnie przypadkowego pierwszego lepszego określenia. Dla Umm ed Dżamahl wspomniana rzeka była tylko „rzeką”, a jak właściwie się nazywa, to ją nie obchodziło. W każdym razie chodzi o prawy dopływ Djali, a ponieważ znajdujemy się właśnie po tej stronie, natkniemy się nań z całkowitą pewnością. Zatrzymałem się zaś w tym miejscu, aby zastanowić się, czy mamy ruszyć wzdłuż tego strumienia, czy też nie. Prowadzi bowiem w lewo i to głęboko w dolinę, która zakreśla daleki łuk, podczas gdy wzgórze rozciąga się w kierunku prostym. Jeżeli więc zostaniemy na górze, natkniemy się prawdopodobnie znowu na ten strumień i to nawet dziś wieczorem, kiedy będziemy szukali miejsca na obóz i gdy będzie nam trzeba wody. Jeżeli zaś ruszymy wzdłuż strumienia, nadłożymy zbytecznie drogi.

- Pozostajmy więc na górze.

Opuściliśmy Bachtjarów z samego rana, a teraz było już po południu. Znajdowaliśmy się na szczycie Gór Kurdyjskich. Góry leżały dookoła nas, jak stężale w czas burzy fale morskie. Pokryte były dość obficie zielenią. Przed nami daleko w linii prostej, rozciągały się wzgórza, wprawdzie nie zarosłe lasem, lecz bujnymi krzewami; w tą też stronę udaliśmy się, gdyż leżała na południo-wschodzie, czyli w kierunku, który miała przyjąć nasza podróż.

Co się tyczy strumienia, okazało się, że całkiem trafnie określiłem jego bieg. Dolina w kształcie łuku, po której przepływał, rozpoczynała się gdzieś hen daleko, ale im dłużej jechaliśmy, tym była nam bliższa i gdy wreszcie osiągnęliśmy pod wieczór cel naszej górskiej podróży, ujrzeliśmy strumień płynący dołem w poprzek doliny, aby połączyć się z innym strumykiem, wypływającym z prawej strony z jakiejś bocznej kotliny. Oba strumienie tworzyły w tym połączeniu prawdopodobnie widły rzeki, którą zamierzaliśmy odnaleźć. Pojechaliśmy w głąb doliny w poszukiwaniu miejsca, które

nadawalioby się na obozowisko. Znaleźliśmy je w pobliżu zbiegu obu strumieni. Zsiedliśmy z koni, które natychmiast poczęły pić wodę, po czym umyliśmy je. Był to nasz stary zwyczaj, który stosowaliśmy po dłuższej podróży, gdy zatrzymywaliśmy się w miejscu, w którym się znajdowała woda. Podczas gdy nigdy nie należy myć koni ciepłą wodą, to zimna woda jest tak niezbędna dla ich zdrowia, że niewykorzystanie odpowiedniej sposobności byłoby wprost grzechem nie do darowania. Zresztą, sam instynkt nakazuje w ten sposób postępować. W zachodniej części Stanów Zjednoczonych widywałem bardzo często dzikie mustangi, udające się nawet w niezwykle zimne dni nad wodę celem wypławienia się.

Konie puściliśmy na pastwisko, sami zaś ułożyliśmy się pod grupą drzew iglastych, których gęste wierzchołki dawały gwarancję, że nie będziemy narażeni na nocną rosę. Wybraliśmy tak miejsce, że mieliśmy przed sobą całą krzywiznę głównej doliny i mogliśmy także rzucić wzrokiem na otwór bocznej kotliny. Uważaliśmy, że za zbyt szybkie rozpalanie ogniska, nasza bowiem wieczerza składała się z zimnego mięsa, które otrzymaliśmy od Umm ed Dżamahl, gdy wyruszyliśmy od niej w dalszą drogę. Dym zaś był zbyt gęsty, gdyż dokoła nie widziało się komarów, które należałoby odstraszyć. Temperatura była tak łagodna, że nie trzeba nam było sztucznego ciepła, a ogień pociągnąłby za sobą jedynie ten skutek, że jego światło i zapach mogłyby nas ewentualnie zdradzić. Wprawdzie nie wpadło nam do głowy obawiać się jakiegokolwiek spotkania, ale jeżeli człowiek znajduje się w podobnej okolicy, czuje się najbezpieczniej w towarzystwie jedynie siebie samego. Życzenie jednak, abyśmy się znajdowali we własnym towarzystwie, nie miało się spełnić. Mieliśmy jeszcze zapewne z pół godziny do zmierzchu, gdy zauważyliśmy oddział jeźdźców zbliżających się ku nam z bocznej doliny. Było ich sześciu, dobrze uzbrojonych mężczyzn. Z ubioru wyglądali na Kurdów.

Wszyscy nosili czerwone szarawary, ściśle do ciała dopasowane kurtki, przepasane rzemiennymi pasami i na nich płaszczki ciemnej barwy. U boku zwisały im krzywe szable; pistolety i noże mieli zatknięte za pasami; prócz tego mieli długie strzelby kurdyjskie, osadzone za ledwie do połowy lufy. Pięciu z nich nosiło czapki owego szczególnego kształtu, nadające im wygląd wygarbowanych olbrzymich pajaków, których półkolisty kształt pokrywa głowę, podczas gdy liczne odnogi zwisają z tyłu i z boków. Szósty miał na głowie turban o sześciu niemal stopach średnicy. Podobnie wielkie turbany często się spotyka, zwłaszcza w Kurdystanie. Warto przy okazji zaznaczyć, iż miast wyrazu turban właściwie winno się używać słowo dylbend, co oznacza kawał muślinu, używanego do okrywania fezu względnie, bezpośrednio do owijania głowy, celem uczynienia zeń zawoju.

Konie Kurdów, jak zdołaliśmy stwierdzić zaraz przy pierwszym spojrzeniu, były niezwykle dobre. Mieli mianowicie klacze rasy kurdyjskiej, odznaczające się długim, wytrzymałym oddechem oraz, co jest rzeczą wagi pierwszorzędnej w okolicach górskich, pewnym i mocnym chodem.

Tak, jak myśmy od razu zauważyli owych jeźdźców i oni nas również natychmiast spostrzegli, gdyż między nami a nimi nie było najmniejszej przeszkody, która uniemożliwiłaby wzajemne widzenie się. Zwłaszcza na pierwszy rzut oka mogli dojrzeć nasze konie i ocenić ich wartość, gdyż pały się pod grupą drzew o parę metrów przed nami. Potem dopiero Kurdowie zwrócili uwagę na nas. Zatrzymali się, obserwowali przez krótki czas, naradzali się chwilę, po czym podjechali w naszą stronę z gotowymi do strzału karabinami w rękę;

37 właściciel turbana na przedzie. Tiwarz jego, w przeciwieństwie do towarzyszy, którzy mieli gęste długie brody, była bez włosów. Kurdowie odnosili się doń z dużym szacunkiem tak, że nie ulegało



dla nas żadnej wątpliwości, iż jest ich przywódcą. Nadmieniałem już poprzednio, że mieli nadzwyczaj dobre wierzchowce, mimo to jednak, nie zamieniłbym jednego na-szego konia na ich pięćdziesiąt, a nawet sto. Nasze rumaki nie posiadały w ogóle wartości zamiennej, gdyż były nieocenione. To również spostrzegli Kurdowie. Ze zdumieniem przyglądali się im, dzieląc się przy tym wzajemnie uwagami. Zbliżywszy się do nas na odległość blisko dwudziestu kroków zatrzymali się i obserwowali nas podejrzliwym wzrokiem.

- Sallam! - pozdrowił nas przywódca.

Przywitał nas nie po kurdyjsku, poznał zatem, że nie jeste-śmy Kurdami. Tak krótko, jak on, wita się jedynie niewiernych lub ludzi, którym się nie ufa.

- Sallam! - odparłem i ja oschłym tonem, aczkolwiek zdawałem sobie sprawę, że krótkie aaleikum wcale nie ubliży-łoby mej godności, przeciwnie, odpowiadałoby bardziej for-mom grzeczności, aniżeli powtórzenie owego krótkiego sal-lam.

Głos przybysza odznaczał się wysokim tenorem czy też głębokim altem, co było w zupełnej zgodzie z nieowłosioną twarzą. Rysy jego niezwykle regularne, za miękkie na mężczy-znę, były kobieco niemal piękne. Tiwdno było określić jego wiek; na próżno starałem się dociec przyczyny tego zjawiska. Mógłbym nawet zdobyć się na twierdzenie, że twarz ta nigdy nie była golona. Przyszła mi też do głowy myśl, że gdyby człowiek ten nie siedział tak pewnie w siodle i nie był ubrany 38 po męsku, wziąłbym go bezsprzecznie za kobietę, aczkolwiek spojrzenie jego było tak męsko szczere, tak pewne siebie i spokojną, jak u człowieka, który zna swą godność i który przywykł do wykonywania jego woli. T~ rozmyślania wszakże nie zajęły mi zbyt dużo czasu i przeszły przez mój umysł z tłyaskawiczną szybkością. Zaledwie padła moja krótka odpowiedź, Kurd gniewnie zmarszczył czoło i rzekł:

- Maszallah! Zdajecie się być dostojnymi panami, iż tak oszczędny jesteś w słowach przywitania!

Posługiwał się także i teraz językiem arabskim. Odrzekłem:

- Sądząc wedle twojej oszczędności słów, należy i ciebie uważać za nie mniej dostojnego męża, niż nas.

- Powiedz lepiej, kim jesteście!

To brzmiało władczo, jak z ust przywykłych do wydawania rozkazów.

- Czyż nie wiesz o tym - odrzekłem, - że ten, który dłużej znajduje się na miejscu postoju, ma prawo do zadawania tych pytań? Obowiązkiem natomiast później przybyłego jest na nie odpowiedzieć!

Odwrócił się do swoich towarzyszy i rzucił szeptem jakąś uwagę, po czym skierował się ku mnie i rzekł z uśmiechem na pełnych wargach:

- Nie chodzi w tym przypadku oto, kto przybył wcześniej, a kto później, lecz zależy po prostu od tego, kim i czym się jest. Obowiązkiem niżej stojącego w hierarchii społecznej jest odpowiedzieć temu, który zajmuje wyższe stanowisko. Przeto będziecie musieli mi powiedzieć, kim jesteście. Ja tego żądam! Powiedział to tak pewnym siebie tonem, że mój mały Hadzi Halef, którego właściwości w tym względzie są zapewne 39 czytelnikom znane, nie czekał na moją odpowiedź, lecz bardzo szybko i w szczególnym uniesieniu zabrał głos:

- Co też ja słyszę?! Musicie powiedzieć? Ty tego żądasz?

Słuchajcie, moi ludzie, on mówi o żądaniu, o własnym żądaniu! A więc wiedz, mój panie, że kto ośmiela się czegoś żądać i to w sposób tak władczy, musi stać znacznie wyżej od tego, któremu stawia swe żądania. Może więc zechcesz mi z łaski swojej powiedzieć, o ile garbów wielbłądzych stoisz od nas wyżej?!

- Tak znacznie ciebie przewyższam, że mogę od ciebie żądać dowodów czci i posłuszeństwa!

- Tak? Nawet dwóch rzeczy jednocześnie? Czci i posłuszeństwa razem? No, no! W takim razie mamy prawdopodobnie zaszczyt widzieć przed sobą samego padyszacha, przez Allaha błogosławionego sultana i kalifa wszystkich wiernych?

- Nie, nie jestem nim.

- A zatem dostojnego szachinszacha, znakomitego władcę państwa perskiego?

- Nie.

A może w takim razie cesarza Szwajcarii, króla Krety, albo też niezrównanego, o światowej sławie księcia Alp i Chorwacji?

- Także nie.

- Nie? Dziwne! Pozwalasz sobie stawiać żądania, jak gdy-byś był największym władcą ziemi, a

okazuje się, że nie jesteś żadnym z tych, których wymieniliśmy. Ale powiadam ci: nawet gdybyś był jednym z tych wysoko postawionych ludzi, choćbyś i łączył w sobie władzę ich wszystkich razem, nie byłbyś jeszcze w stanie wymagać od nas czci i posłuszeństwa, o których

40 mówiłeś. Albowiem czią otaczamy jedynie siebie samych, nigdy zaś jakichkolwiek śmiertelników, a co się zaś tyczy po-słuszeństwa, to szukasz go u nas daremnie. Czynimy mianowicie zazwyczaj tylko to, czego sami chcemy, jeśli ktoś zatem przypuszcza, że będziemy postępowali zgodnie z jego wolą, temu dajemy natychmiast do zrozumienia, iż nie może od nas w żadnym wypadku niczego żądać.

-A więc stawiacie sobie wyżej, aniżeli padyszacha, a nawet szacha? - zaśmiał się Kurd. - W takim razie ośmielam się was prosić w całej pokorze i uniżoności, abyście z łaski swojej zechcieli poinformować waszego sługę, z jakimi wysoko postawionymi osobistościami ma zaszczyt mówić.

- Nie uczynimy tego wprzód, zanim nie będziemy wie-dzieli, kim wy jesteście.

-Togo wam nie powiemy!

- Więć i rny będziemy milczeli.

- Zmusimy was!

- No, spróbójkcie, moi panowie!

- Nas jest sześciu, a was tylko dwóch!

- A gdyby was było nawet sześciuset, czy sześć tysięcy, postąpilibyśmy jednak tak, jak my uważamy za stosowne! Na te słowa Kurd wybuchnął raczej wesołym, niż gniewnym śmiechem, w czym mu jego towarzysze zgodnie wtórowali. Zsiadł z kotłia, przystąpił bliżej ku nam, podczas gdy my ciągle jeszcze siedzieliśmy na swoich miejscach, i rzekł:

- Obraliśmy z góry to miejsce na nocny wypoczynek. Usta-pcie zatem i zróbcie nam miejsce!

- Nie, kochany, tuś źle trafił! - odparł Halef.

- Zmusimy was!

- A czym, jeśli można zapytać?

- Bronią, którą mamy ze sobą.

- Tę zostawcie, w imię Allaha! Nie ma na świecie takiej broni, którą by~cie mogli nas nastraszyć! I gdyby nawet każdy z was posiadał po dziesięć i więcej naładowanych dział, śmielibyśmy się i tak z tego!

- Masz źle w głowie! Już bym się od dawna na ciebie rozgniewał, gdybym nie widział, że należysz do litości godnych ludzi, których się powszechnie nazywa karłami. Nie możesz zatem doprowadzić mnie do pasji, lecz jedynie obudzić uczucie litości. A więc opuście dobrowolnie to miejsce, jeśli nie chcecie, byśmy was do tego zmusili! Widzisz, mbwią teraz całkiem poważnie i nie żartuję. Jeżeli nie usłuchacie natychmiast, zastrzelę was jak psy!

Tiz wyciągnął pistolet z za pasa i odwiódł kurek. Powiedziałem już raz, że nic nie mogło oburzyć tak Halefa, jak fakt, że wytykano mu jego niski wzrost. To miało również miejsce i w tym wypadku. Skoczył na równe nogi szybciej, niż się nawet ja mogłem po nitr tego spodziewać, wytrącił Kurdowi pistolet z ręki, pochwycił go za ramiona, rzucił obok mnie na ziemię, klęknął na jego ciele, lewą ręką ścisnął mu gardło, prawą zaś wyciągnął nóż i gotując się do pchnięcia, zawołał:

- Łotrze, poznaj karła! Ani mi się waź ruszyć z miejsca! A jeżeli, ludzie, któryś z was ośmieli się choćby dotknąć swej broni, natychmiast wsadzę mu nóż w serce! Ja mam być karłem! Powiadam wam, najmniejsza odrobina mego najmniejszego palca całkowicie starcza, aby wam okazać, iż jesteście wobec mnie jako niemowlęta, nie mogące się bronić! Najmniejszy ruch, choćby ciefi oporu, a kładę waszego przywódcę trupem 42 na miejscu!

Był to niezmiernie ciekawy widok, jak pięciu Kurdów tkwi nieruchomo na koniach. Nie spodziewałem się po małym Halefie tak błyskawicznego i gwałtownego opanowania sytuacji. Ostrze gotowe do pchnięcia, energiczny ton jego głosu i błyszczące oczy, którymi groźnie na nich spoglądał, zrobiły takie wrażenie, że nie tylko siedzieli spokojnie na koniach i nawet palcem w bucie nie ośmieliliby się ruszyć, lecz nie wazyli się również odezwać ani słowem. Thkże przywódca nieruchomy ze strachu, leżał cierpliwie pod kolanami i ręką Hadżiego, który przez cały czas bacznie go obserwując ciągnął dalej:

- No teraz, bratku, zmusz nas do opuszczenia tego miejsca, zmusz nas do pozostawienia go wam! Bardzo jestem ciekaw, jak się do tego zabierzesz! Nie próbuj tylko się uwolnić! Natychmiast bowiem pchnę cię nożem aż po rękojeść! Nie myśl, że żartuję! Jeżeli przypuszczasz, że to zależy od wysokości i szerokości postaci, to muszę ci powiedzieć, że się grubo mylisz! Już się przede

mną głęboko w prochu tarzali najwięksi olbrzymi kuli ziemskiej, a ty znów nie jesteś takim wielkim chłopem, ażebyś się mógł bawić kosztem innych. Żądam teraz, abyście mi natychmiast powiedzieli, kim jesteście. Nie zwlekaj, w przeciwnym bowiem razie, nóż mój działać zacznie daleko szybciej, aniżeli twój język!

- Wprzód puść mnie, gdyż nie mogę mówić! - wybełkotał Kurd pod silnym naciskiem kolan Halefa.

- Dobrze, popuszczę ci trochę, ale tylko nie próbuj się uwolnić! A więc gadaj! Kim jesteście?

- Jesteśmy Kurdami - odrzekł zapytany wyraźniej nieco,.

gdyż Halef nie uciskał mu już krtani.

43

- To widzimy. Ale chcemy raz już wreszcie wiedzieć, do jakiego plemienia należycie!

- Do plemienia Dumbeli.

- Gdzież ono obecnie się znajduje?

- Tii, w pobliżu. Dokładnego miejsca nie znamy. Byliśmy daleko, a teraz wracamy do domu. Dla uniknięcia jednak zbyt długiego szukania, postanowiliśmy stanąć tutaj, a stąd nas zabiorą. Musimy przeto pozostać w tym miejscu. Domagamy się zatem od was, abyście je opuścili. Puść mnie wolno i weź pod uwagę, że po tym, jak wrogo się z nami obeszliście, zemszczą się na was krwawo.

- 'Pak się boimy zarówno waszych ludzi, jak i zemsty z ich strony, jak się do tej pory was baliśmy. Rozdziawiłeś tak szeroko gębę i ośmieliłeś się dawać nam rozkazy, jak gdybyś nie należał do zwykłych wojowników swego plemienia. Jak więc jest z tobą pod tym względem?

- Jestem wodzem.

- Jak się nazywasz?

- Nazywam się Adir Beg.

- W takim razie powiadam ci coś, Adir Beg! Jeżeli usłuchasz, obdarzę cię wolnością, ale tylko z dobrej woli, a nie dlatego, że się was boimy. Posłuchaj więc, co ci powiem!

-Poczekaj jeszcze chwileczkę! -przerwałem mu, gdyż nie chciałem dopuścić, aby sam coś postanowił. Chodziło mi o zasadę a również i oto, że nie było tak całkowicie pewne, jak się jemu zdawało, iż jego decyzje uzyskają moją aprobatę.

- Czy masz jakiś zarzut? - zapytał.

- Owszem.

- Jaki?

- Ten człowiek nie powiedział ci prawdy. To nie Kurd ze szczepu Dumbeli.
- Uważasz, iż mnie oszukał?
- Oczywiście. I~kże imię Adir Beg jest fałszywe.
- To moje prawdziwe imię! - wmieszał się Kurd do roz-mowy. - A także szczep podałem zgodnie z prawdą. Dlaczegoż miałbym podawać fałszywe imiona?
- Gdyż ... ale o tym potem! Nas nie oszukasz!
- Mówisz o oszukiwaniu? Jakże wy możecie mnie poma-wiać o kłamstwo, wy, którzy nie jesteście Kurdami, a więc nie znacie naszych stosunków!
- Znam je prawdopodobnie lepiej, niż wy sami, - odrze-kłem - dowiodę ci tego, aczkolwiek nie widzę takiej potrzeby.

Pomimo, iż teraz nie mówiłeś po kurdyjsku, lecz po arabsku, ja jednak poznaję po twojej wymowie, że twój szczep posługu-

;;;i;::

je się kurmandżyjskim dialektem, a nie narzeczem Saza. Lu-

!

dzie jednak szczepu Dumbeli są Kurdami Saza, a i fałszywe imię Adir, które przybrałeś, jest również wyrazem Saza.

- Jakiś ty mądry! - odparł na poły zakłopotany, na poły zaś szyderczo. - Zdajesz się weale nie wiedzieć o tym, iż wyrazy zapożyczają się z jednego dialektu do innych!
- O tym doskonale jestem poinformowany. Ale z drugiej strony wiem również bardzo dobrze, że Dumbeli nie znajdują się w tej okolicy, lecz bardzo daleko stąd. Oszukałeś nas, a kto i nie jest z nami szczerzy, ten nie powinien liczyć na pobłażliwość z naszej strony.

Kurd chwilę się wahał, zanim udzielił odpowiedzi. Spoglądał mi badawczo w twarz, w końcu

jednak rzekł:

- Wydaje mi się, iż jesteś dobrym człowiekiem! Żli ludzie

45 mają inne oczy, jak również i rysy twarzy. Dlatego przyznam ci się szczerze, aczkolwiek czynię to wbrew sobie samemu, że nie powiedziałem wam prawdy. Nie mogę jednak i teraz powiedzieć kim jesteśmy. Uczyniliśmy ~lub Allahowi i to zmusza nas do milczenia. Czy wierzysz temu?

-Tak. Chyba teraz mówisz prawdę. Wierzę w to.

- Jeżeli nas w dalszym ciągu będziesz zmuszał do udzielenia ci odpowiedzi, będziemy, niestety, zmuszeni znowu kłamać. Tylko to było powodem, że nie powiedzieliśmy kim jesteśmy. Innych przyczyn, skłaniających nas do przemilczenia naszego imienia i szczepu, nie ma. Przeciwnie, możemy jedynie być dumni z tego, kim i czym jesteśmy i mamy raczej powody ku temu, żeby o tym mówić, niż przemilczać. Teraz, gdyś to wszystko usłyszał, mam nadzieję, iż nie będziesz się już wahał udzielić nam wyjaśnienia co do waszych osób. Proszę cię o nie. Do jakiego plemienia należysz?

- Do żadnego.

- Jesteś wszak Beduinem! Jeżeli zaś którykolwiek z Beduinów nie należy do żadnego plemienia, jest to dowodem, iż został skazany na banicję z powodu niehonorowego zachowania się i żaden inny szczep go nie przyjmie. Ty zaś niewyglądasz mi jakoś na banitę!

- Masz rację. Nie jestem Beduinem.

- Więc Persem?

- Nie.

-Tiirkim?

-Także nie. Jestem chrześcijaninem. Pochodzę z Zachodu.

- ‘Pdm jest dużo krajów noszących najróżnorodniejsze miana. Jak się nazywa twoja ojczyzna?

- Dżermanistan.

- Dżermanistan? To znany kraj, o którym się u nas mówi.

Sułtan tego kraju zwał się Wirhem ?



- Wilhelm, chciałeś zapewne powiedzieć!
- Jego wielki wezyr nazywał się Ben Bismara?
- Bismarck.
- A jego wódz nazywał się Molekeh.
- Nie Molekeh, lecz Moltke.
- My nie możemy wymawiać tych imion, jak wy to czynicie, ale wiele słyszeliśmy o tych trzech osobach. Opowiada się u nas o niezrównanych czynach przez nich dokonanych. Wyobrażam sobie, że w Dżermanistanie jest wielu mężnych ludzi.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Gdyż mieliście odwagę walczyć z potężnym plemieniem Franków, którego jeszcze żadne plemię nie zwyciężyło. Jest nam także znany słynny Kara Ben Nemzi, który ma być wojownikiem z waszego kraju.

Zaledwie wypowiedział to imię, Halef szybko zapytał:

- Kara Ben Nemzi? Czy go znasz?
- Tak.
- Skąd?
- Któżby go nie znał, kto nie słyszał o nim i o jego towarzyszach Halefie. Ci dwaj ludzie dopomogli niejednemu plemieniu w walce przeciw jego wrogom i przyczynili się do odniesienia zwycięstwa, gdyż są niezwykle odważni. Kara Ben Nemzi i jego Halef nigdy nie zostali pokonani i ich imiona żyją nie tylko w ustach ich przyjaciół, lecz są także i przez wrogów wspominani z poważaniem.

Halef ciągle jeszcze trzymał Kurda; gdy ten jednak wspomniał jego imię, zdjął najpierw lewą nogę z jego piersi a przy słowach „niezwykle odważni” i prawą, tak że oswobodził leżącego na ziemi, który mógł teraz podnieść się i bez dotychczasowego ucisku dalej opowiadać. Nóż jednak ciągle jeszcze trzymał w ręku. Skoro wszakże Kurd pod koniec wspomniał o „poważaniu”, mały Halef cofnął również tę groźną broń i rzekł przyjaznym tonem:

- Dlaczegoś tego od razu nie powiedział, że znasz owych słynnych na cały świat bohaterów! Wówczas pomówilibyśmy z wami inaczej, niż dotychczas. Jesteś wolny, zupełnie wolny!

- A więc i ty ich znasz? - zapytał się Kurd, szybko podnosząc się z pozycji siedzącej i schylając po pistolet, aby go podnieść z ziemi.

Nie zwracając uwagi na ostatni ruch Kurda, Halef odpowiedział:

- Oczywiście, iż znam obu i to nawet bardzo dobrze!

- Słyszeliście o nich?

- Nie tylko to!

- Nawet widzieliście ich może?

- Więcej jeszcze!

- Co słyszę! Mówiliście więc z nimi?

- Jeszcze więcej!

- W takim razie chyba z nimi podróżowaliście, jeździliście i znajdowaliście się przez dłuższy czas w ich towarzystwie?

- Jeszcze nie wszystko!

- Jeszcze nie wszystko? Przecież nic więcej ponad to, co już wspomniałem, być nie może!

- Och znacznie więcej!

- Cbż zatem?
- Że się zawsze w ich towarzystwie znajdujemy!
- Myślisz chyba czasami, a nie zawsze!
- Nie, właśnie że zawsze!
- W takim razie i dzisiaj, nawet teraz jesteście z nimi?
- Właśnie! Teraz też jesteśmy w ich towarzystwie.
- Jak? Rzeczywiście, naprawdę?! Gdzież w takim razie oni są? Powiedz prędko, bardzo prędko! Oddalili się na krótki czas i zaraz powrócą? Oczekujecie ich?
- Nie.
- Więc jakże?
- Są tutaj!
- W takim razie musielibyśmy ich widzieć!
- No tak, widzicie ich właśnie.
- Widzimy tylko was! Czy się gdzieś ukryli? Czy się cofnęli na nasz widok?
- Nie. Znajdują się w tym miejscu.

T~ krótkie pytania i odpowiedzi następowały szybko po sobie. ‘Przywódca Kurdów wykazywał szczególną gorliwość i ton jego stawał się coraz to natarczywszy. ~raz rzucił kolejne spojrzenie na Halefa i na mnie; nie wiedział, co ma powiedzieć. Nagle jeden z jego towarzyszy zawołał:

- Konie, konie, któreśmy podziwiali! Któż mógł by mieć takie konie?

Pobudzony tym okrzykiem, wódz odwrócił się do naszych wierzchowców; szyb~o jednak skierował się w naszą stronę i krzyknął:

- Halef ma być bardzo mały, a Kara ...

- Mały z postaci, ale niezwykle wielki odwagą i męstwem!

- szybko dorzucił Hadzi.

- A Kara Ben Nemzi - ciągnął dalej Kurd, ledwie Halef skoficzył, - nosi podobno na szyi zęby zabitych przez siebie niedźwiedzi, lwów, tygrysów i panter! Ty jesteś mały, a twój towarzysz, jak widzę, ma taki dwurzędny naszyjnik! Czyżby-ście ...

Ze zdumienia zatrzymał się.

- Czyżbyście ... ? Co? - spytał Halef.

- Czyżby~cie ... wy ... więc nimi byli?!

- Czemu nie?

- ~ jesteś Hadzi Halef Omar?

- Thk.

- Najwyższy szejk Haddedińów ... ? Z wielkiego plemienia Szammarów?

- Oczywiście!

- A on, to Kara Ben Nemzi?

- Naturalnie!

- Czy to prawda? Czy to nie kłamstwo?

- Możesz wierzyć w to, co mówię.

- A więc niechaj będzie błogosławiona chwila, która was do nas sprowadziła! Widzę tych ludzi, których ujrzenie było rnoim największym pragnieniem! Spotykamy was w chwili i miejscu, kiedy wasza rada będzie dla nas nieoceniona i mile widziana! Zsiadajcie z koni i powitajcie obu tych doświadczo-nych i niepokonanych mężów! Uściśnijcie im dłonie, jak się wita dobrych, serdecznych przyjaciół, których widok raduje serce!

Powstaliśmy. Kurdowie zsiadli ze swych koni, odłożyli brofi i potrząsali tak serdecznie naszymi rękoma, jak gdybyśmy byli ich kochanymi, starymi, od dawna nie widzianymi kolegami i przyjaciółmi, których nieoczekiwane ujrzenie podwójnie uradowało ich serca. Następnie wygodnie ulokowali swe konie i zsiadli przy nas, poprosiwszy uprzednio o pozwolenie. I tak sytuacja,

zapowiadająca się zrazu dość wojowniczo, w jednej chwili całkowicie się odmieniła.

Wódz zasiadł naprzeciw mnie. Interesował mnie bardzo i chętnie bym go obserwował, aby sobie wyrobić o nim pewne zdanie, niestety jednak, było już na to za ciemno, gdyż wieczór zapadał, a Kurdowie oświadczyli, że pójdą za naszym przykładem i nie rozpalą ogniska.

Naturalnie, szło nam teraz o to, aby się przede wszystkim dowiedzieć, z jakiego szczepu Kurdowie pochodzą. Halef wyraził to życzenie w swój specyficzny sposób:

- Chcieliście nas zmusić, by wam powiedzieć kim jesteśmy.

Wyście się tego dowiedzieli, aczkolwiek nie daliśmy się zmusić do uczynienia tego, czegoście się tak bardzo od nas domagali. Ponieważ jednak waszemu życzeniu stało się zadość, winniście nam teraz zdać sprawę o sobie i mam nadzieję, że nie będziecie się nadal otaczali tajemnicą, jak płaszczem, przez który dopie-ro wówczas można patrzeć, kiedy jest stary i podarty.

Na to odpowiedział przywódca:

- Już was poinformowaliśmy, że uczyniliśmy śluby i dlatego zmuszeni jesteśmy milczeć. Możemy wam jedynie powiedzieć, gwoli prawdy, że należymy do plemienia Kurdów Hamawandi.

- Czy jesteś szejkiem tego plemienia?

- Nie, nie jestem nim, lecz bliskim jego krewnym.

- A twoje imię?

- Wybacz, to także tajemnica. Nazwij mnie ... - myślał kilka chwil, po czym dodał: - nazwij mnie Adzy; będę pamiętał, iż to o mnie chodzi.

Kurd, być może, miał na myśli turecki wyraz adzys, oznaczający tyle, co „bez imienia”. Halef kiwnął mu przytakująco głową i rzekł:

- Ślubu nie należy łamać; dlatego starczy, że nam wymienisz pierwsze lepsze imię. Byliśmy u Bachtijarów, a teraz zamierzamy wrócić do Bagdadu. Ponieważ wam o takich rzeczach opowiadam, może więc od ciebie się dowiem, w którą stronę się udajecie?

- Właśnie w tej sprawie zaciągniemy waszej rady. Właściwie, cała ta podróż jest również tajemnicą, ale tak niebezpieczną, że nie muszę się wcale zastanawiać nad tym, czy wolno mi ją wam opowiedzieć. Dlatego też ucieszyłem się niezmiernie, że dzisiaj właśnie was spotkałem, dwóch tak doświadczo-nych i odważnych mężów o wybitnym rozumie, że mogłoby to dla nas

stanowić wielką korzyść, gdybyście zechcieli nam po-wiedzieć, jakbyście postąpili na naszym miejscu. Przede wszy-stkim jednak chciałbym usłyszeć, jakie jest wasze zdanie o Kurdach Dawuhdijeh.

- Nasze zdanie w tej sprawie? Hm! Co my o nich sądzimy?

‘Także, hm! -odrzekł Halef, po raz pierwszy wykazując pewną ostrożność. Po czym odezwał się, zwróciwszy w moją stronę:

- Wolę, żebyś ty mówił zamiast mnie, effendi. Wszak wiesz, że staram się zazwyczaj jak najmniej mówić, zwłaszcza, gdy nie wiem dokładnie, jak i co mam powiedzieć.

Tym samym przerzucił „ciężar odpowiedzialności” na moje barki. Nie miałem pojęcia, jak mówić, ażeby zachować w tej 52 sprawie rolę dyplomaty, gdyż nie wiedziałem, czy Hamawan-dowie żyli wtedy właśnie w zgodzie z Dawuhdijehami, czy też przeciwnie, znajdowali się we wrogich stosunkach. Postano-wiłem przeto wypowiedzieć swoje zdanie zgodnie z prawdą:

- Dawuhdijehowie nie uważają rabunku za wstyd; są od-ważni i okrutni. Ich szejk Izma el Beg jest również odważny; większa jednak od jego odwagi jest chytrość, której nieraz dawał przykłady.

- Zb prawda, najoczywistsza prawda, effendi! Czyś go już kiedyś widział?

- Nie.

- A on ciebie?

- Również nie. Ale dość o nim słyszałem, by móc go sobie wyobrazić.

- Zapewne go widzisz takim, jak ja go sobie wyobrażam.

Muszę ci bowiem powiedzieć, że i ja nie miałem dotąd sposob-ności ujżenia go. A teraz właśnie udajemy się do niego.

- ‘Tak! Czy wasze plemię łączą zjego plemieniem przyjazne stosunki?

- Przyjaciółmi nie jesteśmy, ale również nie jesteśmy w chwili obecnej ich wrogami. Ostatni wypadek krwawej zemsty naszych szczepów został wyrównany, więc też jego plemię nie ma nic do naszego. Jednakowoż, jeżeli między ludźmi tyle krwi się wylało, co między nami i nimi, to w każdej chwili istnieje możliwość, iż znowu zajdzie potrzeba krwawej zemsty.

- A zatem skoro zemsta ustała, wasza podróż do nich nie jest znowu tak bardzo niebezpieczna.
- O, znacznie niebezpieczniejsza, niż to sobie wyobrażasz.

Jesteśmy nawet głęboko przekonani, iż narażamy nasze życie, 53 udając się w pobliże Dawuhdijehów. Ale musimy to uczynić, gdyż dowiedziałem się, że uwięzili u siebie mego brata.

- Dlaczegoż to?

- Tęgo nie wiem.

- Z jakiego jednak powodu znalazł się u nich, skoro wiedział, jak mało pewny jest w ich rękach?

- Musiał się do nich udać, ażeby uratować życie swego syna, który zranił się zatrutą bronią.

- Sprawa dla mnie niejasna. Proszę cię, opowiedz mi ją zrozumialej!

- Chętnie spełnię twe życzenie. Mam starszego brata, który się nazywa Szewin. Allah obdarzył go synem, kochanym, pięknym, silnym chłopcem, który jest dumą i radością swego ojca i swej matki. Chłopak nazywa się Khudyr. Na skutek nieostrożności rodziców, chłopcu udało się dostać do ręki zatruty sztylet z Indii. Wiesz zapewne, jak niebezpieczny jest jad, który u nas zwał antszar.

- Tak, wiem. Nazywa się również upas albo czettik i wywołuje silne kurcze, a potem śmierć, jeżeli dostaje się poprzez ranę do krwi.

- Słyszę, że wiesz o co chodzi. Wszyscy wiedzą, że ta trucizna jest najniebezpieczniejsza ze wszystkich na świecie. Antszar rośnie na drzewie, znajdującym się w Dolinie Śmierci i rozsiewa swoje zgubne tchnienie na odległość kilku mil, tak, że żadne drzewo, żaden najmniejszy krzaczek, żaden kwiat nie może na całej tej przestrzeni zakiełkować i wyrosnąć. Każde zwierzę, przybyłe w pobliże tego drzewa, natychmiast pada martwe pod działaniem zabójczego zapachu; umiera też każdy człowiek, który się ośmieli skierować w tamtą stronę swe 54 kroki.

- No, nie jest jeszcze tak źle!

- Nie? Jeżeli tak twierdzisz, to nie znasz dokładnie działania tej trucizny! Powiadam ci, najczystszą prawdą jest to, iż każdy człowiek, każde zwierzę i każda roślina w okolicy tego śmiernionego drzewa natychmiast giną. Dlatego też Dolina Śmierci tak gęsto pokryta jest trupami ludzi i zwierząt i kości ich wszędzie pokrywają ziemię.

- Zaraz ci dowiodę, że jesteś w błędzie.

- Tego nie dokażesz!



- Nawet bez najmniejszego trudu. Utrzymujesz zatem, że każdy człowiek, który się ośmiela podejść ku Dolinie Śmierci, musi natychmiast zginąć?

-1'ak. Natychmiast i nieodwołalnie.

- Czy wiesz o tym, że tysiące ostrzy sztyletów i strzał jest przepojonych i nasyconych jadem, o którym mówisz?

- Oczywiście!

- Widzisz więc, iż musieli być tacy ludzie, którzy tę truciznę

»

sprowadzili, a zatem byli w Dolinie Śmierci, a nie umarli

jednak! Jak powiążesz logicznie twoje poprzednie twierdzenie

?

z tym faktem

- Doprawdy, effendi, nie wiem, co mam odpowiedzieć.

Coś słyszał ode mnie, opowiadali mi to inni i każdy z nich w'to wierzył.

- Dla twego usprawiedliwienia powiem ci, iż bajka o Dolinie Śmierci jest również opowiadaniem i u nas na Za-chodzie i wielu, bardzo wielu ludzi, którzy nie zadają sobie trudu zastanowienia się nad tym, wierzą w nią niezłomnie. Nie ma Doliny Śmierci ani też jakiegoś drzewa upas, które by

55 wydawało swe zgubne tchnienie, natomiast rośnie na Jawie i szeregu innych tamtejszych wysp dużo takich drzew, krzewów i pnączy, z których mlecznego soku sporządza się upas czy też antszar. Tlr drzewa i rośliny przyjmują się najlepiej w takich miejscach, gdzie wydobywają się podziemne trujące gazy. T~ gazy są cięższe od powietrza; nie ulatują przeto w górę, lecz pozostają na dole, blisko ziemi i to zwłaszcza w dolinach, do których wiatr nie ma dostępu, a tym samym nie może ich unieść ze sobą. Kto zaś oddycha tymi gazami, musi umrzeć. Dlatego też i tylko dlatego, spotyka się dość często w takich dolinach trupy zwierząt i ludzi, którzy padli pod wpływem tych zabójczych gazów, nigdy jednak przez trujące rośliny, które w rzeczy samej dość obficie rosną w takich

miejskach, lecz stają się jednak dopiero wtedy szkodliwe, kiedy ich sok dostaje się do krwi czy to przez cios zatrutą bronią, czy też bodaj przez ukłucie się nią. Tak się przedstawia prawda tych bajek, które się nie tylko słyszy, ale które się nawet dość często spotyka w książkach. Mimo to jednak nie należy utrzymywać, iż ten jad mniej jest szkodliwy, niż się opowiada. Ja sam byłem świadkiem, kiedy rana zadana zatrutą bronią, sprowadziła w przeciągu bardzo krótkiego czasu śmierć.

-Twoje twierdzenie zapewne zgadza się z prawdą, a jest rzeczywiście to potwierdzone, iż ten jad działa zabójczo. Chłopiec, o którym mówiłem, Khudyr, zadrasnął się tylko sztyłem, wziętym nieopatrnie bez wiedzy rodziców, a jednak chwyciły go zaraz okropne kurcze, które mało o mało nie przyprawiły o śmierć. Powtarzały się dość często, a za każdym razem był bliski śmierci. Wyglądał przy tym strasznie podczas takich ataków: Trudno mi doprawdy opisać i wyrazić strach i troskę jego rodziców.

- Czyście nie używali żadnego antidotum?

- Przecież, jak powiadają, nie ma żadnego środka! Mimo to, sprowadziliśmy z bliskich i z dalekich okolic wszystkich lekarzy i znachorów, żaden jednak z nich nie mógł mu udzielić żądanej pomocy. Jedną jedyną jest bowiem kobieta, która zna właściwe lekarstwo, lecz udanie się do niej związane jest z wielkim niebezpieczeństwem.

- Czy z tego powodu, że droga jest zbyt uciążliwa?

- Nie. Znajdowała się i znajduje jeszcze w chwili obecnej u Kurdów Dawuhdijeh, z którymi byliśmy wówczas, kiedy ten chłopiec się zranił, srodze powaśnieni. Rozumiesz więc, iż wobec takiego stanu rzeczy nikt z nas nie mógł się do niej udać. Dla dobra chłopca staraliśmy się wszelkimi siłami doprowadzić do zawarcia pokoju. Wprawdzie czynili nam trudności, ale osiągnęliśmy wreszcie cel i mogliśmy przystąpić do odszukania owej kobiety, celem otrzymania od niej lekarstwa.

- Czy jesteście przekonani, iż rzeczywiście zna i posiada właściwe lekarstwo?

- Oczywiście! Potrafi bowiem leczyć każdą chorobę, a więc również i zatrutą ranę!

- Hm! To możliwe, ale w każdym razie muszę ci przyznać, iż to mnie dziwi. Byłoby dla was znacznie lepiej, gdybyś mnie wcześniej spotkał.

- Ciebie? - spytał zainteresowany.

- Tak, mnie.

- Czy i ty znasz to lekarstwo?

- Nie mogę utrzymywać, iż moje lekarstwo jest takie samo dobre jak owej kobiety. Ale jest rzeczą całkowicie pewną i dowiedzioną, że moje lekarstwo pomaga.

-Maszallah! Czy to tajemnica, czy też możesz mi je wskazać?

- Nie czynię z tego żadnej tajemnicy. Składa się nań sok dabahh i sukutan, którymi należy nasmarować ranę; jedno-cześnie należy wypić szklanekę wrzącej wody, w której zaparzone dziki kurat.

- I to effendi pomaga, na pewno pomaga?

-Tak. Nie ulega żadnej wątpliwości.

- O, gdybyśmy to przedtem wiedzieli! A może jeszcze i teraz czas! Możliwe, iż stara posiada lekarstwo, które nie pomaga. W takim razie jestem przekonany, że Allah ciebie do nas przysłał, ażebyś uratował życie naszego ... naszego ... naszego Khudyra!

Kurd miał na ustach inne określenie dla chłopca, w ostatniej jednak chwili cofnął je i podał tylko jego imię. Rzucił mi się w oczy także fakt, że mówił o nim z taką miłością, z taką troską, jakiej się zwykle w normalnych warunkach nie napotyka u krewnych w krajach na wpół dzikich jak Kurdystan i okolice.

- Mego lekarstwa nie można stosować tak szablonowo, jak ci się wydaje - zauważyłem. - Trzeba widzieć pacjenta, by dokładnie zbadać ranę, która teraz prawdopodobnie już nie jest otwarta. Poza tym również trzeba wiedzieć, w jakich ilościach stosować soki obu roślin, o których ci poprzednio wspomniałem, gdyż dabahh posiada mniej mocy, niż sukutan, a co się tyczy kurat, to też niejednokrotnie należy stosować go w odmiennych ilościach.

- Znaczy to, iż sam musiałbyś dopatrzeć przyrządzenia 5g tych leków?

- Pak, to bardzo pożądane, jeżeli nawet nie konieczne.

- A więc proszę cię, effendi, opromień nas swą łaską i pozostań u nas!

- To bardzo śmiałe życzenie! - odparłem szczerze.

- Tak, zdaję sobie całkowicie z tego sprawę, albowiem jesteś tak znakomitym człowiekiem, iż trzeba, do prawdy, mieć bardzo dużo śmiałości i odwagi, ażeby ...

- Nie o to mi szło! - przerwałem. - Wyraz śmiały nie odnosi się do mojej osoby, lecz do tego, żeś ode mnie żądał, abym pozostał u was, aczkolwiek nie wiesz, czy mam po temu czas i chęć, a powtóre nie zdążyłeś jeszcze mi opowiedzieć, dokąd się teraz udajesz i co zamierzacie. Powstrzymaj na razie twoje życzenie a opowiedz nam raczej dalej o tym chłopcu.

- Dobrze, zastosuję się do twego życzenia. Ale uprzedzam cię, iż potem ponownie powrócę do mojej prośby. Kiedy wreszcie zlikwidowano powody knwawej zemsty, wówczas ..., wówczas Szewin wybrał się wraz z chłopcem do starej kobiety. Po raz drugi już zająknął się w swojej opowieści; prawdopodobnie więc i tym razem chciał wymienić inne określenie, zamiast imienia. Interesowało mnie to bardzo, mimo to nie rzekłem ani słowa, nie przerywałem i pozwoliłem mu dalej mówić.

- Szewin wziął ze sobą paru najlepszych wojowników, aby nie pozostawać bez obrony czy to w drodze, czy to u Dawuh-dijehów. Wiedzieliśmy, jak długo trwa podróż w jedną i w drugą stronę i kiedy prawdopodobnie możemy spodziewać się jego powrotu. Minął tymczasem ten okres, upłynął jeszcze tydzień dodatkowo, a on nie wracał. Zaniepokojeni oczywiście

59 o niego, wysłaliśmy paru wojowników na zwiady; aby się dowiedzieć, co wpływa na takie opóźnienie jego powrotu. Kiedy wywiadowcy wrócili, dowiedzieliśmy się, że Szewin nie może powrócić, albowiem uwięziono go wraz z chłopcem i towarzyszącymi mu wojownikami.

- Jaka była przyczyna jego uwięzienia?

-Tęgo nie wiemy.

- Czy wysłannicy nie mogli się niczego w tej sprawie dowiedzieć?

- Nie, niczego.

- Dziwne, bardzo dziwne!

- Co takiego?

- To, że wy wszyscy, choć jesteście zainteresowani, nie wiecie tego, a ja obcy, cudzoziemiec, domyślam się przyczyny.

- Ty? Domyślasz się? Thk, prawda, opowiadają o bystrości twego umysłu, dla którego nie ma nic ukrytego, ale wprost nie dowierzam, ażebyś mógł trafić w tym wypadku w sedno rzeczy. To byłby cud!

- Cud? Zupełnie nie! Najzwyklejsza w świecie rzecz, trzeba tylko logicznie myśleć. Kto potrafi konsekwentnie rozumować i jedną myśl wysnuwać z drugiej, odkrywa fakty które innym stają się jasne dopiero później, albo też nigdy wiadome nie będą.

- Czy wolno wiedzieć, effendi, w jakim kierunku idą twoje domysły?

-Tak, aczkolwiek wymagasz ode mnie, abym był w stosunku do ciebie bardziej szczery, aniżeli ty byłeś wobec mnie.

- Ty ... bardziej szczery? Jakże mam to rozumieć, effendi?

- Zaraz się tego dowiesz. Na razie odpowiedz mi na moje pytanie zgodnie z prawdą. Czy ten, którego nazywasz swoim bratem, a więc ojciec chłopca, rzeczywiście się nazywa Szewin?

- Dlaczego zadajesz mi to pytanie? - odrzekł wymijająco.

- Dlatego, że jest to niezmiernie ważne. Kurdyjski wyraz szewin oznacza tyle co pasterz. Jeżeli mam przyjąć, że wojow-nik kurdyjski, który jest synem wodza, lub w każdym razie jego bliskim krewnym, rzeczywiście tak się nazywa, lub też przybrał sobie to pokojowe imię, ażeby ukryć swoje prawdziwe i bardziej wojowniczo brzmiące imię, to raczej skłaniam się ku drugiej hipotezie, niż ku pierwszej. Twój tak zwany przez ciebie „brat” nie nazywa się Szewin, lecz nosi inne imię. Gdyby było widno, na pewno zauważyłbym na obliczu Kur-da wyraz zdumienia. Ponieważ jednak pod drzewami panowały wprost egipskie ciemności, niczego nie mogłem dojrzeć, tylko dłuższa przerwa w jego odpowiedzi kazała mi się domyśleć, że słowa te wywarły zamierzony skutek. I rzeczywiście, przywódca odezwał się nagle głosem szybkiego zdecydowania:

- Dobrze, załóżmy, że masz słusność! Co z tego wynika w stosunku do Dawuhdijehów? ż
- Przede wszystkim pozwala wnioskować, iż wasze plemię często się stykało z ich plemieniem.
- To słuszne.
- W każdym zaś razie znakomitsi wasi wojownicy są im znani? .
- Oczywiście!
- Szewin jest jednym z takich wojowników?
- Naturalnie!
- Dawuhdijehowie znają jego prawdziwe imię?
- Thk.

- A więc pomyśl; znają go, wiedzą, jakiej jest jego prawdziwe imię; a oto teraz przychodzi do nich w zupełnie innym charakterze, aniżeli dotychczas względem nich występował i do tego przybiera sobie inne, fałszywe imię! Cóż mieli pomyśleć? Cóż im pozostało uczynić?

Kurd szybko odpowiedział, zaniepokojony;

- Effendi, wyraziłeś przed chwilą obawę, która mnie nie daje spokoju od paru dni! Wyznam ci, że się rzeczywiście inaczej nazywa, że zatem przybrał fałszywe imię.

- I dlaczegoż to uczynił?

- Ażebym ułatwić sobie zadanie, ażebym mniej uwagi na siebie zwracać.

- Ale musiał wszak sobie powiedzieć, że może wywołać tym wprost przeciwny skutek!

- Właśnie tego nie przewidział. Uważał, że, jeżeli pozostanie nieznanym, będą się nim mniej interesowali, niż gdyby wiedziano, kim jest.

- Ale musieli go przecież poznać, gdyż jest osobą znaną i można było przewidzieć, że przypiszą całkiem inne powody jego ostrożności. Chyba przyznasz mi słusność!

- Rzeczywiście, masz rację. Niestety jednak, ta myśl przyszła mi dopiero wtedy do głowy, gdy już było za późno, ażebym cokolwiek dało się jeszcze zmienić, albowiem Szewina już wtedy nie było. Na szczęście, nie jest tak źle, jak sądzisz. Ponieważ nie ma doprawdy złych zamiarów, mogą go traktować nieufnie, ale nie wrogo.

- Czy ma, czy nie ma złych zamiarów, to rzecz drugorzędna. U ludzi takich, jak Dawuhdijehowie, wystarczy samo podejrzenie jego złych zamiarów, aby los jego był przesądzony.

I stosunek do niego wyrażą bezwzględnie na podstawie swego mniemania, nie zaś zgodnie z rzeczywistymi zamiarami Szewi-na.

- To już brzmi gorzej, niż przypuszczałem, ale przy tym wszystkim jest jeszcze jedna pocieszająca myśl; stara kobieta nie znajduje się bezpośrednio u Dawuhdijehów, lecz została im powierzona, celem pilnowania jej. Pozostaje pod kontrolą Tizrków i zawsze ma przy sobie kilku Dawuhdijehów, którzy mają baczyć, aby nie zmieniła wyznaczonego jej miejsca pobytu. Kto więc do niej zdąży, nie ma potrzeby szukać jej bezpośrednio u plemienia Dawuhdijehów.

- Mimo, iż ta stara kobieta niezmiernie mnie interesuje, to jednak do jej osoby powrócę później. Teraz natomiast muszę się zająć sprzecznościami, które spostrzegłem tak w twoim zachowaniu się, jak i w mowie twojej.

- O jakie sprzeczności, effendi, ci chodzi?

- Wynajdujesz wszystkie możliwe okoliczności celem pocieszenia się i uspokojenia, a mówiłeś mi wszak, że Szewin wpadł w ręce Dawuhdijehów, którzy go nie puszczają od siebie. Ba, zdajesz się już nawet być w drodze w celu jego uwolnienia. W jakiż więc sposób pogodzisz jedno z drugim? Proszę bardzo, może mi to szczerze wyjaśnisz.

- Pojmiesz to natychmiast, skoro ci powiem, że zatrzymali wprawdzie Szewina, ale nie śmia mu nic złego zrobić, gdyż nie mogą mu dowieść niczego z tego, o co go podejrzewają. Lecz nie w tym tkwi sęk. Jeżeli jeden choćby z naszych Hamawan-dów pozwolił by sobie nieopatrznie uczynić najmniejszą szkodę jakiemuś Dawuhdijehowi, co się przecież w każdej chwili może zdarzyć, natychmiast skierowali by całą zemstę przeciw Szewinowi. 'ib jest ta smutna prawda, która mi przysparza tyle niepokoju o niego. Jest wszak moim starszym bratem! A że i chłopiec wówczas również znalazł by się w niebezpieczeństwie, to zdaje się, nie ulega też najmniejszej wątpliwości. Także teraz głos jego zdradzał tak silne wzruszenie, iż dziwił mnie ten stosunek kurdyjskiego stryja do bratanka.

- Czy waszym wysłannikom udało się skomunikować bezpośrednio z Szewinem? - zapytałem.

- Cóż tobie przychodzi do głowy! Wszak to zupełnie niemożliwe!

- Czemu niemożliwe?

- Wywiadowca może się zbliżyć jedynie skrycie i zasięga języka bardzo ostrożnie. W jakiż więc sposób mógłby się zbliżyć do osoby, o której losy ma się wywiedzieć, kiedy ją ukryto?

- Co się tego tyczy, już nieraz chodziłem na zwiady i wiem, czego można dokazać w takich wypadkach. Czy ludzie wasi widzieli go przynajmniej?

- Nie.
- Ale zasięgnęli o nim wiadomości?
- Thk.
- Czy się dowiedzieli, gdzie go ukryto?
- Niezupełnie ściśle, gdyż to, co mi mogli w tej kwestii powiedzieć, brzmi raz tak, drugi raz inaczej. W każdym razie jest rzeczą najzupełniej pewną, że go nie puszczono i nie puszczą tak szybko.
- A więc Dawuhdijehowie poznali go?
- Prawdopodobnie. Wyruszyło nas trzystu ludzi, ażeby go odbić.
- Co też powiadasz? - zapytałem zdumiony. - Trzysta

64 osób? Wszak to na stosunki tego kraju i tej okolicy całe wojsko!

- Thk właśnie jest! Dla jego oswobodzenia żadna liczba nie jest za duża.
- W takim razie należy przypuszczać, iż jest bardzo znakomitym członkiem waszego plemienia, a ponieważ ty jesteś jego bratem, więc stąd wynika, że i ty również nie należysz do zwykłych wojowników?
- Masz rację. Thkże tych pięciu mężczyzn, których widzisz przy mnie, zaliczamy do rady naszego plemienia. Wyjechaliśmy na czele naszego wojska jako przywódcy i „bystre oczy”, za którymi pozostali wojownicy zdążają w pewnej odległości. Nastąpiła pauza, w czasie której nie rzekłem ani słowa, zastanawiając się nad rwytworzoną sytuacją. Dlatego też Adzy odezwał się po chwili:
- Milczysz. Jesteś człowiekiem Zachodu i dlatego nie oceniasz tego, co ma tutaj miejsce, tak jak my. Czy masz jakiegokolwiek zastrzeżenie do tego, com ci tu powiedział czy też uczynił?
- Tak; nie zgadzam się z wami co do liczby trzystu Hama-wandów. Wybacz, że ci to mówię!
- Cóż masz przeciw temu? ,
- Załedwie udało się wam załagodzić krwawą zemstę, a już podejmujecie pochód, który może łatwo spotęgować i rozplomienić do niebywałych rozmiarów nienawiść i zemstę waszych szczepów. Oto mi tylko chodziło.
- Wprawdzie to jeszcze teraz nie jest pochód wojenny, ale może łatwo się w niego zamienić. Jeżeli Dawuhdijehowie spełnią jednak nasze żądanie i wydadzą Szewina oraz jego





### 3 - Twicrdis w górach 65

towarzyszy, wówczas zawrócimy do domu w spokoju.

- Czy wiadomo wam, dlaczego go zatrzymali? Może uczynił coś takiego, co dało im podstawę do tego kroku?

- Tego nie przypuszczam. Gotowi jesteśmy zachować pokój, ale również możemy wypowiedzieć wojnę. W obu wypadkach będziemy uważali za pomoc zesłaną nam przez Allaha, jeżeli Kara Ben Nemzi effendi i Hadzi Halef Omar zechcą łaskawie ruszyć razem z nami.

- W obu wypadkach?

- Thk.

- W jakież to sposób?

- Jeżeli wy położycie wasze słowo na szali pokoju, będzie ono stanowiło daleko więcej, niż gdybyśmy my wszyscy za tym byli. A jeżeli dojdzie do bitwy, to twoja czarodziejska broń, o której często i wiele słyszeliśmy, przyczyni się bezwzględnie do naszego zwycięstwa. Widzisz, jestem szczery. Bardzo cię więc proszę, effendi, zechciej wziąć udział w naszej wyprawie! Bardzo chytrze pomyślane! Ale ponieważ nie mogłem otwarcie powiedzieć co myślę o tym naiwnym życzeniu, odparłem wymijająco:

- Spełnienie twojej prośby sprawiłoby nam wielką przyjemność i zapewne byłoby też potem pięknym wspomnieniem; niestety jednak, nie możemy pójść za twą wolą z powodu braku czasu.

- Z powodu braku czasu ... ? - powtórzył Adzy tonem żywego zdumienia, gdyż mieszkaniec Wschodu ma zawsze czas, nie mając najmniejszego zrozumienia dla wartości, jaką przedstawia dla każdego człowieka najdrobniejsza choćby godzina jego życia.

- Tak, z powodu braku czasu - powtórzyłem. - Zabawi-liśmy u Bachtijarów dłużej, niż zamierzaliśmy i ...
- Coście dla nich uczynili, możecie i dla nas zrobić! - przerwał.
- W Bagdadzie, niestety czekają na nas przyjaciele ...
- Mogą poczekać jeszcze trochę!
- A prócz tego nie ruszamy konno z Bagdadu, lecz mamy w porcie wsiąść na okręt aby dotrzeć do Basry.
- Okręt też może poczekać!
- Okręt nie czeka, lecz wyrusza z przystani punktualnie o oznaczonej godzinie.
- No, to ruszy za nim przecież drugi! Żaden człowiek nie umiera wcześniej, niż tego chce Allah i wy też nie przybędzie-cie ani o chwilę wcześniej czy później do Basry, niż powinni-ście. Wszystko albowiem dokładnie jest oznaczone w księdze żywota.
- Nie myślisz o tym, iż nie jestem mużulmaninem, lecz chrześcijaninem. Mam więc odnośnie kismetu zupełnie inne zdanie, niż ty.
- Uważam naszą wiarę za lepszą od naszej, aczkolwiek chrześcijanizmu nie znam. Lecz wydajecie mi się być mądrymi ludźmi, gdyż i staruszka, która ma uleczyć ranę naszego chłopa, jest również wyznawczynią proroka z Nazaretu.
- Chrześcijanka? A może wiesz z jakiego kolic?
- Tęgo nie wiem, ale powiadają, iż jest tu obcą. Ma podobno być tak stara, że nie można nawet zliczyć jej lat. Jej twarz jest uosobieniem śmierci, a warkocz jej długich białych włosów, zdaje się pochodzić z czasów, kiedy Mahomet prorok Allaha, wędrował jeszcze po ziemi.

Ledwo Kurd wyrzekł te słowa, Halef zawołał potężnym ze zdumienia głosem:

- Sidi, sidi, czyś słyszał? Hamdulillah, znowu zobaczymy tę, o której od dawna sądziliśmy, iż znajduje się już w krainie śmierci! '1'd bowiem stara kobieta jest ...
- Milcz! - przerwałem, zanim zdołał wypowiedzieć jej imię.
- Milczeć? Dlaczego mam siedzieć cicho i milczeć wtedy, gdy serce moje pełne radości? Nie

rozumiesz mnie; nie wiesz, o kogo mi chodzi! Tdm, gdzie trzeba zgadywać, długość twoje-go rozumu sięga zazwyczaj dalej, niż szerokość mojego, mam jednak wrażenie, że tym razem moja szerokość bardziej, zna-cznie bardziej się popisała, aniżeli twoja długość. Wiem, o której staruszce mowa; wiem to z całą pewnością, tyś atoli, effendi, dotąd tego nie odgadł i ...

- Proszę, cię, - przerwałem powtórnie - byś mocno trzymał osławioną szerokość swojego rozumu, gdyż grozi de-zercją! Powiedz, czy zdarzyło się kiedykolwiek, ażebym ci przerywał w połowie zdania bez jakiegokolwiek przyczyny?

- Nie - odparł, spuszczając nieco z tonu.

- A dodatkowo wydaje ci się, że mnie przewyższasz zro-zumieniem, przyrównywując „szerokość” swego rozumu do „długości” mojego? Kochany Halefie, pozwolisz, że ci wspomnę o twojej drogiej dobrej Hanneh! A może to zbyt cenne? Teraz mnie zrozumiał. Pojął, że było dla nas rzeczą najod-powiedniejszą nie dawać Hamawandom poznać, iż znamy tę kobietę: lóteż odpowiedział:

- ‘Tak, sidi, wspominaj mi często o tej, która jest nie tylko najwonnieszą z róż, lecz również najmądrzejszą właścicielką najbardziej godnych uwag ust kobiecych. W każdym razie jest tysiąckroć piękniejszą i młodszą od tej starej chrześcijanki, której wygląd opisany został jako oblicze śmierci. Kurd, który nie zrozumiał sensu naszej krótkiej wymiany zdań, podchwycił sposobność opowiadania dalej o wyglądzie staruszki:

- Tak. Ma podobno wygląd trupa z grobu wyciągniętego.

Być może, iż była już rzeczywiście w grobie i dusza jej znalazła się w krainie zmarłych, lecz potem znowu powróciła do ciała. Ona bowiem potrafi mówić o tamtym życiu tak, jak gdyby je znała, a prócz tego widzi i słyszy to, co dla zwykłego śmiertel-nika jest niedostępne.

- To brzmi zdumiewająco! -wtrąciłem tonem niedowie-rzającym, ażeby go pobudzić do dalszego opowiadania, które-go byłem ciekaw.

- Nie, to nie tylko brzmi, ale tak jest w rzeczywistości - potwierdził swoje określenie.

- Że widzi i słyszy rzeczy nadziemskie? - pytałem dalej.

- Tak. Czy uważasz to za niemożliwe?

- Bóg codziennie czyni cuda.

- Czyni je nie tylko Allah, lecz także i ludzie za jego sprawą. Mahomet, prorok proroków, sam wszak był człowie-kiem, a jednak dokazał wiele, wiele cudów. To samo opowia-dają o naszym Iza Ben Marryam; miał też dokonać wiele cudów, nie dorównywujących jednak pod względem wielkości, wspaniałości i doniosłości czynom Mahometa.

- Mylisz się! Nie będziemy wszakże wiedli sporu na temat religii, lecz jedno muszę ci bezwzględnie zaznaczyć. Chrystus powiedział: Mnie dana jest cała władza na niebie jako i na ziemi.

A że rzeczywiście posiadał tę władzę, dowiódł tego swymi cudami ...

- A więc uważasz, że stoi wyżej od Mahometa?

- Oczywiście!

- W takim razie Jerozolima, święte miasto chrześcijan, twoim zdaniem, stoi wyżej od Mekki, przedmiotu naszej czci?

- Czy mamy się spierać o to, które z tych dwóch miast stoi wyżej?

- Nie! Ale jedyną wartością Jerozolimy jest to, że tam odbędzie się Sąd Ostateczny. Poza tym Mekka stoi nieskończenie wyżej, gdyż tam, jak ci zapewne wiadomo, znajduje się nasza święta Kaaba.

Na ogół niechętnie wdaję się w bezużyteczne rozprawy na temat najwyższych, bo religijnych spraw, gdyż zazwyczaj brak ku temu dostatecznego czasu, aby móc poprzeć, odpowiedni-mi dowodami wypowiedziane poglądy. Nigdy natomiast nie przepuszczam sposobności takiej, jak obecna, aby rzucić światło na ten osobliwy szczegół, że w samej nauce i tradycjach islamu bywają miejsca, wskazujące na wyższość chrystianizmu nad mahometanizmem. Sprawia mi to głęboką, acz nie manifestowaną, przyjemność oglądanie miny muzułmanina, który zmuszony jest wysłuchać, cytowanych mu przeze mnie ustępów Koranu i nie może nic przeciwko temu powiedzieć. Dla-tego też i teraz rzekłem:

- Odniośnie miejsca, w którym odbędzie się Sąd Ostateczny, istnieją u muzułmanów dwa wzajemnie sobie przeciwstawne poglądy. Według jednego, Chrystus w białym zstąpi z nieba do meczetu Ommajadów w Damaszku, ażeby tam osądzić każdego umarłego czy żywego. A więc uczyni to Chrystus,

7^ nie Mahomet; tak mówi wasza własna religia. Któż więc stoi wyżej?

- Effendi, nie mogę od razu na to pytanie odpowiedzieć; muszę przedtem pomyśleć!

- Dobrze, namyśl się! A według drugiego poglądu Sąd Ostateczny odbędzie się w Jerozolimie. Gdy rozebrzmia owo-go dnia trąby, dusze wszystkich ludzi zbiorą się w dolinie Józefata, a między nimi znajdzie się również Mahomet; znak na murze wskazuje już dzisiaj na to miejsce, gdzie on ma stanąć. Wysoko zaś nad nim i zebranymi duchami będzie królował Chrystus z Góry

Oliwnej, tak że wszystko będzie widział, a nikt nie ujdzie jego wzroku, gdy oddzieli owce od kozłów. Wówczas to zbyteczny będzie Most Śmierci, o którym Koran wspomina w innym miejscu, albowiem dusze będą musiały przechodzić na długiej linii, rozciągniętej wzdłuż doliny. Aniołowie będą z obu stron podtrzymywali i prowadzili wiernych i pobożnych tak, że oni szczęśliwie przebędą drogę; natomiast niewierni i bezbożni nie będą mieli świątłych przewodników, a więc spadną w przepaść i straszliwą otchłafi. Widzisz więc, że i tu Chrystus króluje nad Mahometem. Wszak sam wasz Koran tak twierdzi!

- Zdajesz się znać nie tylko waszą, ale także i naszą religię, effendi. Pomimo to, przyznasz mi chyba, że nasza Kaaba w Mekce jest największą świętością na ziemi.

- Nie, nawet w tyxn punkcie nie mogę ci t~stąpić.

- To zrozumiałe! Jesteś przecież chrześcijaninem! Gdybyś był muzuhnaninem, przyznałbyś mi całkowitą słusność.

- Ażeby wykazać ci, że się mylisz, stanę teraz na stanowi-sku muzulmanina, nie zaś chrześcijanina. Sądzę, że jesteś

71 obeznany z prawami grzeczności, obowiązującymi w stosun-kach między ludźmi?

- Naturalnie.

- Jeżeli spośród dwóch ludzi, z których jeden zajmuje wyższe hierarchiczne stanowisko, jeden ma odwiedzić drugie-go, który z nich obowiązany jest złożyć drugiemu wizytę?

- Q~zywiście ten, który zajmuje niższe stanowisko.

- A więc ten, któremu wizytę składają, stoi wyżej? Odpo-wiedz zgodnie z prawdą:

- ‘Tak, ten stoi wyżej, jest dostojniejszy i bardziej szano-wany.

- W takim razie powiem ci jeszcze, co następuje: świętość mahometan w Jerozolimie nazywa się Haram esz Szerif i w świętych waszych księgach powiedziane jest, iż w dniu Sądu Ostatecznego Kaaba z Mekki przyjdzie do Jerozolimy, ażeby odwiedzić Haram esz Szerif i wraz z nim towarzyszyć będzie przy Sądzie Ostatecznym. Czy dobrze to rozumiesz?

- Czy to prawda, effendi?

- T’ak. Szczera prawda. Przekonaj się, a stwierdzisz, iż jest tak, jak mówię.

- Święta Kaaba odwiedzi Haram esz Szerif! Tego jeszcze nie wiedziałem!

- Kto więc stoi wyżej, Kaaba czy Haram esz Szerif?

- Haram esz Szerif.

- Które miejsce jest ważniejsze, Mekka święte miasto muzułman, czy też Jerozolima, święte miasto chrześcijan?

- Jerozolima ...

- Czy i teraz będziesz jeszcze utrzymywał, że cuda Chrystusa nie mogą się równać z cudami Mahometa?



- Effendi, nie jestem w stanie prowadzić z tobą dysputy, gdyż nie posiadam dostatecznego ku temu zasobu słów.

- Tobie nie brak słów, lecz dowodów. Wy znacie cuda Chrystusa, podczas gdy my nie znamy ani jednego cudu, jakie-go miał dokonać Mahomet. Cuda Mahometa są tylko opowiedziane z pokolenia na pokolenie. Natomiast cuda Chrystusa są potwierdzone przez samego Mahometa i opowiedziane w świętej księdze, z której czerpał wiedzę Mahomet. Powiedźże mi teraz, czyje cuda są bardziej wiarygodne?

- Zamilcz, effendi, proszę cię gorąco! A może chodzi ci o to, ażeby pozbawić mnie mojej wiary? Nie chciałem przecież mówić o cudach Izy Ben Marryam, lecz o tych, które się przypisuje owej starej kobiecie u Dawuhdijehów.

- Przypisuje się! Ale nie są prawdziwe!

- Są prawdziwe! Widziałem nieuleczalnie chorych, których uzdrawiała jedynie modlitwą i przykładaniem ręki do głowy. Zna najtajniejsze myśli każdego człowieka. Najgorszy też człowiek staje się wobec niej najpokorniejszym jagnięciem, ba, nawet zwierzęta jej ulegają!

- Jak się nazywa owa kobieta?

- Nie znam jej imienia; nigdy go jeszcze nie słyszałem.

Nazywają ją Es-Sahira, Czarodziejka.

- Czy znasz jej kraj rodzinny?

- Nie, jednak powiadają, iż zapewne pochodzi z okolic Hakkiari czy też Rowandiz, gdyż wymienia czasami nazwy miejscowości tam się znajdujących. Ale coś pewnego mógłby tylko wiedzieć pasza Sulejmanii.

- Ten? Nazywasz go paszą? Gdyby się o tym dowiedział, byłby niezmiernie uradowany, iż został podniesiony na tak

73 wysokie stanowisko. Dlaczego uważasz, że on powinien znać ojczyznę staruszki?

- Albowiem on ją zmusił do zamieszkania w wieży strażniczej, której nigdy jej nie wolno opuszczać.

- Nie trzyma jej u siebie w Sulejmanii?

- Nie. Tak blisko siebie nie chce jej mieć, gdyż się jej obawia. Kazał ją umieścić w górach, gdzie znajdują się grube mury twierdzy, zbudowanej jeszcze przed wielu, wielu laty dla pilnowania granic. 'Pdm biedna starowina jest pod ścisłą kon-trolą Dawuhdijehów, których zadaniem jest strzec jej, aby się nie oddaliła.

- Jest zatem w niewoli?

- Thk.

- A jednak mówisz, iż leczy chorych i czyni cuda?

- 'Tak powiedziałem i nie minąłem się z prawdą.

- Z tego jednak wynika, że niezbyt surowo jej strzegą?

- Nie dopuszczają nikogo do wieży. Jeżeli ktoś chce się z nią rozmówić, ona musi podejść do drzwi, za poradę zaś Dawuhdijehowie pobierają podarki.

- Wobec tego należy sądzić, że właściwie nie powinni nikogo do niej dopuszczać, nie stosują się jednak ściśle do tego przepisu ze względu na bakszysz. Szczególna to rzecz, że gu-bernator nie kazał jej pilnować żołnierzom, lecz Dawuhdije-hom.

- Powodu tego zarządzenia nie znam.

- Jak długo już Es-Sahira przebywa w twierdzy?

- Thgo nie wiem. W każdym razie wiele j už czasu upłynęło, kiedym zasłyszał o niej po raz pierwszy.

- Jakim mówi językiem?

- Można z nią mówić po arabski, turecku, kurdyjsku i persku.
- Czy znasz okolicę, w której znajduje się twierdza?
- Tak.
- Ale tak dokładnie, ażebyś mi mógł posłużyć za przewodnika?
- Tak. Byliśmy już tam przedtem, zanim twierdza została opróżniona, a Es-Sahira osadzona za jej warownymi murami.
- To dobrze, że ją znacie, gdyż mnie nie jest znana.
- Czy chcesz się tam udać? - zapytał szybko.
- Tak.

Mam wrażenie, żeś nie miał czasu!

- Słusznie! Mam rzeczywiście tak mało czasu, że w normalnych warunkach nie dał bym się nakłonić bez wyjątkowych powodów do zboczenia z drogi a tym samym opóźnienia powrotu do Bagdadu; ale warto zdobyć się na ofiarę, ażeby poznać kobietę czyniącą cuda.
- A więc ruszycie z nami?
- ‘Pak.
- Hamdulillah! Jeżeli tak, możemy być pewni, że sprowadzimy Szewina wraz z chłopcem i towarzyszami. Dziękuję ci, effendi! Nie mogłeś mi sprawić większej przyjemności! Teraz mogą Dawuhdijehowie snuć plany, jakie im się żywnie podobają, nie mamy się bowiem o co troszczyć. Jeżeli dojdzie nawet do walki, zwycięstwo przechyli się teraz bezwzględnie na naszą stronę!
- Co się tego tyczy, nie mogę się powstrzymać od powiedzenia ci kilku niezbędnych słów. Słyszałeś o nas wiele, jak to sam przedtem przyznałeś. Prawdopodobnie również słyszałeś,

75 że choć jesteśmy dosyć odważnymi ludźmi, to kochamy jednak pokój i unikamy jak najskrzętniej każdej walki czy nieprzyjaźni bodaj. I teraz także tak się zachowamy.

- A jeżeli Dawuhdijehowie będą mniej przyjaźnie uspo-sobieni i zmuszą nas do walki?
- W takim razie pozostaje jeszcze przebiegłość, dzięki której można często znacznie więcej osiągnąć bez ofiar z krwi i życia, niż przez natychmiastowe chwytywanie za broń. Niejed-nokrotnie mogliśmy się o tym przekonać.
- Słusznie. Nie obstajemy też przy tym, ażeby gwałtem wymuszać to, co się da bez przemocy osiągnąć. Zabrałem ze sobą trzystu wojowników jedynie dlatego, żeby być gotowym na wszelki wypadek.
- Doskonale więc zgadzam się z tobą i możemy omówić konieczne kroki, które należy poczynić.
- O jakie kroki ci chodzi?
- Chodzi mi o to, że przede wszystkim musimy wszak wiedzieć dokąd mamy się udać, ażeby odnaleźć poszukiwa-nych.
- I'ak, to prawda. Nie wiemy, niestety gdzie się znajdują.

Powiedziałem ci już, że poglądy i domysły zwiadowców są w tym punkcie sprzeczne.

- Hm! Wobec tego sprawa tak się ma, jak gdybyście dotąd nie wysyłali zwiadowców. Uważam, że ci ludzie nie powinni byli raczej wcale wracać, jeżeli się nie dowiedzieli, gdzie się znajdują poszukiwani; tak przynajmniej, jak sądzę, czyni do-bry zwiadowca! Tiwdno! O ile orientuję się w tej sprawie, to wiadomo mi, iż istnieją tak koczujący Dawuhdijehowie, jak i tacy, którzy stale zamieszkują pas pomiędzy Bazian i Kafri. A 76 o jakich tu chodzi?
- O jedyh i drugich, gdyż osiadli często się łączą z koczuj-ącymi, jeżeli chodzi o korzystną wyprawę. Różnica między nimi jest niewielka.
- Gdzież należy teraz szukać koczujących?
- Na północo-zachód od Sulejmanii.
- A gdzie znajduje się twierdza, w której przebywa Es-Sa-hira?
- Stąd prosto na wschód, mniej więcej o dziefi drogi.
- Kiedy pojawią się twoi wojownicy?
- Przybędą tu jutro rano w godzinę po nastaniu dnia.
- Kiedy zaś chcecie opuścić to miejsce?
- Rano skoro tylko nastanie dziefi.

- A więc nim wasi wojownicy jeszcze tu przybędą?
- Tak.
- A czy będą wiedzieli, dokąd mają pociągnąć za wami?
- Tak. Omówiliśmy szereg znaków.
- Dokąd wy, przywódcy, jutro rano udalibyście się, gdyby-ście nas nie napotkali?
- Zamierzaliśmy to dopiero dzisiaj wieczorem omówić.
- A więc postanówcie to teraz! Ciekaw jestem, do jakich konkluzji dojdziecie.
- Czy nie zechcesz dopomóc nam radą?
- Chcę najpierw wiedzieć, co uczynilibyście, gdyby nas nie było. Możliwe, że wam potem powiem co o tym sądzę. Nie będziemy jednak przeszkadzali wam w naradzie i oddalimy się na krótki czas. Chodź, Halefie!

Wstaliśmy i powoli skierowali swe kroki w kierunku wody. Gdyśmy się oddalili na odległość słuchu od Hamawandów, mały Hadzi rzekł:

Dobrze, że użyłem tego pozorów, ażeby się od nich na pewien czas oddalić! Teraz możemy swobodnie pomówić, nie obawiając się, aby nas usłyszeli. Byłeś zły, gdy chciałem wymie-nić jej imię?

- Zły, nie.
- A kazałeś mi milczeć!
- Thk. Czy dziwisz się temu?
- Uważałem, że to rzecz obojętna, iż Kurdowie będą wiedzieli jak dobrze znamy ową kobietę.
- Przy spotkaniu z takimi ludźmi nigdy nie może być obojętne co się mówi czy też czyni. Widzisz więc, iż nie jesteś zbyt przezorny. Dlaczego bowiem ja zamilkłem? Dlaczego nie wymieniłem jej imienia?
- Myślałem, że nie zgadujesz, kim jest owa kobieta.
- Tak mało mnie znasz? Zazwyczaj przecież pojmuję po-dobne rzeczy daleko szybciej, niż ty. T~go się mogłeś od razu domyśleć. Zresztą, nie jest tak bardzo pewne, że to ona. Możliwe, iż się mylimy.
- Jakże? Są jeszcze wątpliwości?

- ~'ak.

- Że to Marah Durimeh?

- Tak.

- Sidi, jeżeli to nie ona, to jestem największym głupcem na świecie! Bezwzględnie, nie mogę się mylić!

- I ja sądzę, że nie jesteś w błędzie, ale są wszak jeszcze i inne stare kobiety w Kurdystanie.

- Stuletnie?

- Prawdopodobnie.

- Chrześcijanki?

- Tak.

= I pochodzą z okolic Hakkiari?

- Tak.

- Możliwe, że tak. Ale mam jak najgłębsze wewnętrzne przekonanie, iż Kurd miał na myśli jedynie naszą Marah Du-rimeh!

- I ja tak sądzę, choć przysiędz na to nie można. A jeżeli nawet to ona, to też nie trzeba się zbyt śpieszyć, aby się przyznawać do tego, że ją znamy. Nie wiemy przecież, jaki obrót cała ta sprawa przyjmie. Marah Durimeh jest zaś uwięziona. Uważają ją za czarodziejkę. Ale jaki jest ich stosunek do niej samej? Przyjazny czy też wrogi? Zwłaszcza, że jest chrześcijanką! Musimy ją w każdym razie stamtąd wydostać. Czy mamy to powiedzieć Hamawandom? A może zdradzą nasze zamiary Dawuhdijehom, ażeby za tę cenę wydostać swoich ludzi? Widzisz więc, iż sprawa nie jest tak zupełnie prosta, jak ci się wydawało i że nie trzeba tak bezkrytycznie się do niej odnosić; jakieś ty to czynił. Tylko ostrożność może nam przynieść korzyść, Halefie. Pamiętaj o Hanneh!

- Sidi, o niej pamiętam w każdej chwili mego życia; nie zapominam o Hanneh ani na mgnienie oka, gdyż ona jest najradośnijszą istotą błogości i wszelakiej rozkoszy, istniejącej na Wschodzie i Zachodzie świata.

- Na razie mów tylko o Wschodzie, gdyż co się tyczy Zachodu, to on jeszcze nie zdążył poznać nawet powabu mojej Emmeh.

- No dobrze. Niechaj będzie jak chcesz! A teraz mi powiedz, w jaki sposób dostaniemy się do wieży, do Marah 79 Durimeh?

- Thgo jeszcze sam nie wiem.
- Nie wiesz? Miałem wrażenie, że osławiona długość twe-go rozumu przyjdzie ci w tym wypadku w sukurs!
- Jeżeli będą mi potrzebne myśli, to już same przez się przyjdą; na razie są mi zbyteczne.
- A jednak!
- Nie! Przede wszystkim musimy poznać wszystkie okoli-czności.
- Jeżeli będziesz robił tyle okoliczności z okolicznościami, to one się zamienią w niedogodności!
- I b miał być dowcip? Szkoda tylko, że trochę za ciężki.

Nie możemy wszak już teraz czynić jakichś postanowień, sko-ro nic prawie nie wiemy. W pierwszym rządzie musimy poznać tę twierdzą. Zanim jej nie obejrzymy, nie możemy wypracować najprostszego choćby planu działania. Tylko bez zbytecznych obaw, drogi Halefie! Pozostaw całą tę sprawę mnie, a wszystko się dobrze ułoży. A teraz chodź!

Wódz Hamawandów nas przywoływał. Gdy zbliżyliśmy się dofi, powiedział:

- Jesteśmy już gotowi, po naszej naradzie effendi i zako-munikujemy wam, cośmy postanowili.
- Słucham.
- Nie ruszamy jutro skoro świt, lecz zaczekamy tu, aż nasi wojownicy nadciągną.
- Czemu?
- Gdyż powinni was zobaczyć. Chcę aby się naocznie przekonali, jak rzadkich i znakomitych spotkaliśmy mężów, których w dodatku możemy zaliczyć do naszych najlepszych przyjaciół. Muszę być przy tym, aby zobaczyć, jak się z tej wiadomości będą radować, gdyż nie chcę pominąć~ tak wyjąt-kowej okazji, jaka mi się teraz nadarza.
- Słusznie, zgadzam się z tym, ażebyśmy czekali ich przy-bycia, jednak nie ze względów osobistych, lecz ponieważ tak nakazuje rozsądek. Wielka bowiem liczba wojowników tak lilisko za wami, może nam wszystko popsuć.
- Jakżelto?
- Czy sam nie rozumiesz, o co mi chodzi?
- Nie. Dotychczas uważałem, iż zabrawszy ze sobą trzystu wojowników, działałem bardzo

ostrożnie i przezornie, a tu od razu słyszę, iż przemawiasz przeciw temu ze względu na nakaz rozumu!

- 'Pak, czynię to i mam ku temu najzupełniejsze prawo.

Powiedz mi, dlaczego nie wyruszyliście od razu z waszymi trzystu wojownikami, lecz najpierw wysłaliście ludzi na zwiady?

- Chcieliśmy, rzecz jasna, wiedzieć wcześniej, jak się ma sprawa z naszymi zaginionymi przyjaciółmi.

- A czy teraz już wiecie?

- Jeszcze nie. Nie mogliśmy się nic ponadto dowiedzieć, iż są uwięzieni przez Dawuhdijehów.

- A więc, pomimo iż wasi wysłannicy nie osiągnęli tego, co mieli osiągnąć, uczyniliście to, czegoście przedtem nie zamierzali uczynić i czego w rzeczywistości nie powinniście byli czynić, zanim wywiadowcy nie spełnili swego zadania. Powiadasz, że nie byłoby rozsądne wyruszać z trzystu ludźmi, nie poznawszy uprzednio warunków wyprawy, a jednak sam wyruszyłeś w tak licznej asyście, mimo iż nie wiadome ci są 81 dotąd zasadnicze rzeczy. Czy błąd pierwotny przez to został naprawiony?

- Effendi, potrafisz tak zadawać pytania, że się musi dawać takie odpowiedzi, jakich oczekujesz!

- No dobrze, to mi wystarczy! A więc przyznajesz mi słusność. To, co pokwapili wasi wywiadowcy, musi być koniecznie naprawione. Wy sześciu, w zupełności możecie zadaniu podołać. Uważam nawet, że dla takich akcji jest często lepiej zabierać jak najmniej ludzi. Ci jednak, którym się zadanie to porucza, muszą być bezwzględnie doświadczeni, ostrożni i przebiegli. Sześciu to dla mnie już i tak za dużo. Miast więc wyjść z tego założenia, ciągniecie jeszcze za sobą aż trzystu wojowników. Powiadam ci, przypominacie mi pewnych zwiadowców na rzece, którzy byli wprawdzie tak rozsądni, ażeby wybrać jak najmniejszą i jak najszybszą łódź, ale przywiązali do niej ciężką tratwę, którą z wielkim trudem musieli za sobą ciągnąć. Thk! Musicie być całkowicie niczym nieskrępowani

tak lekcy i tak niezależni, jak to jest tylko możliwe, abyście, stosownie do wymagań chwili, mogli skierowywać się niepost-rzeżenie w każdą stronę. Tymczasem jednak jesteście przywią-zani do tych trzystu ludzi, jak chyże rumaki, zaprężone do ciężko naładowanych nierogacizną wozów!

- Jesteś więc zdania, ażeby zawrócić naszych wojowników i potraktować siebie samych jako



wywiadowców.

- Tak. O to mi właśnie chodzi.

- A więc dokąd mamy się udać? Przecież nie wiemy, gdzie Szewin jest ukryty!

- I właśnie dlatego błąd byłby jeszcze większy, gdybyście zabrali ze sobą aż tylu wojowników! Czy, dzięki towarzystwu

82 tych ludzi, dowiedzie się tego, o czym jeszcze nie jesteście poinformowani, a co jednak wiedzieć musicie?

- Nie.

- Nie pomyśleliście zatem, wydaje się, dokładnie o wszystkich problemach całej tej wyprawy. Ja na waszym miejscu wiedziałbym, dokąd się udać.

- A więc może ty nas właśnie oświecisz w tym kierunku?

- To bardzo proste, do twierdzy, gdzie znajduje się stara Sahira.

- Tam? Dlaczegoż to?

- Jedynie dlatego, iż ta kobieta właśnie się tam znajduje.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak zwany „pasza” Sulejmanii ją tam przetrzymuje; ale to, że kazał Sahirę uwięzić właśnie w tej wieży strażniczej, jest dla mnie już dostatecznym powodem do mniemania, iż to miejsce jest najwłaściwsze dla takich celów w całej okolicy. O tym, naturalnie wiedzą równie dobrze Da-wihdijehowie, którym powierzono pieczę nad uwięzioną; stąd też wynika zupełnie wyraźnie, iż sprowadzili tam również Szewina, albowiem, po pierwsze, nie ma odpowiedniejszego ku temu miejsca, po wtóre, nie zachodzi już potrzeba wyznaczania nowych specjalnych wartowników.

- Effendi, ta myśl jest dobra, bardzo dobra! Dziwię się, żeśmy na nią nie wpadli, mimo iż ona jest w tym wypadku najwłaściwsza!

- Widzisz zatem, iż miałem całkowitą słuszność twierdząc, żeście nie przemyśleli tej sprawy dostatecznie. W swoim gniewie na Dawuhdijehów natychmiast zebraliście trzystu wojowników, nie dowiadując się nawet, dlaczego uwięzili Szewina i nie chcąc przyjąć do wiadomości tej elementarnej zasady, iż przemocy używa się dopiero wtedy, gdy się przekonało, że ani dobroć, ani chytryść nie doprowadzą do celu. Ja, na waszym miejscu, pozostawiłbym tutaj owych trzystu wojowników, a sam udałbym się przede wszystkim do twierdzy, ażeby się przekonać naocznie, jak sprawy stoją. To jest wszak w każdym razie pewny punkt oparcia i

gdybym nawet tam nie zastał Szewina i jego towarzyszy, możnaby było przecież znaleźć dostateczną ilość wskazówek, które zaprowadziłyby na miej-sce, gdzie go trzymają.

- Słusznie, zgadzam się z tobą, effendi! Dochodzę coraz bardziej do przekonania, iż spotkaliśmy was ku naszej wielkiej korzyści. Powiedz mi raz jeszcze, proszę cię bardzo, czy zech-ciesz z nami pozostać i towarzyszyć nam w tej wyprawie?

- Co raz powiedziałem, tego nie cofam. Pozostaję z wami!

- Dziękuję ci serdecznie! Jeżeli będziemy was mieli przy sobie wszystko pójdzie dobrze. Jestem o tym głęboko prze-świadczony. Dlatego też nie uczynię żadnego kroku, nie zapy-tawszy cię przedtem o radę.

- W takim razie dobrze zrobisz. Lecz pozwolisz teraz, iż otwarcie powiem, że uważam was za bardziej nieostrożnych, niż to dotąd wam dawałem do zrozumienia.

- No, to jestem przeświadczony, iż twoje założenie jest z gruntu fałszywe! Nie jesteśmy niedoświadczonymi pastucha-mi, lecz wyćwiczonymi i walecznymi wojownikami, a jeżeli popełniłem błąd, uznawszy za słuszne od razu wystąpić z tak wielkim oddziałem wojowników, to był to raczej mój pogląd na tę sprawę, aniżeli rzeczywisty błąd. Wprawdzie zbytecz-ność tego kroku stwierdziłeś, aleś nie poparł swego zdania najmniejszymi choćby dowodami. Może się przeto jeszcze ó4 okazać, iż moje zarządzenie było słuszne! Zniechęcony ton, którym wypowiedział te słowa, dowiódł, iż wziął mi za złe to, co o nim powiedziałem. Gdybym nie był Kara Ben Nemzi, otrzymałbym za to ostrą naganę. Owych sze~ciu wojowników, byli to znakomici ludzie swego plemie-nia, posiadali przeto bardzo wysubtelnione poczucie godno-ści; nie powinienem był zatem ich obrażać. Ale gdy wódz mi powiedział, iż zawsze przedtem zasięgnię naszej rady zanim coś postanowi, dwaj spośród nich chrząknęli w sposób mający okazać niezadowolenie, tak że nie pozostało mi nic innego, jak wykazać im, iż nie mieli żadnych podstaw, ażeby wątpić w nasze dobre zamiary. Toteż, chcąc dowieść bezpodstawności jego sprzeciwu, odrzekłem:

- T~go, o czym teraz chcę ci wspomnieć, nie mogę stwier-dzić z całą pewnością, gdyż domyślałam się tylko; mimo to jednak ~est rzeczą koriieczną zapytać cię o to. Powiadasz, że wasi zwiadowcy zasięgaliby języka?

- I'ak, uczynili to.

- U kogo?

U Dawuhdijehów. U kogóż innego bowiem mogli by się tego dowiedzieć?

- Pytając się o kogoś, jest się zmuszonym wymienić jego nazwisko, opisac' go, podać jakieś bliższe szczegóły o nim?

- No, tak.
- I tak też zapewne uczynili wasi wysłannicy?
- Oczywiście!
- Byłbym niezmiernie rad, gdybyś mi mógł podać, kiedy, gdzie i u kogo zasięgali tych informacji?
- Rozstali się w pobliżu tego miejsca, umówiwszy się

85 uprzednio gdzie się znowu mają spotkać; każdy z nich miał wypytywać na własną rękę Dawuhdijehów, na których spodziewali się natknąć.

- I cóż uczynili ci Dawuhdijehowie?
- Jak to rozumiesz?
- Czy sądzisz, że tylko udzielili informacji twoim ludziom?
- A cóż innego?
- Przede wszystkim, jest rzeczą mocno wątpliwą, czy powiedzieli prawdę; ja osobiście nigdy nie odpowiedziałbym prosto z mostu pierwszemu lepszeemu człowiekowi; którego nie znam. Po wtóre, ci Dawuhdijehowie nie tylko zapewne odpowiedzieli na zadane pytania, lecz również wyciągnęli z tego jakieś wnioski. Nie ulega więc dla mnie żadnej wątpliwości, iż każdy z nich pośpieszył opowiedzieć innym Dawuhdijehom o nagabywaniach obcych jakichś ludzi i w ten sposób doszło do ogólnej wiadomości, że ... Powiedz, ilu było zwia-dowców?
- Ośmiu.
- Biada! Aż tylu?! A więc w ten sposób doszło do wiadomości Dawuhdijehów, iż ~ośmiu cudzoziemców pytało się u różnych ludzi w rozmaitych miejscach o te same osoby. To musiało, naturalnie, zwrócić uwagę, wzbudzając podejrzenie i dlatego jestem jak najmocniej-przekonany, iż Dawuhdijehowie zgadli, kim byli owi cudzoziemcy. Byliby zresztą wielkimi głupcami, gdyby nie wyciągnęli z tego faktu daleko idących wniosków. Dlatego też, możesz być prawie pewny, iż są zupełnie przygotowani do odpowiedniego potraktowania twoich trzystu wojowników.
- Effendi, czy to rzeczywiście twoje mniemanie? -szybko zapytał zafrasowanym głosem.
- Oczywiście! Tó przecież zupełnie jasne.
- W takim razie bylibyśmy już w drodze narażeni na niebezpieczeństwo?

- I trzeba było od dawna sobie uprzytomnić, a wydaje mi się tymczasem, żeś zupełnie o tym nie myślał. Ja, na twoim miejscu, pozwoliłbym myślom pójść nawet jeszcze dalej.

- Dokąd?

- Przede wszystkim do waszych obozowisk.

- I 'allah! A to czemu?

- Wysłuchaj mnie uważnie! Przypuśćmy, iż ja jestem szejkiem Dawuhdijehów. Byliśmy przez dłuższy czas z Hamawan-dami w naprężonych stosunkach na skutek krwawej zemsty, która dopiero co została zażegnana. I oto przybywają do nas Hamawandowie z chłopcem, którego ...

- 'Tiz muszę ci przemówić! - rzekł. - Szewin i jego towarzysze nie przyznali się do tego, iż należą do plemienia Hamawandów.

- Ach, to stwarza jeszcze gorszą sytuację! Na skutek tego kłamstwa wzbudzili tym większą nieufność i dlatego też zatrzymali ich. Bardzo możliwe, iż doszło przy tym do scen, które mnie jako szejka Dawuhdijehów, żywo dotknęły, pobudzając jednocześnie chęć zemsty. Po tym wszystkim, zjawia się jeszcze jeden po drugim ośmiu moich wojowników, którzy mi meldują, że paru jakichś cudzoziemców dopytywało się w różnych miejscach o uwięzionych przez nas Hamawandów. Naturalnie, nie wahałbym się wcale, co do tego, iż pytający również byli Hamawandami. Teraz musiałem wobec tego wszystkiego

87 wywnioskować, iż ci wywiadowcy donoszą swoim to jest Hamawandom, iż się odniosłem wrogo do ich ziomek i że ich uwięziłem. Wiem również, że Hamawandowie postanowią przyjść z pomocą swoim ludziom. Cóż mi tedy pozostaje czynić?

Zrazu Kurd milczał, gdy powtórzyłem jednak pytanie, od-rzekł:

- Chcesz mnie zasmucić, effendi!

- Chcę ci tylko przedstawić twoje położenie w takim świetle, w jakim je powinieneś zobaczyć; o nic więcej mi nie chodzi.

- Uważasz zatem, iż Dawuhdijehowie są przekonani, żeśmy przeciw nim wyruszyli i że spodziewają się nas?

- Tak.

- I że się ... przygotowali?

- Tak. Pochodzę wprawdzie z Zachodu, ale znam tutejsze kraje i ich ludy co najmniej tak dobrze, jak ty. Wierzaj mi, cudzoziemiec często lepiej i więcej widzi, aniżeli tubylec. Postawiwszy się w położeniu Dawuhdijehów, co i ty winiłeś być uczynić, a zapomniałeś, wiem, co i jak myślą i

jak postąpią. Gdyby się nie przygotowali do odparcia waszego napadu, byłiby warci, ażeby każdy z nich z osobna otrzymał różgi. Uważam ich jednak za dość rozsądnych i przewidujących, aby unikać mogli takich błędów.

- A ja sądziłem, że ich będę mógł zająć~ zniecka.

- No, jeżeli tak uważałeś, to ich nie doceniłeś. Nie chcę nawet przypuszczać, iż mogli się na wasze przybycie wcale nie przygotowywać, gdyż jednej tej możliwości przeciwstawia się dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, iż was oczekują. Gotów jestem nawet się z tobą założyć, że wyruszyłbyś wraz ze swoimi trzystu wojownikami na pewne stracenie, gdybyś nie miał obecnie możliwości przedsięwzięcia wszelkich możliwych środków, jakie dyktuje ci po tym wszystkim, com powiedział, ostrożność.

- Jesteś więc zdania, że powinniśmy zawrócić?

- Nie.

- Ale uważasz wszak, iż nas oczekują, i że natkniemy się na nich, skoro tylko udamy się w dalszą drogę!

- Wszak mówiłem, ażebyś pozostawił tutaj swoich wojowników.

- A nas szczęściu? Cóż my mamy uczynić?

- Pojedźcie wraz z nami do twierdzy.

- I b przecież jeszcze bardziej niebezpieczne! A w niebezpieczeństwie szczęściu czy trzystu dobrze uzbrojonych wojowników, to chyba dość spora różnica!

- Prawda, ale ta różnica wypadnie na waszą korzyść. Sześć osób, a właściwie wraz z nami osiem, może łatwiej i bardziej niepostrzeżenie się przekraść, aniżeli trzystu zbrojnych. Przyznasz mi chyba słusność?

- Chodzi ci zatem o utrzymanie naszej wyprawy w tajemnicy?

- I tak, o nader staranny, a ostrożny wywiad. Główny oddział pozostanie tutaj, aby nieść nam pomoc w razie konieczności, my zaś wyruszymy sami. Innego wyjścia nie ma.

- Thk, nie ma innego wyjścia! - potwierdził Halef. - Jeżeli pójdziecie za radą mego effendiego, nic złego wam się nie stanie; wiemy bowiem doskonale, jak należy postępować w takich wypadkach. Przedsiębraliśmy już takie wyprawy

89 niejednokrotnie, a ponieważ, jak zaobserwowaliśmy i wasze konie nie są najgorsze, przeto nie macie się czego obawiać. Mu obaj mamy niezłomne postanowienie udania się do wieży. Jeżeli macie stracha, możecie zawrócić do domu. Nie będzie-my was gwałtem przytrzymywali.

Na to Kurd szybko zawołał:

- Co ty mówisz! My się nigdy i nikogo nie boimy.
- A jednak tak wyglądało! - odparł Hadzi spokojnym głosem.
- Proszę cię, nie powtarzaj więcej takich rzeczy. Nie znajdziesz bowiem Hamawanda, który by się czegoś obawiał, nie wspominając już o tym, że Szewina i towarzyszy jego nie możemy pozostawić w niebezpieczeństwie!
- Jedziecie więc z nami?
- Tak.
- No, to wam muszę coś zakomunikować.
- Co takiego?
- Czy macie dobre uszy?
- Thk - odparł Adzy, nie wiedząc, do czego Halef zmierza swoim pytaniem.
- My również. Nasze uszy są nie tylko dobre, lecz także bardzo delikatne i niezwykle czułe. Bywają jednak pewne szmery, których nie możemy znieść, jak na przykład pewnego rodzaju chrząkanie. Mam nadzieję, iż wiesz już, o co mi chodzi!
- Niestety, nie wiem.
- Nie? Czyż muszę ci koniecznie to powiedzieć?
- Jeżeli to ważne, tak. Proszę cię o to!
- Ważne, bardzo ważne! Przedtem, gdy rzekłeś, iż niczego

90 nie przedsięwzięmiesz bez naszej rady, ci oto dwaj mężowie, siedzący obok mnie, zaczęli chrząkać i szemrać. Zazwyczaj tego rodzaju chrząkania dochodzą u nas po uszach do rąk, które w tych wypadkach z dawien dawna przywykłe są czynić pewne ruchy, mające tę zaletę, iż odzwyczajają na przyszłość od podobnego chrząkania. Jeżeli mamy zatem razem jechać, byłoby pożądane, abyśmy więcej podobnych szemrafi nie słyszeli; w przeciwnym bowiem razie ściągniecie na siebie szereg nieprzyjemności. Zrozumiałeś mnie dobrze? Czy też mam ci powtórzyć wyraźniej swe życzenie?

- Nie, wystarczy w zupełności to, co już powiedział, - odparł Adzy zakłopotany. - Przypisujesz tym szmerom znaczenie, którego wcale nie posiadały.

- Możliwe! Ale zawsze wolę, kiedy nie mam nic wogóle do przypisywania. Przystudiowałem bowiem wszystkie szmery świata i wiem co każdy z nich oznacza. Bądźcie przeto na przyszłość ostrożniejsi, bo gdy ja uczynię jaki szmer, to będzie on tak wyraźny, że nie pozostawi nikomu żadnych wątpliwo-ści!

Małe to intermezzo, wprowadzone przez bardzo czułego na punkcie honoru Hadziego, całkowicie zmieniło nastrój. Ko-sztowało mnie też wiele trudu, zanim mogłem doprowadzić do poprzedniej harmonii. Gdy, następnie i Halef odzyskał hu-mor, był na tyle łaskaw, iż ujął w swe ręce całą konwersację. To oczywiście, nie oznacza nic innego, ponad to, iż otworzyłwrota swych ust i jął opowiadać, opowiadać o naszych „wielkich bohaterskich czynach”.

Oдноśnie naszej podróży w kierunku twierdzy nie było już nic do dodania, toteż Kurdowie byli bardzo ciekawi usłyszeć z 91 moich czy też Halefa ust potwierdzenia tego wszystkiego, co o nas słyszeli. Co się tyczy mnie, to, swoim zwyczajem nie brałem udziału w tej całej opowieści, natomaist Halef był w swoim żywiole, ja zaś nic nie czyniłem, aby mu w tym przesko-dzić.

To co opowiadał, nie tylko że z nim razem przeżywałem, ale też już niejednokrotnie słyszałem z jego ust. Nie mogło więc mnie do tego stopnia interesować, ażebym całą uwagą pochła-niał jego słowa, jak to czynili Kurdowie. Oddaliłem się przeto, aby zajrzeć do koni, co zwykłem czynić stale przed snem. Owinąłem się następnie w swój haik i ułożyłem do snu. Zasnąć jednak nie mogłem, gdyż dobiegająca mnie opowieść Hadzie-go, przerywana okrzykami zdumienia ze strony słuchaczy, brzmiała w moich uszach, jak nieustanny szum potoku; prbcz tego myśl o jutrzejszej podróży nie pozwalała mi też zmrużyć oka.

Szczególnie interesowała mnie Es-Sahira, o której już po-przednio wspominałem. Kto czytał moje opowieści, ten wie, iż w czasie bytności w małej twierdzy Amadijah miałem sposob-ność ocalić pewną młodą Kurdyjkę od śmiertelnego zatrucia wilczymijagodami. Przy tej to okazji zapoznałem się z przeszło sto lat liczącą jej krewną, imieniem Marah Durimeh, która niegdyś była królową. Td ostatnia chcąc mnie wynagrodzić za szczęśliwe wyleczenie dziewczyny, obdarzyła mnie niezwykłą wdzięcznością, której wielkie dla mnie korzyści mogłem do-piero w długi czas potern ocenić. Moje zetknięcie się z Ruth’i Kulian, błogosławiącym Duchem Jaskini, było nie tylko waż-nym przeżyciem dla naszej ówczesnej podróży, lecz miało również wpływ na moje wewnętrzne życie, toteż do dnia 92 dzisiejszego niezmiernie je cenię.

O tej więc starej tak mi drogiej królowej musiałem teraz myśleć. Nigdy w życiu przedtem, ani też potem nie znalazłem osoby, która się okazała by tak godna czci, jak owa staruszka z duszą pogrążoną bardziej w przyszłym niż doczesnym życiu. Z ziemią łączyły ją jedynie pełna poświęcenia miłość do ludzi i miłosierdzie, poza tym zaliczała się do tych, o których Chry-stus mówi, że „przeszli do mieszkafi siedziby mego ojca”. Dla tego życia rozstałem się wówczas z nią, żyła jednak w mym sercu nadal, tak duchowo czysto, jasno i wysoko. A teraz miałem ją niespodzianie znowu spotkać. Ale czy to ona była napewno, a nie kto inny? Adzy mówił o bardzo starej kobiecie, której lat zliczyć nie można. Ió się zgadzało. I’akże inne jego uwagi mogły się raczej odnosić do niej, niż do innej nieznaney mi staruszki, aczkolwiek określenie Es-Sahira, Czarodziejka, - nie odpowiadało Marah Durimeh. Ale to określenie było tylko wynikiem przyziemnego punktu widzenia, z którego Kurdowie ją sądzili i obsenwowali. Istota i cała działalność staruszki była dla nich niezrozumiała i obca, a co

się człowiekowi natury wydaje niezrozumiałe, zwykł to określać mianem czarodziejstwa. Było wprawdzie możliwe, jak już wspominałem Halefowi, że nie widzieliśmy jeszcze nigdy owej kobiety, byłem atoli niezłomnie przekonany, że to spotkanie zetknie nas znowu z Duchem Jaskini. Pod wpływem tych myśli ożyły we mnie ówczesne przeżycia, owe bitwy przy rzece Zab z czcicielami diabła, z mahometanami i chrześcijanami, a zwłaszcza moje wejście do jaskini Ruh'i Kulian i częste rozmowy z „duchem”. Przypomniałem sobie słowa tamtejszego meleka:

„Odwiedzi cię, effendi, jutro w porze poobiedniej w moim 93 domu, gdyż ona ciebie lubi, jak gdybyś był jej synem lub wnukiem”. I zaprawdę! Gdy następnego dnia siedziała ze mną na stoku górskim w niezakłóconej, uroczystej samotności, powiedziała:

- „Panie, spójrz, tam pomiędzy południem a wschodem!

Spójrz na to słońce! Przynosi wiosnę i jesień, przynosi lato i zimę; jego lata przeszły więcej niż sto razy nad moją głową. Spójrz na tę głowę. Nie posiada już siwizny wieku starczego, lecz biel śmierci. Powiedziałam ci wtedy w Amadijah, że już nie żyję; powiedziałam prawdę. Jestem ... duchem ... Jam ... Ruh'i Kulian!” - Przerwała. A głos jej brzmiał głucho, jak gdyby rzeczywiście zza grobu; ale wibrował, wibrował pod działaniem żyjącego serca, oczy zaś skierowane na niebo skrzyły wilgotnym błyskiem głębokiego duchowego wzruszenia.

- „Wiele, wiele widziałam i słyszałam - ciągnęła dalej. - „Widziałam upadek wielkiego a wywyższenie małego; widziałam triumfującego zbrodniarza, a równocześnie obserwowałam człowieka dobrego, okrytego hafibą; słyszałam jak szczęśliwy płakał, a nieszczęśliwy się radował. Nogi odważnego drżały ze strachu, trwożliwy zaś czuł w swoich żyłach odwagę lwa. Płakałam i śmiałam się wraz z nimi; podnosiłam się i upadłam wraz z nimi ... Aż nadszedł czas, kiedy się nauczyłam myśleć. I znalazłam, że wielki Bóg tym wszystkim rządzi, że kochający ojciec wszystkich wiezie za rękę, tak bogacza jak i ubogiego, tak radującego się jak i płaczącego ... Ale wiele odefi odpadło; wyśmiewają Go. Inni znowu nazywają się Jego dziećmi, ale są raczej dziećmi tego, który zamieszkuje dżehennah, piekło. Przeto też ziemia, a wraz z nią i ludzie cierpią okrutnie, albowiem starają się uciec kary Bożej.



A jednak nie nastąpi drugi potop, gdyż Bóg nie znalazłby już Noego, któryby mógł się stać ojcem lepszego, miłszego poko-lenia ...”

Znowu uczyniła pauzę. Jej słowa, ton jej głosu, to matrwę, a jakże mówiące spojrzenie, jej powolne zmęczone, a tak znamienne odruchy wywarły na mnie głębokie wrażenie. Za-cząłem pojmosferać duchową władzę, jaką ta kobieta wywierała nad intelektualnie ubogimi mieszkańcami tego kraju. 'Ij~mcza-sem ciągnęła dalej:

- „Dusza moja drżała, a serce mało że nie pękło. Litowa-łam się nad biednym ludem. Byłam bogata, bardzo bogata w ziemskie dobra, a w moim sercu żył Bóg, którego oni odtręcili. Życie moje doczesne umarło, ale Bóg łaskawy we ntnie nie zmarł. Powołał mnie do służenia mu. I oto wędruję z miejsca na miejsce z łaską wiary w ręku, aby sławić i kazać o Wszech-mocnym i Wszechdobrym, Wszechmądrym i Wszechmiłosier-nym, aby kazać nie słowami, które wyśmiano by, lecz czynami, które błogosławiąco spływają na tych, którym potrzeba łaski ojca. Stara Marah Durimeh i Ruh'i Kulian były dla ciebie zagadką. Czy i teraz jeszcze są nią dla ciebie, mój synu? Czy też zacznasz już mnie pojmosferać?”

Tak, zacząłem wówczas ją rozumieć i im dłużej o niej my-ślałem, tym jaśniejszą się dla mnie stawała jej istota i wola. Była działającą w ludzkiej postaci ręką Boga, która wyciągała się z tryskającą miłosierną miłością, aby błędzących nawrócić na drogę cnoty, a kacerzy sprowadzić do zbawienia, przezna-czonego dla wszystkich, nie tylko dla wybranych. Tak, miała rację! Nie należąc już do ziemi, należała do swej przebogatej miłości do całej ludzkości!

Leżałem pogrążony w sobie i widziałem tak wyraźnie jej postać przed moimi zamkniętymi oczami, jak gdyby rzeczywiście przede mną się znajdowała. Głos opowiadającego Halefa brzmiał dla moich uszu jako bardzo daleki cichy szept. - I przypomniały mi się słowa, jakimi mnie podówczas żegnała Marah Durimeh: - „Synu mój, kiedy opuścisz tę dolinę, oko moje już nigdy więcej ciebie nie ujrzy, ale Ruh’i Kulian będzie się zawsze za ciebie modlić i błogosławić cię tak długo, aż te oczy, które teraz widzisz otwartymi, zamkną się na wieki dla życia doczesnego.” - I słysząc teraz w głębi duszy te słowa czułem jednocześnie, jak rozpostarła nade mną błogosławiąco swe ręce; wstąpiło we mnie radosne uczucie szczęścia i spokoju. Przymknąłem oczy do snu, a zostałem z miejsca przeniesiony w nieskoficzoną jasną dal, znaną tylko śniącemu oku, nigdy zaś rzeczywistości.

# III

- Sidi, obudź się, wstafi! Już dawno dziefi i wojownicy z plemienia Hamawandów wkrótce przybędą!

Gdy obudziłem się na ten zew małego Hadziego, ujrzałem, iż byłem jedynym, który jeszcze leżał. Dziefi już był z godzinę, zerwałem się więc zawstydzony niemal, że tak długo spałem. Halef siedział z Kurdami przy śniadaniu; jedli cienkie pla-cki, które były w ten sposób przyrządzone, że rozlepiano szeroko rozwałkowane ciasto na ścianach prymitywnych pie-ców, skąd same odpadały, gdy się upiekły. Zaledwie też obmy-łem się w jeziorze, zostałem również zaproszony do tego luksusowego śniadania.

Gdyśmy zakoficzyli je, dojrzałem w łuku bocznej doliny oczekiwanych wojowników. Zdumieli się na nasz widok, gdyż nie spodziewali się zastać tu swoich sześciu ziomków i to do tego w towarzystwie dwóch obcych mężów, których ubiór

## 4 - Twierdza w górach 97

wskazywał na to, iż nie są Kurdami.

Pomijam scenę przywitania, która nastąpiła. Nasze nazwiska były znane im wszystkim, mogliśmy to dojrzeć i usłyszeć. Okazali nam szacunek, którym Halef czuł się bardzo wzruszony. Wykorzystał też odpowiednią chwilę, ażeby mi szepnąć:

- Effendi, czyś zauważył, z jakim respektem ci Hamawandowie się do nas odnoszą? Wyprostuj się dumnie i trzymaj fason! Musimy im dać do zrozumienia naszym zachowaniem się, jaki to honor dla nich mówić z tak znakomitymi wojownikami, jak my.

Przybysze mieli na ogół dobre konie i jak na tamtejsze stosunki, byli stosunkowo dość dobrze uzbrojeni. Słyszeliśmy, że oczekiwali ufnie i bez żadnych obaw spotkania z Dawuhdijehami, gdyż byli przekonani, że zaskoczą nagle wroga. Dla tego też byli trochę rozczarowani, gdy Adzy zakomunikował im, co wczoraj wieczór powiedziałem w tej sprawie. Odbyla się krótka narada szarż, jeżeli wolno mi się tak wyrazić, w której myśmy również wzięli udział, a na której postanowiono przyjąć do wiadomości i zastosować się do moich wskazówek. Ti~zystu wojowników pozostawało więc tutaj. Mieli porozstawiać strażę i otrzymali nakaz zatrzymywania aż do naszego powrotu, względnie aż do chwili otrzymania od nas dalszych instrukcji, każdej zbliżającej się osoby, im samym wydano surowy zakaz pokazywania się komukolwiek. Wiedziano, że Dawuhdijehowie znali terazniejsze obozowiska Hamawandów dokładnie i że inną drogą do naszego miejsca wskutek rozgałęzienia gór nie można było się przedostać. Należało więc z zupełną pewnością spodziewać się, że Dawuhdijehowie będą oczekiwali ataku, względnie też szykują się do obrony 98 jedynie z tej strony, z której nadciągali rzeczywiście Hamawandowie. Nie powstrzymało mnie to jednak od powiedzenia Hamawandom, aby również uważali i na tyły, gdyż trzeba było również wziąć pod uwagę ewentualność niespodzianego obejścia ze strony wrogów.

Po tych i kilku jeszcze innych mniej ważnych wskazówkach ruszyliśmy w drogę. My, to znaczy sześciu Kurdów, których wczoraj spotkaliśmy, Halef i ja. Hadzi uśmiechał się nieznacznie do siebie. Gdy go spytałem o przyczynę, odparł:

- Sidi, jeżeli rzeczywiście istnieje kismet, w co zresztą nie wierzę od czasu poznania ciebie, to kismet ów i to nie tylko twój, lecz także i mój, ma co najmniej dziesięć tysięcy sprężyn w ciele. Albowiem kismet nasz, nie tylko że sam nigdy nie zaznaje spokoju, ale i nam go nie daje. A i to ciało ze sprężynami jest z gumy, nie ma bowiem stałego miejsca, nigdy się nie zatrzymuje i ciągle się zmienia. Skacze i płąsa to tu, to tam, toczy się i kręci raz tu, raz tam, a my płączemy się ciągle w ślad za nim. Wczoraj byliśmy przeświadczeni, że jedziemy bezpośrednio do Bagdadu, a dzisiaj szukamy jakiejś twierdzy, która znajduje się w zupełnie innym kierunku, aniżeli ten, do którego zmierzaliśmy. Dokąd nas ten kismet zawiedzie? Nie wiem, lecz powiadam ci, że lubię to, bardzo lubię; rzeczywiście, podoba mi się to nadzwyczajnie!

Uwagi jego nie były zupełnie pozbawione słuszności, aczkolwiek nie zawadziłyby, gdyby przedstawił nasz kismet w nieco idealniejszym świetle.

Rozumie się samo przez się, że nie zamierzaliśmy bynajmniej podążać ciągle w kierunku jeziora, gdyż to zaprowadziłoby nas dokładnie w ramiona Dawuhdijehów. Adzy, jak za-pewniał, znał okolicę, w której znajdowała się twierdza. We-dług niego mogliśmy pozostawać na tej samej drodze aż do pory obiadowej, następnie zaś winniśmy się skierować bar-dziej na prawo, w góry, poprzez które prowadziła linia prosta do wieży. Na jaki teren napotkamy po drodze, tego nie wie-dział, należało jednak przypuszczać, że droga nie będzie zbyt dogodna.

Aczkolwiek towarzysze nasi byli przyzwyczajeni do podobnych wycieczek wywiadowczych i potrafili zachować wszelkie środki ostrożności, to jednak nie znali nadzwyczajnej, że tak powiem, wyrafinowanej uwagi, której się nauczyłem u Indian, a która polegała na tym, iż ważne jest każde bodaj źdźbło trawy, czy też każdy powiew powietrza. Nawet Halef, który mnie widział niejednokrotnie przy takim zajęciu, nie był zdolny do podjęcia wywiadu, będącego rzeczą zupełnie prostą dla każdego dorosłego Indianina. Hadzi zresztą już to próbował niejednokrotnie a zawsze ze szkodą dla sprawy. Mogłem zatem obecnie polegać jedynie na sobie samym, toteż jadąc na przodzie, miałem oczy na wszystkie strony zwrócone i nie przepuszczałem najmniejszej z pozoru rzeczy, dla mnie jednak godnej uwagi. Przy tym wszystkim miałem jednak dość swobodnego czasu, aby móc obserwować jadącego obok mnie Adzy'ego. Wczoraj, gdy go widziałem po raz pierwszy, nie było już dość widno, a poza tym jego towarzysze odwrócili od niego moją uwagę, tak że dokładna obserwacja nie była możliwa;

mimo to wywarł na mnie silne wrażenie. I teraz oto, gdy go miałem u swego boku w jasny słoneczny dzień, to wrażenie niepomiarne się potęgowało. Sposób siedzenia na koniu, postawa i ruchy Kurda wskazywały albowiem na to, że jest

100

I

doskonałym, zwinnym jeźdźcem. Całą swą postacią czyniłwrażenie człowieka o wielkiej sile fizycznej przy niespożytej jed-nocześnie duchowej energii; słowem, był mężczyzną! Wszela-ko, gdy obserwowałem, wprawdzie skrycie, lecz bystro, jego twarz, było mi trudno nadać mu miano mężczyzny. Wąskie niskie czoło, z którego turban się zsunął, łagodnie zaokrąglone policzki i także podbródek, brak brody i pełne wargi, a nade wszystko miękkie spojrzenie jego wielkich oczu, gdy sądził że nie jest obserwowany, to wszystko razem wzięte nie było mę-skie, przeciwnie, znamionowało kobietę, mimo całej energii, która się jednocześnie zarysowała na jego twarzy. Pakże głos, który był wprawdzie głęboki i miał ton rozkazujący;brzmiał niezupełnie jak głos mężczyzny. Do tego należy dodać lekki ciefi u brzegów powiek i tępe, jakgdyby wytrawione malowa-niem, długie rzęsy. To wskazywało na przyzwyczajenie kobiet Wschodu do malowania rzęs ciemnym tuszem, ażeby nadać oku większego blasku i okazałej wielkości. Teraz farba była starta, przez co rzęsy otrzymały nieokreślony, tępy wygląd. Pobudzony tymi spostrzeżeniami, zwróciłem teraz bacz-niejszą uwagę na ciało Kurda. Ręka była kobieca i na wewnę-trznej jej stronie spostrzegłem ślad henny, której tak łatwo nie można było zmyć. Teraz wystarczyło rzucić jeszcze jedno spoj-rzenie na całą postać aby się przekonać, że obok mnie jechała kobieta, a nie mężczyzna.

A gdy to się stało dla mnie jasne, natychmiast też wiedzia-łem, kim była. Najznakomitszym podówczas wodzem Hama-wandów, słynniejszym jeszcze od znanego przywódcy Hussein Agi, był szejk Jamir, który wprawdzie pochodził z rodziny zwykłych prostych wojowników, lecz dzięki swej niezwyklej odwadze i wojskowym zaletom, dobił się do takiego uznania i władzy, że on to właśnie był najwyższym rozkazodawcą i duszą każdego przedsięwzięcia swego plemienia. W tym dążeniu do osiągnięcia wybitnego stanowiska nie był samotny; miał w swej niezwykle utalentowanej żonie oddaną i wierną mu pomocni-cę, odważną towarzyszkę, która wspomagała go we wszystkich jego przedsięwzięciach i dodawała otuchy, nigdy go nie opu-szczając, nawet na wojnie. Kurd otacza odwagę wielką czią i jeżeli kobieta w normalnych warunkach korzysta u niego z większego poważania i swobody, niż u innych narodów Wschodu, to nic dziwnego, że żona Jamira miała daleko wię-ksze, niż zazwyczaj na stosunki wschodnie, znaczenie. Żaden Hamawand nigdyby się nie odważył nie usłuchać jej rozkazów, wiedziano bowiem, że ukarałaby podobny opór daleko srożej, niż mężczyzna.

Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że mam teraz obok siebie tę rzadką kobietę, a wiedząc o tym, tym samym terazniejsza podróż otrzymała w moich oczach zupełnie inną treść i charakter.

Awięc dlatego nazwała siebie Adzy, Bez Imienia! Rozumia-ło się samo przez się, że Szewin, którego bratem się mianowa-ła, nie był nikim innym, jak Jamirem, jej mężem. A Khudyr, zatruty jadem chłopak, był ich wspólnym synem. Teraz także zrozumiałem pseudonim Szewina, który przez to imię, ozna-czające pastucha, chciał się przedstawić jako zwykły przeciętny a pokojowo usposobiony pasterz. W każdym razie, było nie-zmiernie pożądane, aby nie znalazł się nikt wśród Dawuhdije-hów, którygo znałby osobiście i mógł zdradzić jego właściwe imię.

102

Jak pod tym względem sprawa stała, tego nie mogłem wie-dzieć. Po tym jednak wszystkim, co dotychczas słyszałem, na-leżało raczej przypuszczać, że poznano go, a wobec podania przezefi fałszywego imienia, uznano za podejrzanego i uwię-ziono. O tym dowiedziała się jego małżonka i wyruszyła, aby go uwolnić. Jej pomysł natychmiastowego udania się wraz z wojownikami do kraju Dawuhdijehów był wprawdzie bardzo śmiały, ale też świadczył jednocześnie o jej wrażliwości kobie-cej, każącej jej pójść za popędem serca, nie za~ za głosem rozsądku. Zdecydowała bowiem o wyprawie, nie przekona-wszy się uprzednio, gdzie się Jamir znajduje. Niezmiernie się interesowałem tą kobietą i postanowiłem wszelkimi siłami postarać się o to, aby jej zwrócić męża i dziecko. Mimo to zależało mi na tym, aby się nie dowiedziała, że ją poznałem. Nie chciałem więc tego wyjawiać Halefowi, gdyż ten mały mó-głby się z tym wyrwać w chwili wzruszenia i odkryć tajemnicę; dlatego też nie wolno mu jej było zawierzyć. Teraz wszystko było dla mnie jasne i miałem do tego dość~ niebezpiecznego przedsięwzięcia dziesięć razy więcej chęci, aniżeli poprzednio. Jeżeli człowiek zdobywa się na jakiś ryzykowny czyn, to zawsze lepiej, aby wiedział, dla kogo to czyni. Ta matka, postanowi-łem, musi bezwzględnie odzyskać swe dziecko! Byliśmy już w drodze z dobre dwie godziny, gdy zaczęła ona tworzyć wiele zakrętów i dolin; musiałem skupić całą swą uwagę, gdyż za każdym takim zakrętem mogła na nas czyhać niezbyt wesoła niespodzianka. Nie byłem w stanie ukryć mojej ostrożno~ci. Adzy wyśmiewał się z niej i uważał za zbyteczną stratę czasu zatrzymywać się przed każdym zakrętem dla prze-konania się, czy się za nim nie ukrywa jakiś Dawuhdijeh.

103

Przyjąłem to jego odnoszenie się z całkowitym spokojem, nie broniąc nawet swego stanowiska, a zważając nadal na wszy-stko, dopóki droga nie wyrównała się i nie przybrała całkowi-cie prostego kierunku. Koniec tej prostej drogi łączył się z boczną doliną, przez którą przepływała rzeka, wpadająca do tej, wzdłuż której zdążaliśmy. Ponieważ w całej okolicy nie było nic podejrzanego, jechaliśmy szybko naprzód i prawie przebyliśmy już całą odległość, gdy nagle spostrzegłem coś, co mnie skłoniło do natychmiastowego zatrzymania konia w bo-cznych krzakach.

-‘Tiitaj do mnie, szybko! - zawołałem do towarzyszy.

Halef, który znał mój sposób postępowania, natychmiast usłuchał; ale Kurdowie się wahali, a Adzy dowiadywał się, pozostając ciągle na widoku:

- Dlaczegoż mamy się ukryć, powiedz, effendi?

- Ponieważ z dołu ktoś przybywa do tej doliny przed nami, albo już tam nawet jest, - odparłem. - Schowajcie się tutaj szybko, zanim zostaniemy spostrzeżeni!

Nareszcie usłuchali mnie, nie śpiesząc się jednak zbyt. Upewniłem się, że nie mogą być zauważeni, po czym zwróciłem się do nich:

- Jeżeli od was na przyszłość zażądam nagle, abyście się ukryli, musicie to natychmiast uczynić, nie zwlekając i o nic nie pytając. Zapamiętajcie to sobie!

- Czyś kogoś zauważył? - zapytał Adzy.

- 'Pak.

- Kogo?

- Dwa asafiry.

- Dwa asafiry? I dla tych ptasząt mieliśmy się ukryć?

104

- 'Tak.

- Ja także je widziałem. To była para zięb, która leciała w naszą stronę. Gdy nas jednak zauważyła, uciekła na drzewa.

- Właśnie chodzi mi o te zięby.

- Jakaż więc jest przyczyna twojej troski?

- Bardzo poważna! Ptaki mi powiedziały, że tam, w dolinie, znajdują się prawdopodobnie ludzie.

- Maszallah! Słyszałem tylko dwukrotne bojaźliwe ćwierkanie. Czy rozumiesz mowę ptaków?

Spytał tonem ironicznym. Odparłem mimo to:

- W tym wypadku ją rozumiem. Nie masz się czego uśmiechać; twoje żarty są nie na miejscu.



- Tak, uśmiechasz się! - dorzucił Halef cicho ale gniewnie. - Powiadam ci, jeżeli mój effendi twierdzi, że zna mowę ptaków, możesz być pewny, że nie kłamie. On rozumie wszystkie języki ludzi, zwierząt i roślin, a kto w to wątpi, przekona się później, iż się grubo mylił!

Zsiadłem z konia i skierowałem się do brzegu krzaków, ażeby wyrzeć. Nie zauważyłem jeszcze nikogo, przeto mogłem dalej objaśniać Kurda:

-Ptaki przyfrunęły z prawej strony bocznej doliny. Zauważyłem to, gdyż mam wzrok bystrzejszy od was i widzę lepiej, niż wy. Chciały się posunąć prosto przed siebie, omijając naszą dolinę, nagle jednak szybko zawróciły na lewo, kierując się na nas. A teraz powiedz, Adzy, czy doleciały aż do nas?

- Nie - odparł ten, którego oznaczam ciągle jeszcze jako mężczyznę, gdyż chciał za takiego uchodzić w naszych oczach.

- Czemuż to?

- Dlatego, że nas spostrzegły i uciekły między drzewa.

105

- A więc dlatego, że nas zauważyły, zboczyły z drogi?

-Tak.

- Ślicznie! A teraz, z tego samego założenia wychodząc, co wywnioskowałbyś z tego, że przedtem również raptownie skręciły w bok?

- Że ... ach, czy o to chodzi, że tam również kogoś zauwa-

~'~'?

- Tak, o to mi właśnie chodzi. Kiedy ptak tak nagle zmienia swój prostoliniowy lot, że jego droga stwarza kąt ostry, wtedy można z całkowitą prawie pewnością twierdzić, iż uczynił to z bojaźni, ze strachu. Zięby natknęły się dopiero co na ludzi, to twierdzą; możesz sobie w to wierzyć lub nie!

- Effendi, gdyby to była prawda, to nie opowiedziano nam o tobie zbyt wiele!

- Tak, to prawda, zresztą nie trzeba się temu zbyt dziwić, trzeba tylko trochę pomyśleć, ażeby z zachowania się ptaków wysnuwać wnioski o obecności ludzi. Teraz jednak uważajcie!

Zsiądźcie z koni i przytrzymajcie ich za pyski! Widzę ludzi; zbliżają się w naszą stronę! U ujścia rzeki ukazało się dwunastu kurdyjskich jeźdźców, którzy jechali obok siebie dwbijkami i trójkami w górę rzeki, a więc w naszym kierunku. Mówili ze sobą tak głośno, że już z dala dochodziły nas ich głosy.

Teraz nasi jeźdźcy szybko usłuchali moich wskazówek. A ponieważ jechaliśmy dotąd po kamienistym wale, nie pozosta-wiliśmy poza sobą widocznych śladów. Indianin wprawdzie byłby je natychmiast spostrzegł, ale nie miałem potrzeby się tego spodziewać ze strony tych Kurdów. Przybywali bardzo spokojnie i powoli jak gdyby mieli wiele czasu; równie tak samo powoli przejechali obok nas, nie spostrzegając niczego. Przysłuchiwałem się uważnie ich rozmowie, nie słyszałem jednak nic takiego, co by mogło mieć dla nas jakąś wartość. Gdy koń jadącego na przedzie zrobił kilka szybszych kroków, jeden z Kurdów, jadący za nim, zawołał na wpół żartobliwie:

-Achdele-mehke! Znaczy to tyle, co: Nie śpiesz się zbyt-nio!

Stąd, jak w ogóle z całej ich powolności można było wywnio-skować, iż nie uważali swej jazdy za tak nagłą, aby trzeba było aż koni przyśpieszać. Poza tym usłyszałem coś o avik eduduahn, o drugim jeziorze albo o drugiej wodzie i także o jakimś rycoda gumgurhuk, co znowu oznacza miejsce, gdzie są jaszczurki. Były to dla mnie słowa bez wielkiego znaczenia, a wyłowilem je spośród rozmów, prowadzonych w różnych gru-pach przez przejeżdżających.

Ale gdy nas minęli i zapytałem Adzy'ego, czy to byli Kurdo-wie Dawuhdijeh, odparł mi:

-Tak, to byli oni, effendi, a udają się do miejsca, gdzieśmy nocowali i gdzie się teraz znajdują moi wojownicy.

- Skąd to wiesz?

- Mówili o tym; wspomnieli nazwę tego miejsca: yrcoda gumgumuk. Najprawdopodobniej zamierzają się tak ukryć i obserwować, kiedy przybędziemy, aby zaraz o tym donieść swojemu szejkowi.

- Aha! Widzisz więc, iż moje założenia były zupełnie słu-szne. Są zatem przekonani, że przybędziecie tutaj. Mam nad-zieję, iż twoi ludzie będą się dobrze pilnowali i schwytają tych wywiadowców?

- Na pewno to uczynią. Jestem o tym głęboko przekonany.

czekają na moich Hama-wandów, aby ich napaść.

- Znaleźlibyśmy to miejsce, gdyby nam ta wiadomość była potrzebna, ale nie wolno nam teraz tego czynić, skoro przede wszystkim naszym zadaniem jest dostać się do twierdzy.

-Masz rację effendi. Czy możesz jednak zgadnąć, gdzie się znajdują teraz Dawuhdijehowie?

- Oczywiście.

- Nawet wzięwszy pod uwagę fakt, że jeszcze w tej okolicy nigdy nie byłeś?

- 'Pak.

- Effendi, zdumiewam się!

- Nie trzeba się wcale zdumiewać! - zauważył Halef dość głośno. - Wobec niezmiernej długości rozumu, jaką posiada mój effendi i wobec nieskoficzonej szerokości mojego umysłu muszą nam być wiadome wszystkie rzeczy na świecie, które dla pozostałych ludzi stanowią wiecznie nieodkrytą tajemnicę.

- Jeżeliś taki mądry i to wiesz, to powiedz - rzekłem do niego, chcąc go ukarać za samochwalstwo.

W odpowiedzi na to uczynił odpychający ruch rękoma i zawołał:

- Kogo pytano, mnie czy ciebie? A kto twierdził, że może zgadnąć, ja czy ty? Powiedz więc ty, co wiesz, a ja to potwierdzę!

Tym żądaniem pokrył swe zakłopotanie. Ja, jako stary, za-wsze porządany gość, nie chciałem go przecież tak otwarcie zasypywać, wyjaśniłem więc oczekującemu odpowiedzi Kur-dowi:

108

- Nie ulega żadnej wątpliwości, zwłaszcza że tych dwunastu wywiadowców tędy przechodziło, iż Dawuhdijehowie rozłożyli obóz w dolnym biegu tej rzeki, a musi to być w takim miejscu, gdzie kilkuset jeźdźców nie tylko może się całkowicie ukryć, lecz musi także mieć dostatecznie miejsca na stoezenie walki. Może wam znane jest takie miejsce, rozszerzenie lub rozgałęzienie tej doliny?

- Są tylko dwa takie miejsca i znam je oba - odrzekł Adzy.

- Ale które to?

Zaraz się tego dowiesz.

- Od ciebie?

-Tak.

- Pomimo, że nie znasz okolicy?

- 'Tak, mimo to.

- Effendi, czy jesteś wszechwiedzący?

- Nie. Łączę tylko w pewien logiczny związek przesłanki, co i ty zresztą mógłbyś uczynić. Czy gotów jesteś potwierdzić, że tych dwunastu wywiadowców, których widzieliśmy przed chwilą, dzisiaj wyjechało z miejsca, gdzie się znajduje główna kwatera Dawuhdijehów, oczekujących waszego przybycia?

- „Pdk, inaczej być nie może.

- Czyś widział bukiet z koniczyny; który był zatknięty za turbanem jadącego na przedzie?

-Tak. Czy wiesz jakie ten bukiet ma znaczenie?

- Znam je. To zabobon.

- Nie, to nie żaden zabobon, tak rzeczywiście jest! Sam się o tym niejednokrotnie już przekonałem. Kto chce coś przed-sięwziąć, musi ze sobą zabrać bukiet el-chilel; wtedy zamie-rzenie się udaje, gdyż duchy, lubiące el-chilel, wspomagają go.

-Tak? I ó powiedz mi, proszę, po co Dawuhdijeh dzisiaj przypiął sobie ten bukiet?

- Ażeby jego wywiad przeciwko nam się powiódł.

- I wierzysz, że mu się uda?

- Nie, na pewno dostanie się do naszej niewoli wraz ze swoimi ludźmi.

- A więc, el-chilel pomoże?

- Nie ... Effendi, z tobą doprawdy nie można się sprzeczać!

- Doskonale, że się o tym przekonałeś; zapamiętaj to sobie!

- Dlaczego w ogóle mówiłeś o tym bukiecie?

- Zaraz się o tym dowiesz. Chodzi mi o to, czy znam dobrze ten zabobon. Kiedy więc ten jeździec urwał bukiet?

- Bezpośrednio przed wyruszeniem w drogę.

- .A więc bukiet akurat ma tyle godzin, jak długo trwa podróż?

-1'ak.

- To wiedz, że ta roślina el-chilel została zerwana przed prawie trzema godzinami, a w każdym razie niewiele wcześ-niej, ale też i niewiele później.

- Z czego to wnosisz, effendi?

- Widzę to. Posiadam, widzisz, trochę doświadczenia pod tym względem, gdyż często musiałem określać na podstawie właściwości zerwanych gałęzi, zdeptanej trawy lub zwiędłej rośliny, czas, kiedy ta roślina została zerwana, zdeptana lub zwiędła. Wiem na pewno, że się i teraz nie mylę. Ci Dawuh-dijehowie rozpoczęli swą podróż przed trzema godzinami, tyleż więc czasu trzeba poświęcić, aby osiągnąć to miejsce, gdzie obozują wasi nieprzyjaciele, jeżeli naturalnie będzie się

110 ciągle jechało w dół tej rzeki z taką samą szybkością, jak to czynili wywiadowcy.

- Ależ, sidi, to się zgadza co do najdrobniejszych szczegó-łów! '1'dm się znajduje piensze z tych miejsc, o których wzmiankowałem. Dolina skręca łukiem na lewo, podczas gdy prawa jej strona idzie prosto. T~n el-chilel powiedział ci pra-wdę! Przekonuje się coraz bardziej, iż przed każdym przedsię-wzięciem należy ciebie zapytać o radę i wskazówki!

Tix Halef przerwał mu pytaniem:

- Czy i teraz ktoś będzie szemrał przeciw nam?

Ażeby zatrzeć wrażenie, wywołane ironią Hadżiego, szybko rzekłem:

- Wyśmiewali~cie się przeto z mojej ostrożności, którą uważaliście za zbyteczną. A teraz chyba przyznacie, że była konieczna?

- l~k, effendi - odrzekł Adzy. - Przyznaję to chętnie i szczerze, iż bez ciebie wpadlibyśmy w ręce tych dwunastu Dawuhdijehów i musielibyśmy niechybnie stoczy~ walkę.

- ~go uniknęli~my dzięki prostemu spostrzeżeniu, jakie poczyniłem w związku z lotem ptaków.

A co zwykły bukiet mi zdradził, również słyszałeś. Widzisz zatem, iż zawsze w czasie zwiadu, czy też podczas podróży w ogóle, trzeba na wszystko zwracać baczną uwagę. Najmniejsza drobnostka może spowodować śmierć lub też kogoś od niej uchronić. Teraz jednak chciałbym się dowiedzieć, czy jesteś przekonany, iż twoi wojownicy spełnią obowiązek i że nie dadzą się podejść Dawuh-dijehom?

- Pochwycą ich bezwzględnie, sidi.

- Lecz jeżeli będą tak nieostrożni i pokażą się przedtem

111

Dawuhdijehom, wówczas jednak nie dostaną ich w swoje ręce!

- Pewny jestem, iż nie popełnią żadnego błędu, znam ich.

A zresztą, wiedzą, że mają pokazać Kara Ben Nemzi effendie-mu i jego Hedziemui Halefowi, że są dzielnymi wojownikami, zachowują się przeto bezwzględnie bez zarzutu.

- Dobrze, możemy więc ruszyć dalej.

- Ale już nie tak daleko w dół rzeki; jak poprzednio zamierzaliśmy.

- Słusznie! Chcieliśmy dopiero w południe skręcić w prawo, ale wobec tego, że Dawuhdijehowie są od nas oddaleni zaledwie o trzy godziny, możemy to uczynić wcześniej.

- Kiedy więc i gdzie?

- Jak tylko góry nam na to zezwolą.

- A może już teraz pojedziemy tą boczną doliną, leżącą przed nami?

- Nie, to byłoby zbyt wcześnie. A prócz tego, mam wrażenie, iż nie prowadzi ona naszą drogą. Nie szkodzi, możemy tak długo jechać, aż znajdziemy odpowiednie przejście! Wyprowadziliśmy konie z krzaków, dosiedliśmy ich i ruszyliśmy w dalszą drogę. Okazało się jednak, iż wspomniana boczna dolina skręcała na północ-wschód, miast na północ-zachód; ta droga nie odpowiadała zatem naszym zamiarom.

Z powodu koniecznej w takich wypadkach ostrożności, nie mogliśmy się tak szybko posuwać naprzód, jakbyśmy sobie tego życzyli. Ułynęła też przeszło godzina, zanim ujrzeliśmy przed sobą drogę otwartą w prawo. I tu nastąpiło spotkanie, którego obaj, to znaczy Halef i ja, nigdy byśmy się nie spodziewali. Znajdowaliśmy się mianowicie w miejscu, gdzie jezioro wciskało się bardzo

głęboko w skały; musieliśmy więc pod drzewami jechać przez dłuższy czas, aż dostaliśmy się na wysokie wybrzeże. Rosły tu przeważnie dęby. Chcieliśmy znowu dostać się na drugą stronę, gdzie dolina była szersza; gdy oto 113 nagle ujrzeliśmy dwie niewieście postacie, które siedziały na dole, trzymając przed sobą koszyki. Zdawały się odpoczywać. Znajdowaliśmy się od nich w zbyt wielkiej odległości, abyśmy mogli dojrzeć ich twarze zwłaszcza, iż miały głęboko na głowę zsunięte chusty. Zatrzymaliśmy się naturalnie, ażeby naradzić się nad naszym położeniem.

- To są kobiety, które nas nic nie obchodzą - rzekł Adzy tonem pogardliwym.

- Czemuż to? - odparłem. - Tii nawet małe dziecko mogłoby stać się dla nas niebezpieczne, gdyby nas zdradziło, a cóż dopiero dorosłe niewiasty.

- Ale to są wszak zwykłe zbieraczki żołądzi, które się wcale nie myślą nami interesować. Biedne to wszak kobiety!

- Że są biedne, nie trudno wnioskować z ich ubioru.

Uważam jednak, że nie są zbieraczkami żołądzi. Godzi się tu jednak zaznaczyć, iż w Kurdystanie, żołądzie są szeroko wykorzystywane do różnych celów, a więc moje powiedzenie mogło brzmieć co najmniej jako mocno wątpliwe.

- A ja jestem przekonany, iż mają w swych koszykach żołądzie - óbstawał Adzy przy swoim twierdzeniu.

- Ja również, ale to właśnie czyni w moich oczach kobiety owe, mocno podejrzanymi.

- Dlaczego?

- Który to rozsądny człowiek zbiera teraz żołądzie, które są zupełnie niezdatne do użytku na skutek przesiąknięcia wilgocią? Ktoś, kto to więc czyni, robi to tylko dla pozoru, a ma przy tym zupełnie inny cel. Znam północne plemiona kurdyjskie, które używają kobiet do celów wywiadowczych.

114

- Uważasz więc, że ...?

- Nie myślę nic ponad to, iż są dla mnie bardzo podejrzone właśnie z powodu tych żołądzi i że wskutek tego musimy je wziąć w krzyżowy ogień pytafi.

- Gdy zobaczą jednak, że się do nich zbliżamy, dadzą natychmiast drapak.

- Nic strasznego! Wobec tego, naszym obowiązkiem jest nie dać się im wpierv zobaczyć zanim nie będziemy pewni ich schwytania. Ja z Halefem zsiądziemy z koni, podkradniemy się do nich i dopiero wówczas, gdy je będziemy mieli pewnie w garści, wy nadciągniecie. A więc naprzód, Halefie! Ty pozosta-niesz po tej stronie doliny, ja natomiast udam się na drugą stronę.

- Hamdulillah! - krzyknął mały Hadzi. - Wreszcie do-czekałem się jakiejś zmiany, a doprawdy gnaty mnie już bołą od ciągłej jazdy konnej! Będziemy więc polowaE na kobiety. Sidi, ja je obie upoluję! Możesz nawet palcem w bucie nie kiwnąć!

- Tylko bez żadnych nieostrożnych wybryków, Halefie! - ostrzegłem go.

- Co też ty o mnie myślisz! Jeżeli jestem dość ostrożny wobec Hanneh, najukochafiszego żołędzia na ... o Allah, prze-bacz mi! Co też mówię! ... Chciałem powiedzieć, najukochafi-szego kwiatu wśród wszystkich róż, kwiatów i roślin wiosen-nych, to jakim się więc okażę w stosunku do tych obcych niewiast! Możesz być o mnie zupełnie spokojny. Najmniejsza troska nie powinna mieć do ciebie, effendi, przystępu! Puścił się do przodu pod drzewami. Ja natomiast musiałem zawrócić, a dopiero następnie przeskoczyć przez wodę. Mógł 115 więc wcześniej ode mnie przybyć na właściwe miejsce. Zamiast też czekać na mnie, skoczył szybko pod drzewami w kierunku kobiet z podniesionym nożem w rękę. Spostrzegłem ten ma-newr i przyśpieszyłem kroku, aby i ze swej strony uniemożliwić niewiastom ewentualną ucieczkę. Natychmiastprzekonałem się wszakże, że to było zbyteczne, gdyż kobiety wprawdzie podskoczyły ze swych miejsc, nie uczyniły jednak ani jednego kroku naprzód, chyba ze strachu.

Ku mojemu jednak wielkiemu zdumieniu Halef również stanął jak skamieniały. Nie uczyniłem najmniejszego ruchu, choć przystanął z groźnie wzniesionym nożem. Po chwili, gdy mnie zauważył, krzyknął donośnym głosem:

- Przybądź, sidi! Przybądź prędko! Prędko, błyskawicznie, szybko!

Zaraz jednak zaczął w moją stronę wymachiwać rękoma i zawołał silnym głosem:

- Stop, stop, stop! Stafi! Nie dalej, nie dalej, ani kroku dalej, ani jednego kroku dalej!

Stałem więc, gdyż uważałem, iż jeśli tego ode mnie wy-maga, musi być pewny, że niewiasty nam się nie wymkną. Byłem wszakże ciekaw, czemu miałem pierwej tak szybko przybywać, a teraz znowu tak nagle się cofnąć. W każdym razie była to jakaś niespodzianka, ale jaka?

- Sidi, - rzekł teraz Halef z błyszczącym obliczem i pro-mieniejącymi radością oczyma - zawsze zgadujesz wszystko dzięki niecodziennej długości twego rozumu. Wymagam więc od ciebie, ażebyś i obecnie trochę pomyślał!



- Nad czym? - zapytałem.

Zamiast mi odpowiedzieć, krzyknął na obie kobiety, które 116 usiłowały odwrócić się w moją stronę:

- Stop! Nie odwraca~ się, nie odwracać się! Nie powinien zobaczyć waszych twarzy! Nie spoglądajcie w jego kierunku, jeżeli nie chcecie zatruć mi rozkoszy tej chwili. Proszę was, nie ruszajcie się z miejsca!

A zwracając się znowu w moją stronę, dawał mi wyj aśnienia, śmiejąc się:

- Pytasz, nad czym masz pomyśleć? Naturalnie, nad tym, kim są te niewiasty!

- To nadwyreżenie umysłu do niczego nie doprowadzi, gdyż nie mam żadnego punktu oparcia.

- Żadnego punktu oparcia? O, sidi, jak możesz mówić coś podobnego! Żadnego punktu oparcia! Tii wszak stoję ja, twój znakomity towarzysz i obrofica! Czyż nie jestem dla ciebie punktem oparcia?

- Czy ty jesteś tym, nad którym mam się zastanawiać?

- Nie, gdyż mimo całego natężenia twoich sił duchowych nie dojdiesz do tego. aby zdoła~ wymierzyć wysokość mojej wartości i ocenić głębię mego rozumu. Ale mniejsza z tym. Teraz masz się zastanowi~ nad tymi niewiastami, o co cię już raz zupełnie wyraźnie prosiłem.

- Mam więc zgadną~, kim one są?

- O tak, tak! Powiedz to prędko, prędko, sidi!

Mógł dobrze gadać, gdyż miał ich twarze przed sobą, pod-czas gdy ja widziałem tylko ubogie ubranie i to od tyłu, przy czym odzież ich była tak szeroka i fałdzista, że w żaden żywy sposób nie mogła mi dać wyobrażenia o kształcie ciała tych kobiet. Przeto nie mogłem też nic więcej powiedzieć, jak:

- Nie mogę zgadnąć tak długo, jak długo mi nie dajesz żadnej wskazówki, żadnego punktu wyjścia.

- Wskazówki? Allah akbar! Przecież stoję i wszystkimi dziesięcioma palcami na nie ci ciągle wskazuję! Czy tego jeszcze mało! A punkt wyjścia? Przecież rozporządzasz tu wszystkimi punktami i możesz nimi wchodzić i wychodzić! I ty twierdzisz, że nie masz żadnego punktu?!

Chciał jeszcze dalej mówić, ale jedna z kobiet mu przerwała.

Słyszałem, jak rzekła:

- Tyś jest Hadzi Halef Omar, któregośmy polubiły. Poznałam cię od razu! Kim jednak jest 6w sisi, z którym rozmawiasz, a na którego nam nie wolno spojrzeć?

- Zgadnij to sama!

- Allah! Jaka byłaby to rozkosz, jakie szczęście, gdyby to był 6w człowiek, o którym myślę!

- No, o kim więc myślisz?

- Czy to 6w effendi z Dżermanistanu, który wówczas u nas był w twoim towarzystwie?

-Tak, to on. Zgadłaś!

- Jakże więc możesz ode mnie żądać, ażebym nań nie spojrzała! Czyś zmysły postradał? Czyś oszalał? Dusza moja za nim bezustannie tęskniła, jak tęskni mąka za wodą, ażeby dzięki niej zamienić się w ciasto, a gdy wreszcie spełniło się moje najgorętsze życzenie, mam teraz nie spojrzeć na tego, którego dusza moja pokochała? Daj spokój! Obejrzę się! Jej głos brzmiał niezwykle energicznie. Taki również był jej zwrot, który uczyniła w moją stronę. Ujtałem ją; widziałem jej twarz i w tej samej chwili odżyły we mnie wszystkie wspomnienia o Marah Durimeh.

Zanim jednak wymienię wreszcie to imię, o które Halef 118 mnie nagabywał, muszę kilka słów powiedzieć o tej, która teraz przede mną stała. A więc:

Było to owego dnia, kiedy, o czym już poprzednio wspominałem, udałem się do grotty, ażeby zobaczyć tajemniczego Ducha Jaskini. Byłem w niewoli i znajdowałem się w kamiennej chacie, która leżała blisko wsi Szohord w dzikim wąwozie. ‘~m; w chacie, tr~mano mni~ ~w~~T~ne~o do Pala. Stara kobieta miała pełnić straż przy mnie. Nazywała się Madana. W moim ówczesnym sprawozdaniu opisałem ją w następujący sposób:

„Madana oznacza to po prostu pietruszka. Jak staruszka doszła do tego imienia, nie wiem, ale gdy teraz stała dość blisko mnie, zalały ją od niej nie tylko pietruszką, lecz wytwarzała dokoła siebie atmosferę, na którą się składały zmieszane za-pachy czosnku, zgniłych ryb, zdechłych szczurów, mydlin i wędzonego śledzia. T~ piękna mieszkanka doliny Zab, odziana była w piękny krótki płaszcz, który u nas mógłby służyć jedynie za ścierkę. Brzeg tego płaszcza sięgał zaledwie kolan, wystawiając na pokaz parę upiornych przeraźliwych nóg, których widok mógł wzbudzić~ zupełnie naturalne refleksje, iż nie były myte od długich, długich lat ... Blisko mnie ujrzałem obok miednicy pełnej wody wielką skorupę, która niegdyś prawdopodobnie była częścią składową dzbana, teraz jednakże służyła jako miska, a zawierała masę złożoną zapewne na poły z kleju stolarskiego, na poły zaś z dżdżownic albo pijawek ... Potem, gdy byłem ze staruszką sam na sam, zapytała mnie:

- Czy chcesz jeść?

- Nie - odrzekłem ze wstrętem.

- A pić?

119

-Także nie.

Wówczas woniejąca Pietruszka podeszła ku mnie, siadła swobodnie w pobliżu mego biednego nosa i wzięła na kolana wżgardzoną przeze mnie skorupę. Widziałem, iż wsadziła wszystkie pięć palców prawej ręki do tajemniczej mieszaniny, po czym rozdziawiła bezzębne usta, jak walizkę z czarnej skóry ... Nie, nie mogłem dalej patrzeć i zamknąłem oczy, a przez długi czas dochodziło do moich uszu straszliwe siorbanie i mlaskanie. Następnie usłyszałem owo miłe potarcie, powsta-jące wtedy, gdy język służy za serwetkę, po czym rozległo się długie, zadowolone chrząknięcie, pochodzące z upojnej roz-koszy duszy ludzkiej! ...

O Pietruszko, przysmaku życia, czemuś nie rozsiała swych woni nieco dalej ode mnie! ...”

Jednakowoż byłoby błędem sądzić, iż dusza owej Kurdyjki podobna była do jej zewnętrznego wyglądu. Przeciwnie, Ma-dana była dzielną, serdeczną niewiastą. Ulżyła mej doli ponad swoje siły, a gdy potem byłem wolny, tak mnie pokochała, że przy rozstaniu pożegnała mnie tymi słowami:

- „Bądź zdrow, panie! Ruh’i Kulian dowiódł, iżjesteś jego ulubieńcem, a ja cię również zapewniam, że jestem twoją przyjaciółką! ... Bądź zdrow, effendi!”

Od owego czasu upłynęło szereg lat. Nie powróciłem w tamte okolice i aczkolwiek, chciałbym ją jeszcze w życiu spotkać, to jednak uważałem to za rzecz niemożliwą, za fantazję. I oto stała teraz tu przede mną w całym swym blasku i w całej swej okazałości kochana, wdzięczna, słodka Pietruszka, podstarzała już wprawdzie, ale niezmieniona od owego czasu, kiedy ją widziałem po raz ostatni przed sobą z pustym dzbanem w ręku, którego zawartość smacznie wylizywała. Suknie, którą teraz miała na sobie, była wprawdzie dłuższa, ale równie brudna i nie lepsza, niż wówczas.

Zaledwie rzuciła na mnie okiem, podeszła do mnie szybkim krokiem, uchwyciła mnie za obie ręce, przycisnęła je do serca i radosnym głosem zawołała:

- To tyś rzeczywiście, panie! Widzę to! Co za rozkosz! Co za szczęście! Od czasu jak nas opuściłeś, nie przeszedł ani

121 jeden dziefi, ażebyśmy o tobie nie myślały! Ciągłe o tobie mówiłyśmy, wspominałyśmy wszystko, coś uczynił, wspominałyśmy każde twoje słowo po tysiąc razy. Słyszałyśmy, żeś znowu był w Mezopotamii, jak również i w naszym Kurdystanie, ale nie w tej okolicy, gdzie mieszkają ci, którzy ciebie kochają i ubóstwiają. Zrezygnowałyśmy już z tego, ażeby ciebie jeszcze spotkać kiedyś w tym życiu, gdy dobry łaskawy Bóg jednako-woż pozwolił, ażeby twój widok stał się rozkoszą dla naszych oczu. O effendi, nie jestem w stanie ci powiedzieć, jak dalece twoje przybycie nas uszczęśliwiło! Ingdza, czemu jeszcze tam stoisz i nie ruszasz się z miejsca? Ileż to razy skrycie o nim myślałaś i głośno go wspominałaś! A gdy wreszcie znajduje się między nami, stoisz z daleka, jakbyś go wcale nie znała! Ingdza! Tak, to ona była, piękna córka Nedzir Beja, raisa z Szohrd, który wtedy stał się moim przyjacielem, będąc uprzednio najzaciętszym wrogiem. Nie znać było po niej, że już przeszły lata całe od czasu, gdyśmy się widzieli po raz ostatni. Stała obok Halefa akurat w tej samej nieśmiałej pozie, wjakiej ją ujrzałem, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali i ten sam płomień wstydu dzisiaj również okrasiał jej miękkie brązowe policzki. I ona również miała na sobie ubogą suknię, co częściowo było przyczyną jej zakłopotania, ale mimo to nawet ten, kto ją widział po raz pierwszy, mógł z łatwością stwierdzić, że nie była przyzwyczajona do tego stroju. Ona, piękna i zamożna córka beja musiała mieć w tym jakiś szczególnie ważny powód, że odziała się w podobne szaty. Pozostawała dotąd na swoim miejscu, jak gdyby nie mogąc ruszyć nogami. Zbliżyłem się do niej, ująłem jej ręce i rzekłem:

- Bądź pozdrowiona, ty przyjaciółko czasów przeszłych! I

122 ja o was myślałem i jestem bardzo i szczerze rad, że was widzę. Czemu nic nie mówisz? Czy się nie cieszysz, jak ja? Pod wpływem tych słów twarz jej żywiej zapłonęła; opuściła głowę, na próżno jednak szukając słów, po czym rozplakała się. Byłem głęboko wzruszony; Hadzi również. Ale on nie był w stanie opanować, tak jak ja, wzruszenia i na swój sposób zaczął do niej przemawiać:

- Po co się odwróciłyście! T~n effendi z całą długością swego rozumu, nie byłby się pierwiej dowiedział, kim jesteście, zanim by tego sam nie zgadł, nawet gdyby był zmuszony stać pogrążony w swoich myślach dziesięć tysięcy lat! Teraz piękna tajemnica została zdradzona i wywplynęłyście na to, że miałem szczęście dowiedzieć się o tym, czego on mimo beużytecznego swego rozsądku pojąć nie był w stanie. No, śmieć się Mada-na, gdy Ingdza płacze! Teraz z kolei jeden z nas dwóch musi płakać, podczas gdy drugi będzie się śmiał. Czemu jednakowoż ma płynąć potok łez, gdy odczuwamy jedynie radość? Nie widzę przyczyny, dlaczego ... Sidi, odwróć się!

- Dlaczego? - zapytałem, aczkolwiek doskonale wiedzia-łem, że na próżno usiłowałem powstrzymać łzy, napływające mu do oczu.

- Powiedziałem raz: odwró~ się! - zawołał ostrzej. - Nie wolno ci widzieć, że Hadzi Halef Omar, naszelný szejk Had-dedihnow, nie może się powstrzymać od płaczu na widok łez u swojej przyjaciółki. A więc w tył zwrot, w przeciwnym bo-wiem razie zaraz odjeżdżam i nigdy już więcej nie zobaczysz mnie na swoje oczy!

Odwróciłem się wreszcie i wówczas ujrzałem zbliżających się ku nam Hamawandów. Nie mogli dłużej pozostawać w 123 niepewności oczekiwania, gdyż byli ciekawi dowiedzieć się, jakie powody skłoniły nas do takiego zachowania się w stosun-ku do napotkanych niewiast.

- Widzisz, że miałem słuszność - rzekł Adzy, wskazując na koszyki. - Powiedziałem, że znajdują się tam na pewno żołądźcie.

- A jednak ja również miałem słuszność - odrzekłem, - te kobiety bowiem nie są zbieraczkami żołądźci.

- Cóż więc, znasz je może?

- Tak. Są naszymi przyjaciółkami. Pochodzą z górskiej krainy górnego Zabú.

- W jakim celu przebyły tak wielki szmat drogi?

Zanim mogłem odpowiedzieć, M~dana zabrała głos:

- Rzeczywiście, o tym winna wam byłem powiedzieć prze-de wszystkim. Jakże się cieszę, cieszę, cieszę, że was spotka-łam! Nie tylko dlatego, iż jesteście nam tak drodzy, lecz rów-nież i z tej przyczyny, że Bóg was zesłał, ażeby nam dopomóc. Dziwicie się zapewne, żeśmy się tak daleko oddaliły od naszych siedzib i że widzicie nas jako zbieraczki żołądźci, czym przecież nigdy nie byłyśmy.

- Rozumiem, że bardzo ważne zapewne miałyście powody, które potrafiły was nakłonić do takiego kroku, zwłaszcza piękną Ingdzę - odparłem.

- Tak, bardzo ważne powody - przytaknęła. - Jakże się przestraszycie, jeżeli je wam podam.

- Nie przestraszymy się, gdyż je znamy.

- Już? W jaki sposób? Skąd przybywacie?

- Z Persji.

- W takim razie jest rzeczą niemożliwą, ażebyście je znali.

124

- A ja ci powiadam, że znamy nie tylko powody waszej podróży, lecz zmierzamy właśnie do tej, której wysłanniczkami wy jesteście.

- Wysłanniczkami? - powtórzyła zdumiona. - Zgadujesz więc, dlaczego się znajdujemy w tej okolicy jak zbieraczki żołądki? Tak, powiadasz nawet, że udajecie się do kogoś! Czy można wiedzieć, o kogo ci chodzi?

- O naszą Marah Durimeh.

- Mój Boże! Prawda, ty wiesz o wszystkim!

- Wiem nawet, gdzie ona przebywa.

- To my również wiemy! O effendi, co za szczęście, że właśnie z tobą możemy o tym pomówić! I jakże rajs się uraduje, gdy się dowie, że się tu znajdujesz!

- Jaki rajs?

- Ależ ten z Szohrd, ojciec mojej Ingdzy!

- Nedzir Bey również się tutaj znajduje?

- 'Pak! Muszę ci wyjawić, dlaczego, ale pozwolisz że pierwszej usiądę. Radość naszego spotkania zwała mnie z nóg, tak że nie mogę stać.

- Czuję, że twoja radość była bardzo duża - potwierdził Halef, - gdyż uderzyła nie tylko do twoich nóg, lecz stamtąd powędrowała i do moich podpór. Pozwól, że siądę u twojego boku.

Gdy usadowili się obok mnie, Madana ciągnęła dalej:

- Wiadomo wam, że Marah Durimeh nie ma stałego miej-sca pobytu. Raz jest tu, drugi raz tam, zawsze bowiem tam się ukazuje, gdzie potrzebna jej pomoc. Powiadają, iż jest ulubie-nicą Ruh'i Kulian i posłanniczką jego do szczególnych zlecefi. Madana nie wiedziała i teraz jeszcze, że Marah Durimeh, sama jest Duchem Jaskini. Mówiła tymczasem dalej:

-Ponieważ nigdy niejest wiadome, kiedy przyjdzie, a kiedy odejdzie i gdzie się znajduje przez ten cały czas, jest nam trudno, prawie że niemożliwe, czuwać nad jej zdrowiem i bezpieczeństwem. Może nawet kiedyś zemrzeć na jakimś od-ludnym miejscu i nikt by się o tym nawet nie dowiedział. Oczywiście tam, gdzie ją tylko znają, kochają ją i czczą; w takich miejscowościach może wędrować z zupełnym spoko-jem, jakby pod okiem Boga. Jednakże tam, gdzie jest niezna-na, może się jej łatwo przytrafićjakieś nieszczęście. Przeto też uprosiliśmy ją, aby nas zawiadamiała zawsze, kiedy ma zamiar wyruszać w drogę co do bezpieczeństwa której nie jest zupeł-nie pewna. W ostatnich latach często to czyniła, ale ani razu nie trzeba się było niepokoić o jej bezpieczeństwo. Późną też jesienią ubiegłego roku była u nas po raz ostatni w Szohrd. Gdy zegnała się z nami, zapewniała nas, że nie powinniśmy się o nią niepokoić, gdyż udaje się li tylko do znajomych i już po kilku dniach wróci. Dziefi jednak przechodził za dniem, a jej nie było widać; przeszły tygodnie a nawet miesiące, a ona nie wracała. Wówczas zaniepokoiiliśmy się o nią nie na żarty. Ty, effendi, wiesz, czym ta kobieta jest dla nas wszystkich i nie będziesz się więc dziwił, skoro ci powiem, iż wszystkie miej-scowości powstały, aby iść na jej poszukiwanie. Przeszukali-śmy cały kraj aż do góry Dżudi i przez całą zimę zajęci byliśmy szukaniem Marah Durimeh, niestety nie natrafiliśmy jednak na żaden najmniejszy choćby ślad. Zupełnie zginęła i oplaki-waliśmy ją już jako zmarłą gdzieś w drodze, w nieznanym jakimś miejscu, przez wszystkich opuszczoną. I oto zjawił się u nas któregoś dnia pewien kupiec wędrowny z Khormadu i 126 on nam opowiedział o staruszce, zamieszkującej w okolicy Sulejmanii w twierdzy, a czyniącej nadzwyczajne cuda. Nie widział jej, ale dużo o niej słyszał i to, co nam opowiedział, pozwalało przypuszczać, że ową kobietą musi być Marah Durimeh. Natychmiast naturalnie wysłaliśmy posłów do Sulejma-nii, gdzie udało się dowiedzieć naszym ludziom, że owa kobie-ta jest w niewoli u Dawuhdijehów, przez nich surowo strzeżo-na i że najprawdopodobniej jest to przez nas poszukiwana Marah Durimeh. Kto chciał mieć do niej dostęp, musiał uzy-ska~ pozwolenie od Szejka Dawuhdijehów, który za to żądał podarunków stosownych do majątku petenta. Nasi posłowie nie mogli się doń udać, przeciwnie, musieli się przed nim szczególnie ukrywać, gdyż między nami a nimi panowały sto-sunki nieprzyjacielskie.

Gdy na chwilę przerwała, skorzystałem, by zasięgnąć infor-macji:

- Czyście się dowiedzieli, dlaczego uwięziono ową kobietę w twierdzy?

- Nie. Sądzę, że to tajemnica znana kilku zaledwie lu-dziom.

- Mam nadzieję, żeście natychmiast postanowili nieść jej pomoc?

-Tak też było. Wodzowie plemion z naszej krainy zebrali się na naradę. Pochód wojenny był

wykluczony, gdyż chodziło o urzędników padyszacha, rządzących w Sulejmanii. Postanowiliśmy przeto działać przebiegłością. Mówiono o tobie, wspomiano o tym, jak wydobyłeś z więzienia w Amadijah Amada el Ghandur i myślano o tym, jak ty byś postąpił, ażeby Marah Durimeh przywrócić swobodę. Postanowiono wysłać kilku doświadczonych wojowników, aby spróbowali, czy da się to przebiegłością uczynić. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ich ilość musi być nieznaczna, aby się mogli w razie potrzeby ukrywać. Jako wywiadowcy miały wyruszyć kobiety, nie zaś mężczyźni, gdyż niewiasty rzadko wzbudzają podejrzenie i najczęściej mogą przejść niepostrzeżone. Gdy miano przystąpić do wyboru dowódcy, rais Szohrdu dobrowolnie ofiarował swe usługi. To miała być dlań pokuta za dawne czasy, kiedy on, jak ci wiadomo, szedł złą drogą i wówczas to właśnie był twoim wrogiem. Jednogłośnie przyjęto jego usługi, a gdy to usłyszała Ingdza, jego córka, która była zawsze faworytą Marah Durimeh, zażądała od ojca, aby ją zabrał ze sobą jako wywiadowcę; nie chciała innej zostawić tego przywileju aby również móc przyczynić się do uwolnienia swej ukochanej, czcigodnej opiekunki. Wreszcie, po pewnym wahaniu rais udzielił jej swego zezwolenia; nie mogłam się ja, jej Madana, przecież zdobyć na to, aby puścić samą Ingdżę na takie niebezpieczeństwo. Prosiłam ją więc o to, aby mi pozwoliła sobie towarzyszyć, a ona spełniła me życzenie.

- A twój mąż nie miał nic przeciw temu? - zdziwiłem się szczerze.

- Nie, sam nawet był za tym. Podówczas nie poznałeś go dostatecznie, ażeby móc być z niego zadowolonym, teraz dopiero byłbyś uradowany, tak nie do poznania się zmienił. Od owego wieczora, gdyś poprowadził naszych władców na górę do Ruh'i Kulian panuje całkowita zgoda między tymi, którzy poprzednio się zwalczali z powodu różnic pochodzenia i religii. Poczynając od owej chwili, nie było między nimi żadnego sporu.

128

- Ile osób jest was tutaj? - informowałem się dalej.

- Dziesięciu mężczyzn z raisem włącznie i dwie kobiety, a mianowicie Ingdza i ja. Uznaliśmy tę liczbę za dostateczną, albowiem zamierzaliśmy, za twoim przykładem, działać nie przemocą, lecz przebiegłością.

- Czyście mieli powodzenie?

- Jak dotychczas, to jeszcze nie. Twierdzę odnaleźliśmy.

Wiemy również, że kobieta, która się tam znajduje, to Marah Durimeh; wszelako, wzięwszy pod uwagę, że nie wolno się nam było pokazywać, na próżno próbowaliśmy się tam dostać lub przynajmniej dać jej znak jakiś.

- Ale, jak słyszałem, całkowicie obcy ludzie mają do niej dostęp.



- I~k, myśmy to również zaobserwowali. Przybywają ludzie, chcący się z nią rozmówić; nie wpuszczają ich wszak do środka, lecz dopuszczają do wrót, poprzez które z nią rozmawiają, po czym muszą się oddalić, niebędąc jednak wpuszczeni do wieży. Gdyśmy raz przy takiej sposobności ukryły się w pobliżu, ujrzeliśmy ją i stąd wiemy że to ona.

- Więc nikt nie może się do niej dostać?

- Nikt. Byliśmy świadkami jednego tylko wypadku, że ludzie przybyli do twierdzy, ale ci już stamtąd nie wyszli. Mam wrażenie, że ich i-ównież uwięziono.

- Czy wiecie, co to za jedni byli?

- Nie znaleźliśmy ich, ale znać było po nich, że są Kurdami.

Mieli przy sobie małego chłopca.

Teraz Adzy szybko wtrącił:

- To oni, to oni! ... To był Szewin z Khudyrem i naszymi ludźmi. Czy wiesz może, dlaczego nie wrócili stamtąd?

## 5 - Twierdza w górach

- Nie. Jakże możemy to wiedzieć, skoro musimy się ukrywać i nie możemy zasięgać informacji. Prawdopodobnie Dawuhdijehowie sami nikomu tego też nie powiedzą. Adzy postawił teraz szereg pytań, które wprowadziły świadczących o jego bólu, dla nas jednak nie miały najmniejszego znaczenia, poprosiłem go przeto:

- Pozwól, że ja sam pomówię z Madaną. Pytasz sercem a nie rozumem. Ilu Dawuhdijehów strzeże wieży?

- Początkowo było ich dwudziestu - odparła Pietruszka.

- Teraz jednak, od chwili gdy owi cudzoziemcy tam się znajdują, jest ich dwa razy tyle.

- Czy strażnicy znajdują się wewnątrz wieży?

- Tak. Dwóch jednak z nich zawsze stoi na straży przed wrotami.

- W dzień i w nocy?

- W dzień jest ich dwóch, ale gdy tylko mrok zapada, rozpalają przed wejściem ognisko, dookoła którego siedzi sześciu a często nawet i ośmiu ludzi.

- Czy ludzie ci mają stałego dowódcę?

- Tak. To nie jest Kurd, lecz turecki oficer, który ma przy sobie pięciu żołnierzy.

- Ach! Marah Durimeh jest więc rzeczywiście w niewoli u tak zwanego paszy Sulejmanii a Dawuhdijehowie mają powierzoną jedynie straż nad nią, muszą więc być posłuszni temu oficerowi. Gdzie leży twierdza?

- Możesz się znaleźć przy niej nawet za godzinę.

- Tylko godzina drogi? - zwróciłem się do Adzy'ego. - Widzisz więc, jak mało mogłeś polegać na swoich wysłannikach! A było ich ośmiu. Gdybyśmy teraz nie spotkali Ingdzy i

130

Madany, ruszylibyśmy zupełnie złą drogą. Winniśmy szczerze dziękować Bogu, żeśmy przy okazji nie wpadli w ręce naszych nieprzyjaciół. Czy można się tam konno przedostać? - pytałem dalej.

- Tak - odparła Madana. - Chcecie się tam udać?

- Oczywiście! Nie mam zamiaru opuścić tego kraju, dopóki nie wydostaniemy Marah Durimeh

...

- Razem z naszymi ludźmi! - poprosił Adzy. - Słyszałeś, że również są uwięzieni w wieży. Jak jednak przystąpisz do ich uwolnienia?

- Tego teraz jeszcze nie mogę wiedzieć. Muszę przede wszystkim poznać twierdzę i jej okolice, jak również środki ostrożności, jakie zarządził Tlirek. Jest także pożądane przedtem pomówić z raisem Szohrdu i wysłuchać jego poglądów. Dopiero potem, gdy się dowiem o wszystko, czego dowiedzieć się można, potrafię sobie stworzyć obraz całego położenia i powziąć określony plan działania, co w chwili obecnej jest jeszcze przedwczesne. Nie mogę ci więc odpowiedzieć na twoje pytanie.

- W takim razie powiedz mi przynajmniej, czy uważasz za możliwe wykonanie naszego przedsięwzięcia?

- Ono jest możliwe, gdy je rzeczywiście przedsięwzięję.

Powiedziałem wszak, że przedtem stąd nie wyruszę.

- Dziękuję ci! Zdjąłeś mi tymi słowami ciężar z serca.

Wykonanie będzie prawdopodobnie trudne.

- Odnośnie twej sprawy, spójrz na mego Hadżiego Halefa Omara. Jego twarz jest formalnie opromieniona przekonaniem o powodzeniu naszych zamysłów.

- Czy twarz moja rzeczywiście promienieje? - zapytał

131 śmiejąc się Halef. - Powiadam wam, odkąd wiem, że chodzi o czyn, związany z odwagą i przebiegłością, nowe życie we mnie wstąpiło! Nie boimy się oficera, jego pięciu asakerów i czterdziestu Dawuhdijehów. Największą wieżą świata była wszak wieża Babel, zwana Birs Nimrud. Niedawno byliśmy w ciemnym wnętrzu tej wieży, aby stoczyć walkę ze smokiem mordy i przemytnictwa. Pokonaliśmy te potwory i wypłynęliśmy z powrotem na światło dzienne jako słynni bohaterowie. Jeżeli więc nie obawialiśmy się owej wieży Babel, jakże może nas napawać strachem wasz mały kulluk? Jest tak nieznaczny, że wystarczy sięgnąć tam tylko jedną ręką, aby wydostać wszystkich, których przed nami ukryto!

Tizeba było usłyszeć, jak ten mały Halef wymawiał te słowa, zwłaszcza, że jego słuchacze byli ludźmi Wschodu i jako tacy, nie zwracali uwagi na sposób jego wyrażania się. Z drugiej zaś strony również i mnie wykonanie naszego dzieła nie wydawało się związane ze zbyt wielkimi trudnościami,

zwłaszcza, że chodziło tu o tureckiego oficera, któremu mogłem zaimponować swoimi dokumentami. Odnosnie zaś uwięzionych Hamawan-dów, należało się uprzednio poinformować, czy nie doszło między nimi a Dawuhdijehami do jakiegoś starcia, które mogło wywołać krwawy konflikt, co w znacznej mierze utrudniłoby nasze zadanie. Spytałem przeto Madany:

- Czy ludzie, których sprowadzono wraz z chłopcem do wieży, byli uzbrojeni? .
- Nie - odrzekła.
- Czy przyjechali konno?
- Oni nie, na koniach byli jedynie odprowadzający ich Dawuhdijehowie. 132
- Obchodzono się więc z nimi, jak z jeńcami?
- 'Tak. Każdy z nich był uwiązany u siodła jadącego przy nim Dawuhdijeha.
- Czy ktokolwiek z nich był ranny?
- Tegośmy nie widzieli.
- Jak się zachowywali? Czy stawiali opór?
- Nie. Nie wzbraniali się zupełnie, gdy ich wprowadzano do wieży. Jeden z nich, niosący chłopca na rękę, wyglądał nie na przeciętnego wojownika, cośmy zresztą stwierdzili ze słów jakie wypowiedział.
- Co rzekł mianowicie?
- Kiedy go odwiązano od konia i miał przejść przez wrota, wykrzyknął, grożąc: „Przybyliśmy w pokoju i dlatego oddaliśmy wam broń. Nie zatrzymujcie nas długo w więzieniu, w przeciwnym bowiem razie może przyjsć Jamir i z bronią w rękę zażądać wydania nas!” -1~ słowa ja sama słyszałam.
- To działa na mnie uspakajająco, albowiem możemy z tego wnioskować, iż nie zaszło nic takiego, co mogłoby wywołać zemstę. Gdzie przebywa rais ze swoimi ludźmi?
- W pobliżu kulluku. Znaleźliśmy tam dla siebie i dla naszych koni doskonałe ukrycie, które zaledwie z trudnością można byłoby zauważyć..
- W jakim więc sposób wy obie mogłyście się od nich tak bardzo oddalić?
- Chciałyśmy obserwować wywiadowców, którzy niedawno tędy przechodzili.
- Wywiadowców? Skąd wiecie, że ci ludzie byli wywiadowcami?

- Podśłuchaliśmy Dawuhdijehów. Obozują oni pod

133 dowództwem swego szejka Ismaela Bega na dole przywodzie, w dalszym zakręcie tej doliny. Oczekują tam napadu Kurdów Hamawandi.

-Toście same słyszały?

- ‘Tak, Ingdza i ja. Dawuhdijehowie odkryli, że byli tu wywiadowcy Hamawandów i dlatego też wysłali swoich szpiegów do ich obozu. Stąd dowiedzieli się, że Hamawandowie mają przybyć z oddziałem trzystu ludzi. Gdy przynieśli tę wiadomość, Ismael Beg zebrał swoich Dawuhdijehów, aby przyjąć godnie nieprzyjaciół w górze doliny, a dzisiaj zaś miał wysłać znowu wywiadowców, których zadaniem jest donieść mu natychmiast o zbliżaniu się Hamawandów. Obserwowałyśmy rano tych wojowników, albowiem chciałyśmy się dowiedzieć, w którą stronę się udadzą.

- Do czego wam była potrzebna ta wiadomość?

- Ażeby się dowiedzieć, gdzie się znajdują Hamawandowie. Chciałyśmy ich ostrzec, albowiem, ponieważ nam się jeszcze dotychczas nie udało uwolnić Marah Durimeh, uważałyśmy, że Kurdowie z wdzięczności dopomogą nam w jej oswoobodzeniu. Ale teraz, kiedyśmy ciebie spotkały, jest nam ta pomoc zbyteczna.

- Dowiedz się jednak, że i to życzenie wasze się spełniło, gdyż wojownicy, których widzisz tu obok nas, należą do plemienia Hamawandów. Spotkałem ich wczoraj wieczorem. Opowiedzieli mi o uwięzionych swoich towarzyszach jak również o starej kobiecie, strzeżonej w kulluku. Od razu pomyślałem, że ową kobietą jest nasza Marah Durimeh, przeto przyłączyliśmy się do Hamawandów, aby razem z nimi pojechać do twierdzy. Dzięki temu właśnie, natknęliśmy się na was po 134 drodze.

- Bóg tak zdziałał, effendi, a ponieważ jesteś teraz z nami, jestem przeświadczona, że Marah Durimeh wkrótce opuści wieżę. Jakże niewymownie będą się nasi wojownicy radowali, gdy zobaczą ciebie i Hadziego Halefa Omara. Wprost nie zechcą uwierzyć, że to wy. Czy mamy już, was teraz do nich zaprowadzić?

- ‘Tak, proszę o to. Mam nadzieję, że okolica, przez którą będziemy przejeżdżali, jest bezpieczna?

- Nie należy się spodziewać spotkania po drodze z Dawuhdijehami.

- Mimo to będziemy ostrożni. Czy Ingdza zna równie dobrze, jak ty, drogę?

- ‘Pak.

- Niechże więc zostanie przy nas, aby nas poprowadzić, ty zaś pójdiesz naprzód, aby nas ostrzec w razie, gdybyś kogoś zauważyła.

- Słusznie, tak będzie najlepiej, effendi. I tak też uczynimy.

Wysypała zawartość koszów, wstawiła jeden w drugi, wzięła je na plecy i pośpieszyła do obozu. Jeden z Hamawandów zsiadł z konia i zaofiarował swe miejsce Ingdzy. Zgodziła się na tę grzeczną propozycję, po czym ruszyliśmy z miejsca w ślad za wonną Pietruszką.

Droga była tak wąska, że tylko dwa konie mogły razem przejeżdżać. Tak się więc urządziłem, że Ingdza znalazła się obok mnie. Dotychczas zachowywała się zupełnie cicho, nie rzekła dotąd jeszcze ani słowa. Teraz wciągnąłem ją w rozmowę, która niestety nie miała tak ożywionego przebiegu, jakbym sobie życzył. Wciąż milczała. Znáwało się, że sprawia jej większą przyjemność nie odzywać się wcale i dlatego w końcu byłem zadowolony, gdy przejeżdżając przez wąskie przejście pozostała w tyle za mną. Halef wykorzystał tę sposobność i gdy znaleźliśmy się na szerszym miejscu, przyłączył się do nas. Mały Hadzi umierał wprost z pragnienia wyrażenia swej radości z dzisiejszego spotkania. Uczynił to w ten sposób, że prawie sam podtrzymywał rozmowę. Ładna to była satysfakcja dla niego, czego mu też bynajmniej nie zazdrościłem. W pewnym momencie Ingdza nakazała nam zsiąść z koni, 136 aby nas przeprowadzić przez górę, po drugiej stronie której znowu miała być dobra droga. Musieliśmy więc poprowadzić xonie za uzdy. Na razie jednak droga miejscami była tak fatalna, że potykaliśmy się często wraz z kofimi, gdyśmy jednak dotarli do szczytu, było już znacznie lepiej, albowiem zbocze góry było po drugiej stronie mniej strc ~e. Poza tym znaleźliśmy dolinę, zarosłą jedynie trawą, be~ drzew i krzewów, po której mogliśmy się puścić galopem. Tu dogoniliśmy Madanę, która przez cały czas szła pieszo; aby jej dać dość czasu do zawiadomienia nas w razie jakiegoś nieprzewidzianego wypadku, mieliśmy nadal posuwać się powoli.

Nadobna Pietruszka nie oddaliła się jeszcze nazbyt od nas, gdy stanęła i zaczęła nam żywo dawać znaki, abyśmy się zatrzymali. Było już jednak za późno, po pierwsze dlatego, że znaleźliśmy się zbyt blisko zarówno niej, jak i źródła jej zaniepokojenia, a po wtóre, nie było dookoła nas żadnego wznie-sienia czy krzaków, za którymi moglibyśmy się ukryć. Spostrzegliśmy też wkrótce powód, dla którego kazała się nam zatrzymać; z boku, naprzeciw nam, przybywał jeździec na koniu i zdawał się zadowolony, że napotkał kogokolwiek. Skierował też konia w jej stronę. Ponieważ byliśmy przekonani, że nas już zauważył, a ona mogła mu dać odpowiedź, która nie byłaby po naszej myśli, puściliśmy się galopem naprzeciw i przybyliśmy w tej samej chwili, kiedy on się do Madany zbliżył. Był to oficer w randze kapitana. Zwrócił się też nie do niej, kobiety, lecz do nas, mężczyzn, z krótkim wojskowym zapytaniem:

- Czy należycie do plemienia Dawuhdijehów?

-Tak - odparł zawsze skory do paplania Halef. Przyznam jednak, iż byłem zadowolony z takiego obrotu sprawy, gdyż w ten sposób wyręczył mnie w kłamstwie.

- Znacie chyba swego szejka Ismael Bega?
- Oczywiście! - Potwierdził śmiało Halef.
- Szukałem go w jego obozie, nikogo tam jednak nie zastałem. Gdzie się teraz wasz szejek znajduje?
- Jest z naszymi wojownikami w tyle za rzeką; oczekuje Hamawandów, którzy mają nas zaatakować.
- Cóż to znowu? T~ psy nigdy nikomu spokoju nie dają!

Chciałem, ażeby mnie zaprowadził do twierdzy, w której więziona jest stara wiedźma. Przybywam właśnie w tej sprawie z Kerkuk. Izamtejszy pasza mnie tu przysłał, ażebym złuzował oficera, który ze starej nic wydobyć nie umie. Ten człowiek był nieostrożnie szczery! Do tej pory Halef zachował się bez zarzutu; odtąd ja musiałem jednak sprawę wziąć w swe ręce, ażeby uniknąć ewentualnego błędu. Dlatego spytałem oficera:

- Czyś był u Kaimakana Sulejmani, przed którym oficer jest odpowiedzialny?

Kapitan obejrzał mnie uważnie od stóp do głowy, aby się przekonać, czy jestem tym człowiekiem, któremu należy na powyższe pytanie odpowiedzieć. Rezultat oględzin wypadł najprawdopodobniej na moją korzyść, gdyż odpowiedział:

- Naturalnie, że byłem. Przedłożyłem mu upoważnienie paszy, na którym przyłożył swój podpis; mam je przedstawić oficerowi.
- Czy to konieczne? Czy oficer nie zna cię osobiście?
- Nie.

138

- Mimo to przecież sędzę, że choćby wśród naszych własnych wojowników znajdą się tacy, którzy cię znają?
- Nie przypuszczam, gdyż jestem u was po raz pierwszy.
- A więc masz złuzować oficera?
- Tak.

- A on ma wracać?

-1'ak.

- ~y?

- Zaraz dzisiaj jeszcze, albo też jutro, co zresztą od niego zależy. Nic poza tym nie ma do powiedzenia. Nie był w stanie wydobyć tajemnicy z tej kobiety, nad którą powierzono mu pieczę. Kaimakam opisał rni wasze obozowisko, ale nikogo tam nie zastałem. Udałem się więc na poszukiwanie wieży, okazuje się jednak, że musiałem zbłądzić. Sądzę, że wy wiecie, gdzie się znajduje?

- Oczywiście!

- Więc zaprowadźcie mnie tam!

To brzmiało tak rozkazująco, że odparłem:

- Zdaje ci się zapewne, że możemy na byle co tracić drogocenny czas?

- Macie czas, czy nie, to mnie nie obchodzi! Macie mnie tam zaprowadzi~ najkrótszą drogą i basta! Jestem oficerem paszy. Zrozumiano?

- Według rozkazu! Słuchamy! Jego wysokość raczy łaska-wie jechać obok mnie!

Skinąłem na Madanę. Ruszyła naprzód swymi długimi kro-kami; my za nią. Kapitan zdawał się być bardzo dumnym i zarozumiałym człowiekiem. Nie zamienił przez resztę drogi słowa. Byłem z tego niezmiernie rad, co zresztą jest całkowicie 139 zrozumiałe, albowiem pytaniami swymi mógł mnie wprowa-dzić w największe zakłopotanie.

Należało sobie teraz jedynie życzyć, aby nas nikt nie spotkał, gdyż powstał we mnie plan, który stałby się niewykonalny pod wpływem zetknięcia się z Dawuhdijehami, a tego bym nigdy nie mógł odżałować. Lecz w tym wypadku sam kapitan poszedł mi na rękę.

Gdyśmy tak mianowicie już dość~ długi czas jechali obok siebie, kapitan wreszcie uznał za stosowne zamienić ze mną parę słów. Zapytał:

- Czy jesteś zwykłym Kurdem?

- Nie - odrzekłem.

- Poznałem to po tobie, aczkolwiek każdy z was byłby zdolny wyprzeć się nawet siebie samego: Rabusie pozostają rabusiami!



‘To znowu było wielką nieostrożnością z jego strony! Prawdopodobnie czuł się nietykalny w swoim mundurze. Jakże jednak, mimo wszystko, Kurd byłby mu na moim miejscu odpowiedział? Bezwzględnie ostro. Mnie również te obelżywe słowa dały podniecie do postąpienia z nim, tak jak mi to było wygodne celem przeprowadzenia obmyślnego planu, to jest tak, jak się tego najmniej mógł spodziewać. Mieliśmy już dolinę poza sobą, a teraz znów rozpoczął się las. Widziałem, jak Madana dofi skręciła z bocznej drogi, przystanęła na skraju i szczególnym znakiem dała mi do zrozumienia, iż zbliżamy się do celu. Zanim jednakże tam się znajdziemy, musiałem się załatwić z kapitanem, tak mi bowiem nakazywały względy ostrożności. Scena spotkania z Nedżir Bejem, która nas czekała, musiała by kapitana przekonać, iż nie jesteśmy Dawuhdijehami i dlatego też było pożądane, aby już teraz go unieszkodliwić. Przeważnie odpowiedziałem:

- Rabusie? Czy tym mianem określasz nas?

- ~’ak - zaśmiał się bez najmniejszego zakłopotania.

- A czy wiesz, jak wojownik kurdyjski zwykł odpowiadać na takie obelgi?

~ Wiem. Kurd w takich razach nic nie odpowiada, gdyż wie, że to prawda.

- I’ak, nic nie odpowiada, ale za to coś robi!

- Co mianowicie?

Przy tym słowie zamachnąłem się i uderzyłem go pięścią w kark tak, że padł przednią częścią ciała naprzód i wypuścił nogi ze strzemion. Teraz pochwyciłem go z tyłu, ściągnąłem z siodła i rzuciłem obok konia na ziemię, gdzie pozostał, nie będąc w stanie poruszyć się z miejsca, tak ze strachu jak i z oszołomienia.

-Dobrze mu tak, effendi! -wrzasnął Halef, zeskoczywszy z siodła. - Niechaj pozna pięść zbójce Dawuhdijeha! Cóż z nim teraz uczynimy?

- Przede wszystkim zabierz mu broń i zaknebluj usta, ażeby nie mógł krzyknąć, a potem przywiążesz mu obie ręce do mego strzemienia. Przy najmniejszym oporze z jego strony, zabiję go jak psa.

Wyciągnąłem rewolwer i skierowałem lufę na oficera, którego Halef pochwycił i uniósł z ziemi. Tiuek nie bronił ‘się zupełnie. Ujrzawszy mój rewolwer wybełkotał tylko:

- Kurd ... i rewolwer ... Maszallah! Cud Boski!

- Kto jest tak bezczelny, ażeby domagać się od wolnego

141

Kurda grzeczności tonem przełożonego i miast podziękowania, obdarza go w dodatku mianem rabusia, ten może z łatwością doświadczyć jeszcze większych cudów, - odparłem. - Czy pasza nie mógł przysłać mądrzejszego i przezorniejszego człowieka? Dla twego uspokojenia dodam, że nie jesteśmy bynajmniej rabusiami i nic złego ci się nie stanie, jeżeli uczynisz to wszystko, czego od ciebie zażądam. A teraz naprzód! Człowiek wprawdzie odważny jest skromny w przeciwieństwie do tchórza, którego charakter właściwy ujawnia się w wypadkach poważnych. Słuszność tych słów okazała się i tym razem. Kapitan bowiem nie okazał mi najmniejszej chęci oporu, pozwalając sobie zaknebaować usta, przywiązać się do mego strzemienia i bez oporu odtąd biegł za moim koniem. Jeden z Hamawandów, który uprzednio ustąpił swego konia Ingdzy, dosiadł teraz jego rumaka.

Postępując ciągle w ślady Madany, skręciłem w skaliste ocienione drzewami iglastymi miejsce, które na pierwszy rzut oka zdawało się niedostępne, po chwili jednak okazało się, że zawiera nawet dość dogodne przejście. Znać było jednak, że jeszcze nikt tędy nie przejeżdżał konno. Potem droga była tak stroma, że znowu musieliśmy prowadzić konie, które niekiedy ślizgały się nawet na tylnych nogach, aż wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie przedtem znajdowało się małe jezioro, staw raczej, które wyschło prawdopodobnie dlatego, że jego dopływ przyjął inny kierunek. Tiz Ingdza się zatrzymała, wskazała ręką naprzód i rzekła:

- 'Pdm za zaroślami znajdują się nasi ludzie. Czy słyszysz ich, effendi? Madana im powiedziała, kogośmy spotkały. Rzeczywiście, usłyszałem podniecone, wesole głosy; gałęzie 142 trzaskały, a pierwszy się ukazał moim oczom długi olbrzymi rais we własnej osobie, ojciec Ingdzy, który przed laty tak wrogo się do mnie odniósł, a potem pod zbawiennym wpływem Ruh'i Kalian zmienił cały swój stosunek do mnie. Ti~raz jego promienia~a, gdy wyciągnął teraz ku mnie obie ręce ze słowami:

- Effendi, azali nie śnię? Czy to ty zaprawdę? Tyś przybył, ty? Czy mam rzeczywiście w to uwierzyć? I twój Hadzi Halef również z tobą? Chodźcie, chodźcie prędko, ażeby was wszyscy ujrzeli! W przeciwnym bowiem razie mogą wątpić, czy to wy jesteście!

- Naturalnie, że to my, a tym samym prawda to, że jam jest wraz z moim sidim, - zauważył Halef. - Kiedyż to bowiem widziano effendiego beze mnie, bez którego nie może żyć, bez którego nie dokona niczego rozsądnego?! Tak, masz rację, chodźmy, aby i inni również mogli napawać swój wzrok oglądaniem naszych znakomitych postaci!

Byłoby nas to zbyt daleko zaprowadziło, gdybym teraz chciał szczegółowiej opisać scenę przywitania, czy też choćby podać krzyżujące się wzajem pytania i odpowiedzi. Musiałem użyć wszystkich sił, ażeby powstrzymać dzielnych ludzi od zbyt długiego wywnętrzania się albowiem nie było

żądane, aby pojmany kapitan dowiedział się, kim są napotkani, Halef i ja. Gdy wreszcie towarzysze raisa się uspokoiли zasiedliśmy ra-zem, rais opowiedział nam o zniknięciu Marah Durimeh i o daremnych próbach wydobywania jej z wieży. Podawał zresztą te same szczegóły, któreśmy już słyszeli z ust Madany. Oficera przywiązano więc do drzewa tak daleko od nas, aby nie mógł słyszeć, co rais opowiadał. Po skoficzonym sprawozdaniu, 143 ojciec Ingdzy zapytał mnie:

- Madana powiedziała, że chcesz nam dopomóc. Czy to prawda, effendi?

- Tak - odrzekłem.

- Myśmy sobie ciebie wzięli za wzór; chcieliśmy na twój sposób działać przebiegle; ale co pomoże mądrość, jeżeli ... jeżeli ... jeżeli ...

... jeżeli się jej nie posiada! - dokoficzył, śmiejąc się, Halef.

Zamiast wziąć Hadziememu ten dowcip za złe, rais szczerze potwierdził:

-Tak, prawie że to chciałem powiedzieć! Siedzimy bowiem już tu tak długo, a żaden plan działania jeszcze nam do głowy nie przyszedł.

- A ledwie mój sisi się ukazał, już ma gotowy pomysł.

Poznaję to po nim. Zawsze, kiedy mruży jedno oko, ma jakie-goś chytrego talaba, lisa w głowie. Czy mam rację, effendi? Skinąłem głową.

- Widzicie? Ściągnął jedno oko, wie już zatem, co mu wypada uczynić. A i sam pomysłu jego jest w tej chwili na pewno wesoły. Znam tą twarz!

- Czy Halef rzeczywiście zgadł? - spytał rais.

-Thk - odparłem, - ale że zdradzam swoje myśli dzięki mimice, tego naprawdę nie wiedziałem! Na przyszłość będę zwracał na siebie baczniejszą uwagę.

- Pozwól więc, effendi, że wyrażę swoje zdumienie! Myśmy bezustannie zastanawiali się nad wynalezieniem wykonalnego planu, ale na próżno. A ty, ledwie przybyłeś już znalazłeś rozwiązanie sprawy i to po kilkuminutowym pobycie u nas?

- Miałem już to rozwiązanie, gdy do was przybyłem. To bynajmniej nie świadczy o jakiejś

mojej wyższości rozumu, lecz zawdzięczam je szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Ha-lef, czy przypominasz sobie pytania, jakie uprzednio stawia-łem kapitanowi?

-Tak, sisi.

- Wobec tego powinieneś wiedzieć, że jest nie tylko nie-znany Dawuhdijehom, lecz oficer z twierdzy również go nie zna. Kapitan ma natomiast przy sobie papiery, które tamten oficer musi respektować. Czy więc nie jest zupełnie zrozumia-łe, że to ja powinienem na jego miejscu udać się do twierdzy?

- Ty ... zamiast niego? ... Jako kapitan? ... Effendi, to rzeczywiście pomysł takiej wielkości i tak nieskoficznej wzniosłości, jak gdyby nie powstał w twojej, ale w mojej głowie! To genialne!

- Dziękuję ci za nadzwyczajne uznanie, kochany Halefie.

Nie mogeś mnie już bardziej pochwalić. Jestem z tego nie-skończenie dumny.

- Wierzę w to, gdyż wiem, że dla ciebie najwznioślejsze uczucie, to osiąść moje uznanie. Ale czy nie sądzisz, sisi, że byłoby lepiej, gdybym ja tak się stał, zamiast ciebie, tureckim kapitanem?

- Nie.

- Czemu nie? Czyż uważasz, że jestem na to za głupi?

- Głupi? Wiesz, że zawsze widzę w tobie uosobienie mą-drości, ale spójrz na postać kapitana! Czy jego ubranie będzie na ciebie dobre? Czyż zaradzi temu twój rozum?

- Tak, na Allaha! Masz rzeczywiście szyszność! Kto chce zamiast niego udać się do twierdzy, ten musi wleźć w to

145 ubranie, które nie bardzo by mi odpowiadało ze względu na swą długość i szerokość.

- Widzisz sam, że ja muszę na się wziąć tą niewdzięczną rolę. Ale zanim to uczynię, winienem przedtem zobaczyć kul-luk Jak daleko stąd się znajduje?

- T~lko o kwadrans drogi - odparł rais. - Chętnie gotów jestem z tobą się tam udać. Jest dość blisko tego ukrycia, wynalezonego przez Madanę. A ma jeszcze tę zaletę, iż Da-wuhdijehowie nie mają pojęcia o istnieniu tego miejsca.

-Ib dobrze! Zaprowadź mnie tam. Inni niechaj tu pozostaną, dopóki nie wrócimy.

Halef chciał również pójść. Odmówiłem mu wszakże, gdyż wolałem go nie mieć przy sobie. Im mniej wiedział, tym mniej-sze istniało niebezpieczeństwo, że wpadnie na jakiś samowolny, niepożądany pomysł. Musiałem dbać o to, aby mi w niczym nie przeszkadzał i niczego nie zepsuł swym gorącym charakterem.

Musieliśmy przejść około dwustu kroków wzdłuż wyschniętego basenu, zanim dotarliśmy do jego dawnego wypływu. Tiworzył wąską, wygiętą w kilku miejscach i wyżłobioną w skalistym gruncie przez wodę szczelinę, tak zarosłą paprocią i drzewiastymi krzewami, że można było łatwo przejśćobok, nie ~rzypuszczając zgoła, jaki plac znajduje się za tym na pierwszy rzut oka nieprzeniknionym gąszczem. Gdy wreszcie przedarliśmy się przezefi, ujrzeliśmy krótki wąwóz, sięgający doliny, po drugiej stronie której znajdował się szukany kulluk Był to ogromny sześcian z mocnymi murami, zaopatrzony-mi w wąskie strzelnice; do niego przytykała wysoka, okrągła wieża z częściowo zapadłymi blankami. Na pierwszy rzut oka 146 nie można było jednak tego zauważyć, gdyż stał temu na przeszkodzie gęsty las. Podeszliśmy dalej, prawie aż do miejsca, gdzie rozpoczynała się droga, wiodąca do baszty. Oczywiście, nie może być mowy o drodze w naszym europejskim tego słowa znaczeniu; było tylko widoczne, że przechodzono i prze-j eżdżano tędy w ostatnich czasach. Stare mury leżały tak cicho i na pozór sprawiały wrażenie tak niezamieszkałych, że gdyby nie pewna wiadomość~ o więzieniu w nich Marah Durimeh i Hamawandów, byłbym przekonany, iż żywej duszy w nich nie ma. Dookoła nie widać było ani człowieka, ani zwierzęcia, ani też żadnej żywej istoty, dalej zaś w głąb nie chcieliśmy się zapuszczać z tej prostej przyczyny, żeby nie zdradzić swojej obecności. Powróciliśmy więc tak ostrożnie, jak przybyliśmy, do naszego ukrycia, gdzie Halef naturalnie nie omieszkał zaraz się poinformowa~, co widziałem i co postanowiłem. Nie uważałem za wskazane zaspakajać jego ciekawości. Na razie starczało w zupełności, iż wiedział, że mam zamiar udać się do twierdzy w charakterze tureckiego oficera. O pozostałych sprawach najlepiej było go uwiadomić dopiero wtedy, gdy już będzie po wszystkim. Mimo to, chciał się koniecznie czymś przyłożyć do mojego planu, od czego jednak musiałem go z miejsca powstrzymać. Zaproponował mi co następuje:

- Sidi, ponieważ krawiec kapitana nie uszył munduru dla mojej szanownej postaci, lecz nadał mu tak obszerne kształty, że w żaden sposób nie mogę sobie pozwolić na to, aby wejść z nimi w bliższy stosunek, przeto możesz sam wleźć w cudze nogawki i rękawy. Ale pozwól, że uczynię teraz w tym kierunku niektóre przygotowania.

- Jakie to przygotowania?

147

- Udam się do kapitana i powiem mu, ażeby natychmiast opróżnił swój mundur. Potem ci go przyniosę, ażebyś go mógł włożyć.

- Dlaczego to ja nie sam mam się udać do niego?

- Dlatego, że nie rozporządzasz dostatecznym darem wymowy, abyś go mógł przekonać o

niezbędności tego nakazu.

- Kochany Halefie, bądź tak łaskaw i poczekaj ze swoimi wielkimi czynami, aż ich od ciebie będę wymagał! Nie znasz wcale sposobu, w jaki należy załatwić to, co chcesz uczynić.

- Czyż potrzebny do tego jakiś specjalny sposób?

-Tak. A gdyby nawet tak nie było, to przecież samo przez się zrozumiałe jest, że nie potrzebna mi pod tym względem najmniejsza opieka!

- Opieka! O, effendi, jak dalece nie uznajesz ofiarnej miłości, którą się zazwyczaj kieruję, aby ci ulżyć w niedogodnościach życia!

- Zamilcz! Chcesz grać rolę pana i władcy, o nic innego ci nie chodzi. Uznaję twą gotowość do służenia mi w każdej chwili i dowiodę tego, powierzając ci teraz wysoce zaszczytny urząd.

- Wysoce zaszczytny? - zapytał szybko, rozjaśniając za-chmurzoną już twarz. - Tak, powierz mi go! Możesz być przekonany, że nikt inny lepiej by go ode mnie nie wykonał.

- Tak, to wiem i dlatego też powierzam go tobie, nie zaś komu innemu. Uważam cię mianowicie za doskonałego bu-downicznego, kochany Halefie.

-Ja ... bu ... budowniczym? -zapytał z takim zdumieniem, że o mało nie parsknąłem śmiechem.

-Tak, budowniczym - potwierdziłem poważnie.

148

- Czy tu ma być coś wybudowane?

- Iak.

- ~?

- Więzienie.

- Rzeczywiście? Więzienie? I dla kogóż to, sidi?

- Dla kapitana, milazima i żołnierzy paszy oraz dla Da-wuhdijehów znajdujących się w kulluku.

-Ib znaczy, że dla pięćdziesięciu osób bez mała?

- Coś w tym rodzaju. Widzisz, mam na myśli te masy małych i dużych kamieni dokoła.

Wystarczy je ułożyć szczerze jedno na drugim, a choć zaprawy nie ma, można będzie się i bez niej obejść. Więzienie musi starczyć na pięćdziesiąt osób, a ma być gotowe do jutra rano, chociaż byłoby jednak lepiej, abyś je wykaficzył już dzisiaj wieczór. Mężczyźni dopomogą ci w pracy. Plan zaś budowli musisz sam wypracować, gdyż ja, niestety, nie mam ku temu czasu, gdyż ...

Nie dał mi dalej mówić, przerywając:

- A gdybyś nawet, sidi, miał czas, nie ~cierpiałbym, abyś się mieszał do moich zaję~! Powiadam ci, zupełnie słusznie uznajesz mój nieprzeciętny talent w sztuce budowania więzień. Wzniosę budowlę, której wspaniałością będziesz się zdumiewał. Czy ma również być opalana?

---‘Pak.

- Aczkolwiek to znacznie utrudnia zadanie, będziesz ze mnie zupełnie zadowolony. Zbuduję palenisko, a nad nim komin. Z czego jednak ma być sporządzony dach tego olbrzymiego pałacu więziennego?

- Rozstrzygnięcie tego zagadnienia pozostawiam już ta-bie, albowiem tyś jest tym budowniczym, któremu nie ośmielę się 149 wżak udzielać wskazówek.

- Masz słusność, effendi, zupełną słusność! Nie dałbym sobie w tej sprawie najmniejszego słowa powiedzieć, albo-wiem będę polegał jedynie na zaletach własnego ducha. Czy masz jeszcze jakie życzenie?

- Tylko to jedno, aby wszystko się odbyło w zupełnej ciszy.

Mieszkańcy twierdzy, znajdującej się w zbyt wielkim pobliżu nas, nie powinni usłyszeć najmniejszego choćby szmeru.

- Tó się samo przez się rozumie! Będziemy tak cicho pracowali, że sami nawet nie usłyszymy najmniejszych oznak wydajnej roboty. Spuść się tylko na mnie! Czy ciebie w mię-dzyczasie przy nas nie będzie?

- Nie, gdyż udaję się do wieży. A więc zapamiętaj sobie, że nie wolno ci liczyć na mnie. Widzisz przeto, jak dalece ci ufam, kochany Halefie.

- Nie szkodzi, nie zawiodę pokładanych we mnie nadziei.

Nie masz wprost pojęcia, jakie wzniosłe i ważne myśli to zadanie wzbudziło już teraz w mojej

głowie. Muszę się nimi zająć i uporządkować je. Pozwolisz, że oddam się samotności, gdyż tylko w odosobnieniu od zwykłej gawiedzi mogą powstać wzniosłe dzieła sztuki i prace rąk ludzkich! Bądź zdrów; effen-di!

Oddalił się i zaczął niezmordowanie przechadzać się tam i z powrotem pod drzewami, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że zamianowałem go architektem jedynie w tym celu, aby go unieszkodliwić przynajmniej na pewien czas. Wiedziałem bo-wiem, że w ten sposób nie będzie mógł troszczyć się o wieżę. Teraz zaś, gdy się już całkowicie z jego strony zabezpieczyłem, mogłem się uda~ do kapitana.

150

- Żądam natychmiastowego uwolnienia mnie z więzów!

- rzekł ten do mnie. -Będziecie mocno żałowali, żeście mnie uwięzili! Pasza was srogo ukarze!

- Nie tak ostro! - ostrzegłem go. - Groźbami niczego u nas nie zyskasz. Czy myślisz, żeśmy ciebie nie przejrzeni? Nie jesteś przecie wcale tym, za jakiego się podajesz. Oficer, wysłany przez paszę do Dawuhdijehów, nie jest tak głupi, aby im rzucić w twarz takie oszczerstwo, jak to, że są rabusiami.

- Ja mam nie być oficerem? Co też ci wpada do głowy?!

Sięgnij do górnej lewej kieszeni mojej kurtki, a znajdziesz pisemny rozkaz kaimakama wystawiony na moje nazwisko z zaznaczeniem rangi!

Postąpiłem zgodnie z jego wolą, gdyż o nic innego mi przecież nie szło. Rozkaz nie był zapieczętowany, więc go mogłem swobodnie odczytać, nie naruszając dokumentu. Był tak zredagowany, jak tego sobie właśnie życzyłem. Teraz, gdy nie miałem już z tym człowiekiem żadnych wspólnych, osobis-tych spraw, wyraziłem raisowi swoją wolę. Odprowadzono oficera na stronę, aby się rozebrał, po czym musiał się zado-wolić jedynie swoim płaszczem. Wszczął wrzask piekielny, którym jednak mnie zupełnie wzruszył. Nie chciałem się zbyt-nio z nim ~ackać, gdyż było mi wiadome, że żołnierze, osiadli w Iraku, należą do kategorii ludzi nieokrzesanych i brutal-nych, a że on nie był bynajmniej wyjątkiem, tego dał całkiem wymowny przykład.

Gdy wreszcie przyodziałem się w jego mundur, rais oświad-czył mi, że nikt by nie przypuszczał, iż nie jestem urodzonym tureckim służbistą za wyjątkiem chyba tych ludzi, którzy mnie znają. Halef zaś zawołał do mnie z dala:

151

- Każdy weźmie cię za tego, za jakiego chcesz uchodzić.



Więcej ci nie mogę powiedzieć, gdyż nie mam czasu! Bądź zatem łaskaw mi wybaczyć. W głowie miesza mi się i kręci, jak w karuzeli, a skaczą w niej więzienie z dachem, mury i wysoki komin!

Ponieważ musiałem zabrać ze sobą uzbrojenie kapitana, zostawiłem przeto swoją broń pod troskliwą opieką raisa, zatrzymując jedynie przy sobie rewolwer. Zapytany o zlecenia, jakie daję, odpowiedziałem, że nie widzę potrzeby do jakichś specjalnych poruczeń. Natomiast wydałem zakaz opuszczania ukrycia i prosiłem, ażeby się starano nie wywoływać hałasu. Poza tym nie miałem nic do powiedzenia. Gdy wreszcie wypro-wadziłem konia kapitana i zamierzałem już pójść, drogę mi zastąpiły Madana i Ingdża z prośbą, abym się nie narażał na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Przynależało im, że zastosuję się do ich prośby, aczkolwiek zdawałem sobie jasno sprawę, że nie leży w mojej mocy uczynić odwiedzin w wieży mniej nie-bezpiecznymi, niż były.

Musiałem wspiąć się na strome wzgórze, które przebyliśmy przedtem, po czym poprowadziłem rumaka na prawo do wą-wozu, przez który przechodziłem wraz z raisem do wieży. Będę szczerzy i powiem, że gdy zauważyłem przed sobą kciłuk, zro-biło mi się trochę nieprzyjemnie na duszy. Wejść łatwo, ale czy ja się kiedykolwiek stamtąd wydostanę? Zadanie moje, zapra-wdę, było daleko znacznie trudniejsze, niż to sobie pierwaj wyobrażałem. W każdym razie, postanowiłem raczej ważyć się na wszystko, niż pozwolić się przez Dawuhdijehów uwięzić. Czujność tych ostatnich nie wydawała mi się zbyt wielka, gdyż zbliżyłem się prawie pod wieżę, nie napotkawszy żadnego 152 ze sttażników. Miałem jeszcze przed sobą kilka rozłożystych dębbw, a gdy je minąłem, ujrzałem się przed wrotami. Po obu stronach bramy leżeli na ziemi Kurdowie, ujrzawszy mnie teraz, s~'bko skoczyli na równe nogi. Obejrżeli mnie krótko, po czytn czterech z nich wyszło mi naprzeciw. Piąty znikł we ~ët~Zu, chcąc zapewne dać znać o moim przybyciu. W tej chwili ~łS' niepokój, którego przedtem doświadczyłem, prys-nął. Obawa przed niebezpieczeństwem bywa zazwyczaj wię~~, aniżeli samo niebezpieczeństwo.

-Jesteście Kurdami plemienia Dawuhdijehów? - zapy-tałem~'ótko, zeskakując z konia, rzuciwszy cugle jednemu z nich.

~'Idk, aga! - odrzekł.

--Macie tu swego dowódcę?

~.'Idk, panie. Jest nim Rebat.

~ Zgadza się. A gdzież on teraz?

~. Wewnątrz w strażnicy.

--A milazim?

~'I~raz odprawia swój zwykły kef, drzemkę poobiednią.

C~y mamy go obudzić?

--Nie, sam to już zrobię. Zaprowadźcie mnie do niego!

W międzyczasie zjawił się długi i chudy chłop, obwieszony rozmaitego rodzaju bronią, stanął tuż przy mnie i rzekł pełnym szacanku tonem:

~ Bądź pozdrowiony, o yuzbasi. Jestem Rebat, któremu tu obecni wojownicy są winni posłuszeństwo. ~ O tym już wiem. Tobie zapewne jest wiadome, gdzie się teraz znajduje Ismael Beg, wasz szejk?

~ Tak, panie. Czeka na ... na ...

153

Zawahał się, nie wiedząc co powiedzieć. Prawdopodobnie nie był pewny, czy ma mi podać odnośne wiadomości, czy też raczej je przemilczeć. Przeto dokoficzyłem za niego:

- Chcesz powiedzieć, że czeka na trzystu Hamawandów?

A więc przeliczył się! Wasi wysłannicy mogli by lepiej uważać.

Mam właściwie wam podać bardzo ważną i nagłą wiadomość. Nie mogę jej wszakże przedtem zakomunikować, zanim się nie przekonam, że tu wszystko w porządku. Zaprowadź mnie do milazima!

- W tej chwili, o yuzbasi! Pozwól, że ja pójde naprzód!

Przeszliśmy przez wrota do wnętrza sześciennej budowli i stanęliśmy w czworokątnym dziedzińcu, otoczonym ze wszech stron uszkodzonymi dachami, sięgającymi wysokości człowieka. Z prawej i lewej strony dziedzińca stały konie. Po obu stronach wrót a także naprzeciwko wejścia siedzieli Kurdowie we wszystkich możliwych pozycjach. Gdy mnie ujrzeni, powstali ze swoich miejsc. To uszanowanie, oddawane memu mundurowi, podziałało na mnie uspakajająco, mogłem się bowiem spodziewać z ich strony bezwzględnego posłuchu. Rebat wstąpił na stopnie, wiodące do bramy wieży; podążyłem za nim. Z prawej strony widniały schody ze zniszczonymi stopniami, nieco dalej, wejście, pokryte starą zasłoną. Przednia połowa lewej strony ubita była z gliniastego gruntu, na którym znajdowało się kilka powrozów. Do czego służyły, o tym dowiedziałem się później. Następnie zjawił się przed nami wielki głęboki czworokątny otwór, z którego wydostawała się odrażająca wofa stęchlizny i wilgoci. Kurd wskazał na zasłonę, mówiąc:

- 'Pam jest oficer. Czy mam pójść razem z tobą?

154

- Nie. Czekaj na dziedzińcu, aż do was przyjdziemy. Przyślano mnie abym go złuzował; on sam to wam powie. Paszowie Kerkuk i Sulejmanii gniewają się, iż nie jesteście w stanie otworzyć gęby starej wiedźmie. To musi się skończyć! Czyż nie potraficie sobie poradzić ze starą kobietą? Mój długi towarzysz załamał się pod wpływem tych słów i ledwie wybełkotał na swe usprawiedliwienie:

- Ależ pomyśl, kapitanie, że ona jest czarownicą! Może okropnie pomścić najmniejszą choćby obrazę!

- Głupstwa!

- I'ak, ona na pewno to potrafi. Wiemy wszak o tym dobrze! Wierzaj mi! Widzimy to przecież po ludziach, którzy do niej przybywają z prośbami. Wszystko, co mówi, spełnia się. Pasza bynajmniej nie powinien ...

Przerwał przestraszony i opuścił jeszcze niżej, niż przedtem, głowę. Zresztą, nie było to dla mnie zbyt trudną rzeczą odgadnąć czemu nie dokończył swych słów. Zużytkowałem też te wiadomości natychmiast, rzekłszy możliwie najsurowszym tonem:

- Co też ja słyszę! Przybywają ludzie, których się dopuszcza do owej niewiasty?

-Tak, panie! Prosiliśmy milazima, a on nam na to zezwolił.

Mamy nadzieję, że i ty również nie odmówisz nam tego, zważywszy, iż będziesz tak, jak on, otrzymywał część przez nas pobiernych podarków.

Nagle ktoś zaklął za zakrętem schodów:

- Kto tam tak głośno rozmawia? Czyż nie wiecie, że dla mnie teraz czas odpoczynku!

- To głos milazima! - objaśnił mnie cicho Kurd. - Nie

155 ma go zatem w jego pokoju; często bowiem przebywa na górze, gdzie jak powiada, powietrze jest lepsze.

-Zaczekaj na mnie na dziedzińcu. Pójdę do niego na górę.

Oddalił się chętnie, a ja powoli zacząłem się wspinać po schodach. Milazim słyszał widać tylko, że ktoś rozmawia, ale nic z rozmowy nie pochwycił, gdyż na pewno inaczej by się zachował. To, co usłyszałem od długiego Kurda, doskonale się nadawało do wykonania moich planów. Cudotwórczość Ma-rah Durimeh powstała tylko w fantazji Kurdów, którzy opowiadali o niej cuda, aby móc zebrać jak najwięcej podarków. Zbteż zaufanie do samego siebie znacznie u mnie wzrosło. Wspiąłem się zaledwie na parę stopni, gdy usłyszałem znowu gniewny głos:

- Kto śmie tu przychodzić? Wiecie wszak, że chcę mieć teraz spokój.

Oczywiście, mimo to szedłem dalej. Gdym minął nowy zakręt schodów, ujrzałem milazima wyciągniętego w całej swej okazałości na brudnej ziemi z rękoma podpartymi pod głową. Wzniósł gniewnie twarz, by zagrzmieć. Poznałem to po nim. Spostrzegłszy jednak mnie, obcego przybysza, zamiast spodziewanego Dawuhdijeha, zerwał się na równe nogi i przez dłuższy czas stał nieruchomo, nie mogąc wyrzec ni słowa. Takie oczy, taką twarz i taką brodę mógł mieć tylko oficer Iraku. Był to już niemłody mężczyzna, który służąc wojskowo, jak to było po nim znać, stale używany bywał do podobnych dzisiejszemu celów, nie mających nic wspólnego ze służbą frontową, czy też ambicjami prawdziwego oficera.

- Musisz wybaczyć, że ci przeszkadzam w tym odpoczynku

- rzekłem. - Przy czym z miejsca zaznaczam, iż ta przerwa

156 będzie daleko dłuższa, niż ci się wydaje - dodałem, wstępując do pokoju.

Teraz wreszcie stałem już przy nim i obserwowałem go uważnie. Zrozumiałem też od razu, że nie będę z nim miał zbyt ciężkiej przeprawy.

- Przepraszam bardzo - wyjaśnił. - Ja ... ja ... myślałem, że ... że tu Kurd!

- Omyliłeś się, jak widzisz. Spójrz na to, a przekonasz się, kim jestem!

Wyciągnąłem dokument z kieszeni i podałem mu go. Długo studiował, zanim się uporał z przeczytaniem pisma. Po czym opuścił rękę w której trzymał rozkaz i rzekł:

- Mam iść stąd precz? Ty zaś przybywasz na moje miejsce?

Właściwie, to jestem z tego bardzo zadowolony. Wolę raczej gościć wśród duchów, niż być w pobliżu podobnej kobiety, której się trzeba obawiać, jak przeklefstwa.

- Zdumiewająca odwaga - zauważyłem złośliwie.

- Ti;raz tak mówisz, po kilku jednak dniach pobytu z nią będziesz już zupełnie innego zdania! Spełniałem szczerze swój obowiązek, chciałem ją wy badać, kiedy cóż? Ma wygląd śmier-ci, a milczy jak grób. I ty również niczego się od niej nie dowiesz!

Jakże chętnie pragnąłem się dowiedzieć, do czego odnosiło się owo badanie. Nie wolno mi było jednak zdradzić się z tą ochotą, gdyż najmniejsza uwaga czy też pytanie z mojej strony naraziłoby mnie na niebezpieczeństwo wykazania swojej zupełnej ignorancji w tej materii. Dlatego też zaniechałem uwag, a wolałem przybrać rolę indagującego:

- Pozwalałeś jednak obcym ludziom z nią rozmawiać?

Milczał.

- I za to pobierałeś podarki?

I teraz nie odpowiedział.

- Odpowiedz! Słyszysz pr~ecie, że cię pytam!

-Tak, czyniłem to - przyznał spokojnie. - A wierzaj mi i ty tak samo będziesz postępował wkrótce, oczywiście nie w pierwszych dniach swego urzędowania. Ogarnie cię ta sama okropna nuda, jaka moją duszę ogarnęła i wówczas będziesz zadowolony, jeżeli ją potrafisz czymkolwiek zagłuszyć. Jestem też dlatego niewymownie szczęśliwy, że się pozbywam tej samotności i ciągłego przebywania w towarzystwie żywego trupa. Czy oskarżysz mnie przed paszą?

- Nie. Nie przyczynię się do ukarania żadnego z kolegów.

- Dziękuję ci! Kiedy xiiam stąd wyruszyć?

- Kiedy chcesz.

- A więc rnożliwie jak najrychlej!

- Dobrze; przedtem jednak musisz mi tak zdać swój urząd, jak go sam objąłeś.

- Uczynię to chętnie i to natychmiast. Objąłem tylko ko-bietę. Hamawandowie, których szejka tu przysłał, właściwie nas nie obchodzą. Ale i ich również ci przekażę.

- Jak się zachowują?

- Dumnie, choć spokojnie. Nie mają najmniejszego za-miaru spełniać żądań szejka i odzyskiwać wolności za cenę trzystu karabinów jedynie dlatego, że bez jego wiedzy wkroczyli na terytorium Dawuhdijehów i wpadli w ich ręce. Mają zresztą słusność; rozbroiliby się przez to częściowo i osłabiliby swoje siły w stosunku do Dawuhdijehów. Są zresztą przekonani, że ich ludzie przybędą, aby ich uwolnić. Żal mi ich,

158 gdyż muszą tak siedzieć w brudzie i zaduchu.

- Wiesz również, rzecz jasna, kim są?

- Tak, jak ty. Szejka przecież nie mógł tego ukryć przede mną. Jamir popełnił nieprzebaczalny błąd, że przybył tu, podszywając się pod fałszywe imię. Tak znakomity wódz musi być zawsze przygotowany na to, że zostanie poznany. Jego też obowiązkiem było o tym zawczasu pomyśleć.

- Ganisz go, a przecież masz go również na swoim sumieniu.

- Ja?

- 'Pak, ty.

- W jakież to sposób? Ja ...

- Thk. Gdybyście nie byli puścili pogłoski, że starowina czyni cuda, nie nadszłyby do was tylu ludzi, a i Jamir między innymi.

- Pogłoskę rozpuścili Dawuhdijehowie na swój własny rachunek. Jak im tego nie kazałem czynić.

- Ale tolerowałeś to!

- Cóż miałem robić? Wszak udział w podarunkach, jakie otrzymywałem był jedyną moją pensją. Wiesz przecie to sam doskonale, jak jest z naszym żołdem. Otrzymujemy go tak rzadko ... A że człowiek przecie żyć musi, czy mu dadzą parę tych nędznych groszy, czy też nie, jest przeto zmuszony zapewnić sobie dochody w jakikolwiek sposób.

- Sądzę; że kobieta mimo wszystko nie wiedziała, iż ucho-dzi za uzdrowiaczkę chorych i cudotwórczynię?

- Nie, tego się nie dowiedziała.

- Jakże więc mogła przebywać z ludźmi, nie dowiedziawszy się o tym. 159

- Zostawialiśmy ją w wierze, że ci ludzie życzyli sobie, aby się za nimi wstawiła. Podchodziła przeto jedynie do bramy, ale nie wolno jej było z nimi rozmawiać. Kładła im ręce na głowy i błogosławiła. To było wszystko, co czyniła. Czy chciałbyś, żebym ci ją teraz pokazał?

- Dobrze. Czy znasz jej właściwe imię?

- Nie. Nie wolno mi o nie pytać. A ty?

- Tak, znam je.

- A więc jesteś ode mnie bardziej wtajemniczony, z czego wnoszę, że przysłał cię nie kaimakam, lecz sam pasza. Czy możesz mi coś o niej powiedzieć?

- Nie. Ponieważ nie znasz jej imienia, nie mogę ci go wyjawić.

- Słusznie. A więc chodź! Ona jest na górze.

Teraz pragnąłem jedynie, aby Marah Durimeh mnie nie poznała, albo poznawszy, nie dała tego poznać po sobie. Oficer zaprowadził mnie o jeszcze jedno piętro wyżej. ~ znajdowały się sporządzone z tarcic drzwi, potrzymane przez dwie krzyżujące się belki.

Uchylił ich. Przed nami ukazał się obszerny, mocno brudny pokój, do którego dochodziło światło i powietrze z dwu wąskich szpar strzelniczych. Tii spoczywała staruszka na starej poszarpanej kołdrze pod ścianą. Miała złożone ręce i zdawała się być pogrążona w głębokiej modlitwie.

Tak, to była ona, to była Marah Durimeh! Jak ongiś, siedziała spowita w ciemny płaszcz, z którego sterczała jej chuda, jak śmierć, twarz. I dzisiaj także jej grube śnieżnobiałe warkocze zwisały prawie że do samej ziemi, gdy powoli wstała, ujrawszy nas wchodzących.

160

Gdy usłyszała odgłos kroków, oczekiwała przybycia tylko milazima. A oto ujrzała oprócz niego jeszcze jakąś drugą osobę, dlatego też skierowała na mnie swój badawczy wzrok. Żadna rześpa, żadna zmarszczka na ja twarzy nie zadrgała. A jednak jej spojrzenie zdawało się do mnie zbliżać z niezmiernie daleka, a jej wargi poruszały się bezszelestnie. Zdawało się, że wcale nie oddycha. Wrażenie, jakie wywierała, nie było wrażeniem trupa, jak utrzymywał milazim; było to uczucie zetknięcia się z czymś nadziemskim, jaki~ ... Nie, nie ma właściwego słowa na określenie wyrazu jej twarzy! Uczułem głęboką, prawie że świętą cześć, miast grozy, jak mi to wróżył turecki oficer.

- Ten kapitan przybył, aby mnie zastąpić i strzec ciebie - rzekł do niej oficer. - Mam nadzieję, że mu sprawisz równie mało trosk, jak mnie.

Głos jego drżał lekko. Znać było, że jej się obawia.

- Niech będzie błogosławione jego przybycie! - odparła powoli głębokim, tonem, z czego mogłem wywnioskować, że mnie jednak poznała.

- Czy masz jakieś życzenie? - zapytałem.

Opuściła powoli głowę i przysłuchiwała się memu głosowi. Jak ukochany długo oczekiwany dźwięk dostaje się do nadślu-chującego ucha, sprawiając rzetelną radość, tak prześlizgnął się po jej twarzy spokojny szczęśliwy uśmiech. Po czym dopie-ro odpowiedziała:

- Moim jedynym życzeniem jest Bóg. Kto żyje w Nim i w Jego miłości temu nie trzeba innych życzeń.

- Rzekłaś prawdę! Bóg zna właściwą chwilę dla wszystkie-go, co służy ku uldze ludzkości.



## 6 - Twicrdza w' górach

Po tych słowach odwróciłem się i wyszedłem. Milazim po-szedł za mną i zamknął drzwi. Po czym poprowadził mnie na dół, do lochu. Rzekł:

-Tiz trzymani są Hamawandowie. Nie dojrzysz i nie usły-szysz ich, gdyż dół jest głęboki i ciemny, a oni są tak dumni, że nie powiedzą choćby głośnego słowa. Tylko od czasu do czasu daje się słyszeć na chwilę jęczący głos cierpiącego chłopca.

- Zostali opuszczeni na dół przy pomocy tych powrozów?

- dowiadywałem się.

- Tak.

- A jak jest z jedzeniem dla nich i piciem?

- Spuszczamy im raz dziennie banię z wodą oraz chleb, wypiekany przez jednego z Kurdów z mąki i wody na otwartym ogniu. Czy mam ci jeszcze jakichś wiadomości udzielić?

- Nie, te mi starczą. Wiem j už wszystko, czego się chciałem dowiedzieć.

Jesteś więc goTow do przejęcia tej służby?

Tak.

- A ja już mogę wyruszyć?

- Nawet zaraz, jeśli chcesz tego.

- A więc, proszę cię, daj mi pokwitowanie z przejęcia więźniów.

- Zgoda. Dam ci pokwitowanie wraz z pismem kaimaka-ma.

- Dobrze. A teraz proszę cię, wejdź ze mną do pokoju, abyś mógł je napisać.

Uchylił na bok uprzednio wspomnianą już przeze mnie, a służącą mu za zasłonę kotarę i wkroczyliśmy do małego pokoi-ku, który nic absolutnie, formalnie nic nie zawierał poza małą 162 poduszką, która za dnia służyła milazimowi za siedzenie a nocą jako posłanie. Płaszcz był tu jedynym nakryciem. 'Pak wyglądał prawdziwy pokój wartowniczy oficera Kurdystanu!

- Widzisz, że w pałacu nie będziesz mieszkał - zaśmiał się gorzko. - Jestem zadowolony, że mogę odjechać, toteż zaledwie mi napiszesz pokwitowanie, pożegnam cię.

- Czy masz atrament?

- Nie. Czegoś tak drogiego nie znajdziesz tutaj.

Wziąłem ze sobą notes nie dlatego, iż się spodziewałem, że będzie mi potrzebny, lecz dlatego, że nie chciałem go zostawić w otwartej kieszeni marynarki. Wewnątrz notesu znajdował się ołówek, którym skreśliłem parę wierszy w życzliwym dla milazima tonie. Przeczytał je, schował papier, podał mi rękę i rzekł:

- To są prawdziwie koleżeńskie słowa, dziękuję ci za nie.

Teraz nic mnie już tu więcej nie zatrzymuje. Wyszliśmy na dziedziniec; gdzie kapitan wydał rozkaz osiodłania swego konia. W międzyczasie zaś skinął na Rebata i wyjaśnił mu gromkim głosem, tak że wszyscy słyszeli:

- 'Ten odważny i słynny yuzbasi został przysłany przez paszę, aby zająć moje stanowisko. Posiada zaufanie i przychyłność szejka i będzie dla was dobrym władcą. Ja zaś chętnie się rozstaję z tym miejscem. Pozostańcie w opiece Allaha! Tak życzliwe polecenie było wdzięcznością za parę moich przyjaznych słów. Po kilku minutach podał mi rękę i odjechał. Przechadzałem się tam i z powrotem po dziedzińcu, oglądając konie Kurdów a jednocześnie obserwując ich spojrzenia rzucone ukradkiem na mnie. Chcieli wywnioskować z mego wyglądu i zachowania się, jak będę z nimi postępował.

163

Rebat szedł obok mnie, aby móc odpowiadać na pytania, które mu zadawałem od czasu do czasu. Zdawał się coś mieć na sercu, ale nie wyjawiał mi tego, dopóki mój przyjacielski stosunek do niego nie dodał mu odwagi:

- Panie, czyś nie mówił o bardzo ważnej dla nas wiadomości, która jest również nagłą? Proszę cię, powiedz mi o niej!

- Racja - odparłem. - Wasz szejek mi ją zawierzył, ale rozmyśliłem się, gdyż jesteście mi potrzebni i nie mogę pozwolić wam odejść.

- Mielibyśmy stąd pójść?

- Tak. Ale nie mogę was puścić.

- Słusznie. Lecz powiedz, dlaczego my, mielibyśmy stąd odejść? - nastawał.
- Dlatego, że szejk się dowiedział, iż wasi wysłannicy się omylili. Przybywa mianowicie nie trzystu Hamawandów lecz znacznie większy oddział z żoną Jamira na czele. A znacie ją wszak! Szejk oczekuje ich przybycia jeszcze dzisiaj po południu.
- I'allah! On przecież ma za mało ludzi przy sobie!
- Tego samego zdania jest wasz szejk - potwierdziłem.
- Czyż nie wysłał posłów do bratnich szczepów?
- Uczynił to, ale czy pomoc na czas nadejdzie, to bardzo wątpliwe!
- A zapewne i o nas też ci wspomniał?

Rebat płonął cały. Ti~kże i pozostali Dawuhdijehowie cisnęli się koło mnie.

- Naturalnie. O was również mówił - odparłem powoli.
- Chciał nawet do was wysłać posła, ponieważ jednak ja was miałem zobaczyć, a on niechętnie się rozstawał z jednym choćby wojownikiem ze względu na tak wielką przewagę nie-przyjaciół, skorzystał przeto ze sposobności, aby mnie poru~czyć to poselstwo do was.
- Cóż więc rozkazał? Czego chciał? Co mamy uczynić?

Powiedz prędko, powiedz prędko!

- Żebyście jak najspieszniej dofi przybywali, gdyż tak silny oddział, jak wasz, nie może bawić beczynnie w kulluku, pod-czas gdy inni będą zmuszeni stoczyć walkę z dwakroć silniejszym nieprzyjacielem.

Zaledwie to powiedziałem, Rebat krzyknął gniewnie na mnie:

- 'R~ ... to nam miałeś powiedzieć, a mówisz dopiero teraz, gdy już od godziny szejkowi naszemu z pomocą mogliśmy pośpieszyć!
- PośpieszyE z pomocą? Co też wam wpada do głowy!

Jesteście mi potrzebni! Nie mogę ani jednego z was puścić~!

Pasza ...

- Zamilcz o paszy! Co nas obchodzi pasza, gdy nasi bracia, gdy nasi wojownicy są zagrożeni przez przeważające siły nie-przyjaciół. Musimy zaraz wyruszyć! ... Żona Jamira? Toż diabolic! Nie możemy czekać tu ani chwili dłużej. Hej, ludzie, osiodłać szybko konie! Walka wzywa! Ruszamy! Walczyłem pozornie przeciw temu postanowieniu jak lew, otrzymując w zamian jedynie garść nieprzyjemnych słów, a gdy wreszcie ośmieliłem się wyciągnąć szablę, by wydać im ostry zakaz, Rebat zagrzmiał:

- Zamilcz! Czyż myślisz, że się boimy twojej klingi?! Jesteśmy wolnymi i niezależnymi Dawuhdijehami, którym za-den turecki oficer nie ma nic do rozkazywania! Więźniowie 165 r

tutejsi są w bezpiecznym ukryciu i nie mogą uciec z lochu i masz zresztą do czasu naszego powrotu swoich pięciu żołnierzy; to więcej niż dosyć. Przy ich pomocy możesz bronić kullu-ku całymi miesiącami! Zamilcz więc, gdyż szkoda każdego twego słowa. Ruszamy!

Błogosławiony bądź o zacny Rebacie! Oto mi wszak właśnie chodziło! Ruszaj z Bogiem! Oponowałem jednak, mimo wszystko, zaciekle dalej, ale nikt już na mnie nie zważał. Mogłem mówić i czynić, co mi się żywnie podobało; im śpieszno było do swoich. Wkrótce też zjechali z góry, zostawiając jedynie mnie z moimi pięciu kochanymi, wiernymi żołnierzami. Jakież powodzenie! W ciągu zaledwie godziny wyruszył mi-lazim wraz z drogocennym pismem, a zaraz za nim poszli wszyscy Dawuhdijehowie. Pozostawali jeszcze jedynie asakerzy, z których miny poznać było, że i oni najchętniej by się też gdzieś ukryli. Stali przy bramie i tęsknie spoglądali za Kurdami. O nich nie dbałem. Nie wyglądali mi na takich, po których spodziewać się mogłem zbyt wielkiego oporu w przeprowadzeniu swoich zamierzeń. Wyglądali tak niezdolni do czynu, jak ich chude szkapiny, które pozostawały dotąd wraz z moim rumakiem na dziedzińcu. Tak, asakerów umieszkodliwić nie było rzeczą trudną!

# VII

Przede wszystkim udałem się znowu do wieży, do Marah Durimeh. Odsunąłem belki, otworzyłem drzwi i wszedłem do pokoju. Stała wyprostowana na środku izby, wyciągnąwszy w moim kierunku ręce, rzekła:

- Wiedziałam, że wrócisz! Bądź pozdrowiony i błogosła-wiony, effendi! Bóg cię zsyła we właściwym czasie, gdyż wiem, że wkrótce ruszę w bezmierną dal, gdzie znajdę tylko niena-wiść i niesprawiedliwość, miast miłości i sprawiedliwości. Żeg-nałam się już raz z tobą na całe życie, a okazuje się, że miałam ciebie jeszcze zobaczyć. Co za szczęście! Jesteś wszak moim synem, moim dzieckiem, choć nie ze względu na ciało, lecz ze względu na wspólne dążenia mojej i twojej duszy, ze względu na duchowy tryb życia, który nas wiedzie do jednego i tegoż samego celu tam w górze. Przeto też spotykają się nasze ziemskie drogi znowu i przeto też ty zostałeś zesłany, aby mnie odprowadzić z powrotem na ziemię. Nie pytam, skąd ani jak

167 przybyłeś do tych, w których miłości jeszcze żyjesz, nie pytam również, jak i dokąd mnie zaprowadzisz; jesteś tu, a ja za tobą pójdę. I'ak, weź mnie za rękę! Chodź, mój synu! Ująłem ją pod ramię i wiodłem nie mówiąc słowa, na dzie-dziniec, gdzie rozkazałem asakerom, aby utworzyli ze swoich płaszczy, które już od dawna nie zasługiwały na to miano, coś w rodzaju poduszki, na której usadowiłem Marah Durimeh. Teraz pięciu biednych diabłów musiało iść za mną na górę, gdzie dotąd więziona była królowa. Asakerzy mieli jedpnie sztylety u boku. Gdy weszli do izby i spojrzeli na mnie pełni oczekiwania, wyciągnąłem rewolwer, skierowałem lufę w ich stronę i stanąwszy za drzwiami, rzekłem do nich:

- Zamykam teraz drzwi i odchodzę z jeficami. Zachowuj-cie się do wieczora zupełnie spokojnie, po czym będziecie mogli wyłama~ drzwi. Przyjdzie to wam dość łatwo dzięki waszym ostrym sztyletom. Z chwilą, gdy będziecie wolni, mo-żecie czynić, co się wam żywnie podoba. Ja nie mam nic przeciwko temu.

Nikt z nich się nie poruszył. Moje zachowanie się było dla nich całkowicie niezrozumiałe i nieoczekiwane. Zawarłem drzwi bez żadnej przeszkody, podparłem je i znowu zszedłem na parter. I'u leżały powrozy. Syły zaopatrzone w węzły do wdrapywania się, a na końcach miały nawet mocne pętle.

- Jamir! - zawołałem, pochylając się nad otworem. - Odpowiedz! Czyż mnie nie słyszysz?

Żaden głos mi nie odpowiedział. Mówiłem więc dalej:

-Twoja żona przybyła tu z nami. Wiem od niej, żeś o mnie , słyszał. Jestem Kara &n Nemzi effendi i przybyłem, aby was uwolni~. Podstępem wysłałem stąd milazima i Dawuhdijehów,

168 a teraz spuszczę wam na dół linę. Przede wszystkim przywiąż-cie do niej mocno chłopca, ażebym go mógł wyciągnąć; wy wyjdziecie za nim.

- Nie! - zawołał głos. - Zanim ci go zawierzę, muszę cię pierwej zobaczyćE. Sam zatem wyjdę. Ti~zymaj mocno sznury! Spuściłem linę, a górny jej koniec okręciłem dookoła wy-stającego kamienia ściennego u skrzydeł jednych ze drzwi. Po paru chwilach stanął przede mną Kurd, po którym każdy mógł od razu poznać, iż nie jest zwykłym człowiekiem, lecz kimś wysoko postawionym. Wbił badawczo swój wzrok w moją twarz.

- Nazwał się Szewinem, choć jesteś Jamirem, niepra-wdaż? - zapytałem, wytrzymując jego wzrok.

- Tak - odparł. - A ty chcesz być Kara Ben Nemzi?

Dowiedź tego!

- Jakże mogę tego dowieść? Rozejrzyj się, a przekonasz, iż tu już nie ma ani jednego z waszych strażników.

- Wiem, że Kara Ben Nemzi ma na szyi silną bliznę po głębokim cięciu nożem. Pokaż mi ją!

Ustawiłem się tak, że padło na bliznę światło.

-Rzeczywiście nim jesteś! Hamdulillah! I mówisz, że moja żona też jest tutaj?

-‘Pak.

- Wiedziałem, że przybędzie! Gdzież jest?

- Chwilowó niedaleko stąd, w ukryciu.

- Jak i gdzie cię spotkała i jak to się stało, że sam tutaj jesteś, a ...

- Proszę cię, nie zadawaj mi teraz żadnych pytafi. Będę wszak musiał również i innym opowiedzieć to, czego się chcesz

## 7 - TwieTdTa w górach 169

dowiedzieć, a wolę raz tylko o tym mówić. Pośpieszmy się lepiej, aby jak najprędzej stąd się wydostać. Masz, przytrzymaj linę! Pomożemy innym!

Kilka przezefi wyrzeczonych słów do towarzyszy, przekonało ich, że wierzy w prawdziwość słów moich. Pomogli nam przede wszystkim wyciągnąć Khudyra, po czy sami wyleźli. Wyglądali nie najlepiej, cierpieli bowiem z brudu i stęchłego powietrza bardziej jeszcze, niż z głodu i pragnienia. Teraz zarzucili mnie mnóstwem pytafi, na które miałem odpowiedzieć; poprosiłem o trochę cierpliwości i o natychmiastowe opuszczenia wraz ze mną kulluku. Nie wiedzieli nic dotąd o obecności Marah Durimeh, toteż zdumieli się, przybywszy na dziedziniec, wyglądem przeszło stuletniej staruszki.

- Kim jest ta kobieta? - zapytał mnie Jamir.

-Także uwięziona - odparłem. - Jej ojczyzną jest okolica górnego Zabu.

- A może Lizan, Raola, Szohrd i inne miejscowości tam się znajdujące?

- Tak.

Zbliżył się szybko ku niej, klęknął i poprosił:

- Nie jesteś wszak nikim innym, jak Marah Durimeh, ulubienicą niebios i aniołem wszystkich ludzi! Pobłogosław mnie, o pani!

Marah Durimeh zdawała się jakby obudzona z głębokiej wewnętrznej zadumy. Cudowny, niezmierny uśmiech zakwitł na jej obliczu, gdy położyła ręce na jego głowie. Rzekła:

- Kto pragnie Bożego błogosławieństwa, jest już przez to samo życzenie błogosławiony. Niechaj Pan będzie przy tobie teraz i czasu wszelkiego! Oby cię owiały skrzydła Jego posłów i oby nigdy twoja ścieżka nie zawiodła cię do czeluści tych, którzy są przeciw tobie. Tego ci życzy Marah Durimeh, mój synu!

Uklęknienie dumnego męża było tak naturalne i zrozumiałe, a słowa staruszki tak uroczyście i wzruszające, że cała scena wywarła na mnie niezwykle głębokie wrażenie.

W pobliżu wrbt stały oparte o mur karabiny uwięzionych żołnierzy. Kurdowie je zabrali nie mając własnej broni. Nie mieli natomiast najmniejszej ochoty „wzbogacenia się” drogą zabrania starych wynędzniałych kobył asakerów; pozostały przeto własnością padyszacha.

Usadowiliśmy Marah Durimeh na koniu, na którym tutaj przybyłem; dwóch zaś Hamawandów poprowadziło go z wielką troskliwością. Tak ruszyliśmy z góry. Gdym przybył do kulluku, miałem wprawdzie nadzieję, że dzieło moje się uda, ale nie wyobrażałem sobie, że dokonam tego tak szybko i łatwo.

Rzecz jasna, iż nie było to jedynie moją zasługą; największą rolę grało tu zetknięcie się z kapitanem. Jak należało określić to spotkanie? Jako przypadek może?

Wolę nie używać tego wyrazu!

Znalazłszy się u stóp wzgórza, skręciliśmy do wąwozu.



..

Chciałem zaoszczędzić Marah Durimeh uciążliwego wspinania się po górze i dlatego zatrzymałem się tam, gdzie był niegdyś odpływ jeziora. Tii zsiadła z konia. Aby, uniknąć widoku wielkiego radosnego zdumienia, poprosiłem moich towarzyszy podróży, aby się zatrzymali w tym miejscu i zaczekali, aż po nich nie przyjdą rodacy. Po czym prześlizgnąłem się między skałami i paprociami do naszego ukrycia. Zaledwie zauważyłem przed sobą plac, któryśmy zajmowali, nie mogłem się powstrzymać od głośnego i serdecznego śmiechu. Cóż tu było za czynne życie i ruch! Wszyscy obecni, wyłączając jedynie kapitana, który był przywiązany do drzewa, ciągnęli w pocie czoła kamienie, aby je ułożyć jedne na drugich wedle planu Hadziego. Uformowano tak olbrzymi prostokąt, jak gdyby miano tam zamknąć co najmniej całe plemię Kurdyjskie. Określenie „w pocie czoła” należy wziąć nie w znaczeniu przenośnym, lecz dosłownie, gdyż zaiste pot im kroplił się na twarzy! Najbardziej zaś śmieszyła mnie głęboka cisza, idealne milczenie, które było wprost męką dla pracujących. Nawet Halef nic nie mówił, wydawał rozkazy gestykulując jedynie, a osiągnął przez to daleko większą wydajność, niż mową. Przelatywał właśnie z jednego miejsca na drugie, zabrał się jednym słowem do dzieła z takim namaszczeniem, jak gdyby od tego dzieła zależało co najmniej zbawienie jego duszy. Usłyszawszy nagle mój śmiech, odwrócił się. A gdy mnie zauważył, opuścił z rąk duży, ciężki kamień, który właśnie zamierzał przenieść na miejsce przeznaczenia i zawołał:

- Znowu jesteś tu, sidi? Śmiejesz się i to tak głośno? Czyś nie rozkazał sam, ażebyśmy zachowali kompletną ciszę i nie dawali ni szeptem poznać, iż się tu ukrywamy?!

- Możecie już mówić głośno, ba, nawet krzyczeć - odpar-łem. - Przekonałem się, że Dawuhdijehowie was nie słyszą.

- Dzięki niechaj będą Allahowi! Żądać od człowieka, który tak ciężko pracuje, a nie jestem wszak niemową, aby nic nie mówił przez tak długi czas, to trochę za dużo! Spójrz na moje dzieło. Azali nie zdumiewasz się? Czyż każdy poszcze-gólny z tych kamieni z osobna nie świadczy o moich nieprze-ciętnych, ba, genialnych wprost zdolnościach umysłowych? Czyż to więzienie nie stanie się pomnikiem mojego rozumu w całej jego szerokości? Czyż długość twego rozsądku mogłaby kiedykolwiek zdobyć się na podobną budowlę? Proszę cię, daj szybką odpowiedź na moje pytania!

- Masz rację, kochany Halefie! Dałeś mi teraz sposobność poznania cię w całej twej okazałości. Powinieneś być bez-względnie obrać sobie zawód budowniczego.

- Dziękuję ci, sisi! Choć mówiłeś to, co me serce samo wyczuwa, muszę ci w wielkiej tajemnicy wyznać, iż czuję się znacznie lepiej, jako szejk Haddedińów. Przenoszenie cięż-kich kamieni szkodzi zarówno równowadze mego serca jak i niweczy przeświadczenie o mym dobrym zdrowiu. Wystarczy, iż uznajesz moje wysokie uzdolnienia. ‘Pa ~nyśl dodaje mi odwagi do pozostania nadal szejkiem Haddedińów. A co słyhać u ciebie? Miałeś wszak udać się do twierdzy. Czyś był już tam?

-‘hak.

- I powróciłeś! Prawdopodobnie Dawuhdijehowie wahali się trochę, czy cię mają przyjąć z wszelkimi honorami, należ-nymi kapitanowi. Choć, na ich usprawiedliwienie, muszę ci powiedzieć, że to twoja własna wina. Chciałbyś zawsze robić

174 wszystko sam bez niczyjej pomocy. Gdybyś był mnie zabrał ze sobą, moja odwaga słowa i cięgi wymusiły by szacunek przed tobą. Ale twoim wiecznym lekkomyślnym postępowaniem zniweczyłeś możliwość powodzenia naszego tak pięknego przedsięwzięcia!

- Niezupełnie!

- Jak? Niezupełnie? Znaczy to, że jeszcze istnieje możli-wość ... ?

-Tak.

- No, ale teraz to bezwzględnie ja mam również ci towa-rzyszyć!

- Oczywiście!

- Doskonale! Ślicznie! Cóż mam uczynić?

- Przede wszystkim masz się udać wraz z naszymi towarzy-szami na owo miejsce, skąd teraz przybywam. Teraz usuniecie przy pomocy noży zarośla tak, ażeby zrobi~ wolne przejście. Ale niedługo się grzebcie, czas już wyruszyć! Zależy na pośpie-chu!

- Dobrze, zaraz to uczynimy. Chodźcie tu, wy mężni wo-jownicy Kurdystanu, pozostawcie kamienie i za mną! Musimy wytknąć drogę, ażeby ułatwić wziętym do niewoli Dawuhdije-hom dostanie się do naszego więzienia.

Popchnął przed siebie Hamawandów, którzy go chętnie usłuchali. Pozostał przy mnie jeno Adzy, zbyt wielce stroskany, aby ruszyć z Halefem. Zapytał też mnie po chwili:

- Effendi, czyś się dowiedział czegoś o moim bracie Sze-winie i o jego synu Khudyrze?

- Nie znalazłem człowieka imieniem Szewin - odparłem.

- A więc osoby, któreh szukamy, niestety, nie znajdują się

175 w kulluku! Musimy przeto udać się szybko dalej, effendi, aby ich odnaleźć.

- Jakże możesz mieć powodzenie przy szukaniu osób, o których cały czas nie mówisz prawdy?

- Nie mówię prawdy? Co przez to rozumiesz?

- Czy twój brat rzeczywiście nazywa się Szewin?

- Nie.

- A czy to rzeczywiście twój brat?

- 'Pak.

- A twoje imię prawdziwe to Adzy?

-Tak.

- Wobec tego mocno żałuję, że nie mogę cię zadowolić.

Tak, rzeczywiście, znalazłem w kulluku więźniów i to dość znanych ale to nie te osoby, których ty szukasz. Zostałem w kulluku mianowicie słynnego bohatera kurdyjskiego z jego małym synkiem oraz paroma wojownikami.

-Allah bżsmillah ! Czy znasz jego imię? Powiedz prędko - zapytał Adzy gorączkowo w wielkim napięciu.

- Znam. Nazywa się Jamir.

- Jamir ... Jamir! Był w kulluku? O Allah! A teraz już go tam nie ma? Gdzież więc jest? Powiedz mi prędko, powiedz szybko. effendi!

- Dobre to mi! Szukaj go sama! Jeżeli masz tak mało zaufania do Kara Ben Nemzi, iż żądasz tylko jego pomocy, a ciągle ukrywasz przed nim właściwy swój stan i nazwisko, nie powinnaś się temu dziwić, że odwraca od ciebie swą pomocną rękę. Czyż uważasz, iż mam tak mało bystre oko, że nie potrafię odróżnić mężczyzny od kobiety? Proszę cię, abyś od tej chwili robiła, co ci się żywnie podoba, ja więcej nie mam nic 176 wspólnego z Szewinem!

Opuściłem ją zakłopotaną a zbliżyłem się do Ingdzy, która stała na uboczu wraz z Madaną i przypatrywała się gorliwie pracującym mężczyznom.

- Mam prośbę - rzekłem do niej. - Czy mogę mieć nadzieję, że ją spełnisz?

- Effendi, po co pytasz? Wiesz wszak sam, iż spełnię ją bardzo chętnie, jeżeli tylko, naturalnie, będę mogła.

- Możesz! Przeciśnij się poprzez naszych ludzi aż do miej-sca między skałami. T~m oczekuje cię miła niespodzianka, którą ci zgotowałem.

Teraz wreszcie skierowałem się do miejsca, gdzie uprzednio zostawiłem swoje ubranie i przebrałem się. Jeszcze nie byłem całkowicie gotów gdy usłyszałem wesołe wołania i radosne okrzyki. Nadeszła widać chwila spotkania. Swoim zwyczajem, usunąłem się w cień, gdyż jedynie sercu należy się pierwsze najwyższe prawo. Ale już w krótki czas potem nadbiegł prze-jęty i zasapany Halef, skacząc poprzez zarośla tak, że mnie o mało co nie przewrócił. Krzyknął też na mnie, cały czerwony z oburzenia:

- Zły człowiek z ciebie, effendi! Nigdy bym nie przypusz-czał, iż jesteś zdolny do takiego kłamstwa, do takiej zdrady!

- Ja do kłamstwa? Jakiego to?

- Nie mówiąc ani słowa, sprzątnąłeś mi z przed nosa całą sławę!

- Czyś ją już miał pod nosem?

- Tak! Czyż kulluk nie leżał akurat tak przed moim nosem, jak przed twoim? Czyś koniecznie sam musiał uwolnić tych ludzi i to nie zabrawszy mnie z sobą?

- A czy mundur kapitana był dla ciebie dobry?

- Nie. Ale to jeszcze wszak nie powód, abyś miał takiego czynu dokonać w mojej nieobecności! Powinieneś być koniecznie wziąć mnie z sobą!

- A tymczasem przegapić sposobność? Tak, tak Halefie, biedni nieszczęśliwi ludzie mogliby w takim razie do końca życia pozostawać w wieży. Halef, jaki z ciebie ... zły człowiek! Jaki zły!

- Ja?!

- I~k. Ty! Nazwałeś mnie przedtem złym, a sam nim jednak jeste~! Kto dla dogodzenia swej własnej pysze pozostawia bez pomocy cierpiących bliźnich i to tym bardziej wtedy gdy mogą być zaraz uratowani, a czyni to dopiero potem, gdy ten piękny czyn pokrywa się z jego miłością własną, ten jest niedohrym, samolubnym człowiekiem, jest ... z gruntu złym człowiekiem! A teraz już wiesz, kto zasługuje na to miano, ja czy ty? Zostawiłem go i oddaliłem się, wiedząc dobrze, że wkrótce udobrucha się i będzie spoglądał na mnie zupełnie innymi oczyma.

Gdy wyszedłem wreszcie z mojego prowizorycznego budu-aru, przybiegła do mnie Ingdza z błyszczącymi oczyma, uścisnęła mi ręce i rzekła:

- To była wielka, bezmierna radość, effendi! Dzięki twej łasce byłam pierwsza, która mogła powitać z długiej niewoli Marah Durimeh i innych uratowanych. Dziękuję ci z całego serca!

Madana, wdzięczna a nadobna Pietruszka, również nadeszła. Jej zachwyty był tak ogromny, iż nie była w stanie go opanować. Prosiła, abym jej pozwolił dać się uściskać, a ponieważ 178 pietruszka nie jest mięsożerną rośliną, lecz bardzo pożyteczną i aromatyczną, pozwoliłem jej na to.

Wkrótce zjawił się także Adzy, którego śmiało mogę nadal nazywać właściwym imieniem i złożył mi następujące oświadczenie:

- Effendi, niesprawiedliwie, bardzo niesprawiedliwie się do ciebie odniosłam! Przekonałeś mnie, iż całe moje zachowanie musiało cię obrazić. Miałaś na względzie jedynie moje dobro i ważyłaś się na wszystko, aby uratować mego męża i syna, a ja ci za to odpłacałam cały czas nieufnością i kłamstwem. Dziękuję ci teraz z całego serca, z całej duszy i błagam cię jednocześnie, abys zechciał mi to całe zło wybaczyć! Proszę cię o to, effendi!

Powiedziałem jej naturalnie, iż się bynajmniej wcale a wcale nie czułem dotknięty, a nagana, jakiej jej udzieliłem, pozornie tylko była nagana. Tymczasem nadeszli i pozostali Kurdowie. Wszyscy na

mnie napierali. Przechodziłem, jeżeli można się tak wyrazić, z rąk do rąk. Jednak opis tej „arcyciekawej” sceny zaprowadził by nas zbyt daleko. Wolę go przeto przemilczeć. Przede wszystkim chcieli się dowiedzieć, w jaki sposób udało mi się w ciągu tak krótkiego czasu osiągnąć tak wielkie, i zupełne powodzenie. Opowiedziałem wszystko po krótkce. Szczegóły sytuacji tak się wzajem splotły w korzystny dla nas sposób, iż trzeba było tylko wyciągnąć energiczną rękę, aby zerwać owoce tych okoliczności. Towarzysze moi nie chcieli tego jednak uznać. Jamir przyznał popełnione przez siebie błędy, które ja naprawiłem i zapewnił mnie o swej dozgonnej przyjaźni i wdzięczności. Najgłośniej zaś oczywiście zachowywał się Halef, który wcale nie myślał pozostać tam, gdzie go 179 usadowiłem. Był cały czas przy mnie, wysłuchiwał mojego sprawozdania i wykorzystał też pierwszą nadarzącą się sposobność, aby zawołać donośnym głosem:

- Posłuchajcie, wy odważni niezwycześeni mężowie i wy o wdzięczne niezrównane niewiasty, co wam powiem! Lew nieprzyjaźni wyszedł z głodnym sykiem i ściągnął do swego legowiska wiele znacznych łupów. I powstał wielki płacz w górach i rozległy się głośnie skargi w dolinach Kurdystanu! Albowiem szukano zaginionych, nie mogąc ich wszelako odnaleźć. I wyruszone zewsząd na ich poszukiwanie: niektórzy jednak obrali fałszywą drogę, inni natomiast leżeli w pobliżu jaskini lwa, nie mogąc, niestety zdobyć wejścia. I oto przybyli i~ dwaj słynni mężowie, którzy nie bali się lwa, nie bali pantery i i ;! w ogóle żadnego zwierzęcia, jak również żadnego człowieka. i' Byli to nieporównany Kara Ben Nemzi effendi ze swym nie-i zwyciężonym Hadzi Halefem Omarem, najwyższym szejkiem Haddedińców z wielkiego plemienia Szammarów. I ci oto dwaj bohaterowie, słynni na cały świat, zasłyszeli o grzechach lwa nieprzyjaźni i postanowili go za to ukarać i pozbawić łupów. I stało się tak. Kara Ben Nemzi, odprowadzony napomnieniami i dobrymi wskazówkami swego Hadziego Halefa Omara, udał się do jaskini lwa, zmusił go chytrą do ucieczki i wydobył nieszczęsne ofiary, znajdujące się dotąd w niezdobytej jego twierdzy. Hadzi Halef Omar, którego pomysłem należy zawdzięczać to powodzenie, wybudował wielkie kamiennie więzienie, które wprawdzie nie jest jeszcze wykończony i na razie stoi puste, w przyszłości jednak będzie wspaniałym pomnikiem jego wielkich czynów. Chwała obu mężom, którzy tego dokonali! Ich sława przejdzie wszystkie lądy i morza, a prawnuki potomków waszych potomków, gdy na to miejsce przybędą, będą w wielkim zdumieniu podziwiali te mury, świadczące o moim niezwykłym utalentowaniu a pracowitości waszych rąk. Powiedziałem! A teraz koniec z Dawuh-dijehami!

„Skończywszy” w sposób tak ogólnikowy i zabójczy z całym plemieniem Kurdów, odwrócił się i oddalił w dumnej postawie hiszpańskiego granda oraz najwyższego przywódcy Haddedińców.

Był już wielki czas postąpić wedle nakazu chwili. Nie było albowiem wskazane pozostawać dłużej na tym miejscu, zwłaszcza że Jamir ze swoimi ludźmi musiał możliwie jak najprędzej osiągnąć tak zwane Miejsce Jaszczurek, gdzieśmy pozostawili jego trzystu Hamawandów. Raisa z Szohrd również nic tu dłużej nie wstrzymywało, poprosił mnie przeto, abym odprowadził go i Marah Durimeh do ojczyzny. Aczkolwiek chętnie bym to uczynił, musiałem jednak na razie odmówić, dałem jednak słowo, że na pewno go odwiedzę pod koniec naszej perskiej podróży, która nas i tak poprowadzi przez Kurdystan. Chwilowo zamierzaliśmy wszyscy odbyć część drogi powrotnej z Hamawandami, a potem, pod wieczór, wyszukać jakieś bezpieczne miejsce na obozowisko, aby

odłożyć rozsta-nie się nasze do następnego ranka.

Kapitana uwolniono z powrozów i teraz mógł wciągnąć swój mundur. Nie rzekł przy tym ani słowa, trochę z gniewu, trochę zaś ze wstydu. Podając mu następnie jego broń, rze-klem:

- Teraz poznałeś mnie „rabusia”, ale nie opowiadaj tego nikomu, gdyż cię wyśmieją. Sądzę, że pojedziesz do kulluku.

Wejdź tam na drugie piętro i otwórz drzwi, ażeby wypuścić zamkniętych asakerów, a wówczas poznają oni prawdziwego właściciela tego munduru. To będzie jedyny twój czyn bohater-ski, o którym będziesz mógł szeroko rozpowiadać. A jeżeli jednak ośmieliłbyś się tu dzisiaj jeszcze powrócić, dostaniesz kulkę w łeb. Teraz możesz pójść! Niechaj Allah obdarzy twą głowę tym, czego jej dotychczas całkowicie brakowało. A mia-nowicie ... odrobiną rozumu!

I teraz nie wyrzekł ni słowa, mimo że go obraziłem. Gdy wyruszył, patrzyłem za nim przez pewien czas i zauważyłem, że rzeczywiście skierował konia w stronę kulluku. Zaraz też potem i my~my ruszyli w drogę. Rais sprowadził ze sobą z domu

; dla Marah Durimeh łagodnego muła. Natomiast Hamawandowie nie wszyscy mogli jechać, gdyż nie mieliśmy pod dostatkiem koni. Wprawdzie mieli nadzieję, iż będą mogli przywłasnaczyć sobie wierzchowce owych dwunastu Dawuhdijehów, wysłanych na zwiady, a którzy rano przejechali obok nas i prawdopodobnie zostali ujęci przez Hamawandów. Gdy zapytałem, jakie będą na przyszłość panowały stosunki między obu plemionami, Jamir odrzekł, iż jego zdaniem, powinien nastąpić szczęśliwy powrót Hamawandów i Dawuhdijehów do domostw, gdyż nie przelano przecież krwi. Żałował tylko, że podróż jego była daremna, jeżeli chodzi o ranę chłopca. Wówczas matka Khudyra przypomniała sobie lekarstwo, o którym mówiłem. Podałem im szczegółowy opis sposobu przyrządzania i zmieszania roślin sukatan, dabahh i kurat, dzięki którym



osiągnięto rzeczywiście pożądany skutek. Kto bowiem przybę-  
dzie w tamtejsze okolice, może się z łatwością przekonać, na  
jakiego cieleśnie i duchowo zdrowego młodzieńca wyrósł mały

182

Khudyr.

O Jamirze, jego ojcu, muszę niestety powiedzieć, iż błogo-sławieństwo Marah Durimeh nie sprawdziło się na nim. Dal-sze jego losy są powszechnie znane, wobec czego wspomnę tylko krótko, że po zaszczytnej karierze, zaszczytnej w zrozu-mieniu Kurdów, został zdradziecko zamordowany w namiocie księcia perskiego Sill-i-Sułtana, a potem krwawo pomszczony przez swą małżonkę, która stanęła na czele Hamawandów. To już jednak nie nai ~zy do niniejszej opowieści. Jechaliśmy częściowo tą samą drogą, którą poprzednio przybyliśmy, po czym rozstaliśmy się z Jamirem i jego ludźmi. Następnie skierowaliśmy się na północ, a na krótko przed wieczorem rozłożyliśmy się obozem na polanie leśnej. Cały wieczór i prawie cała noc były poświęcone rozmowie mojej z Marah Durimeh.

KONIEC